

Dr Sławomir Wiatr:
SLD widziany od środka

Podważane interesy
historyka IPN

Medziugorie – Franciszek
nie wierzy w objawienia

Prof. Alicja Chybicka:
Z białaczki da się wyjść

OPOZYCJA DO WIĘZIENIA

Dlaczego PiS nie potępia
procesu brzeskiego?



Sędzia Klemens Hermanowski

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



9 771509 311706



„ODWAŻNY”

★★★★★

VARIETY

„ZASKAKUJĄCY”

★★★★★

INDIEWIRE

„ZMYŚLOWY”

★★★★★

FILM STAGE

„ZACHWYCAJĄCY”

★★★★★

ELLE

„SEKS, ZBRODNIA I ZEMSTA.
UWODZICIELSKIE POŁĄCZENIE”

★★★★★

THE HOLLYWOOD REPORTER

LADY M.



W KINACH
30 CZERWCA

oo
jest
grane24

K
MAG
MAGAZYN

FILM
Film.com.pl

ROOM

G³RLS

P
Przeład

MY
COMPANY POLSKA

AKTIVIST

CYTATY

PAPIEŻ FRANCISZEK

Kobieta, która się tam ukazuje, nie jest mamą Jezusa. (o objawieniach w Medjugorju) „Forum”

PROF. ADAM STRZEMBOSZ, SĘDZIA, KAWALER ORŁA BIAŁEGO

Jeśli duże wpływy zdobędą panowie w czarnych mundurkach, to chroń nas, Boże. „Tygodnik Powszechny”

ADAM SZOSTKIEWICZ, PUBLICYSTA

Kościół polski jest dziś pełen pychy i poczucia siły, jaka płynie z sojuszu z władzą. „Polityka”

DOROTA RABCZEWSKA „DODA”, PIOSENKARKA

Jedyne, czego nie wybaczam, to zdrada. Ja nigdy nikogo nie zdradziłam. „Gala”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Komisja Jakiego to cyrk

Cyrk można nazwać, jak się chce. Nawet komisją weryfikacyjną ds. reprivatyzacji. Tyle że nazwą i występami w mediach nie rozwiązano jeszcze żadnego problemu. A reprivatyzacja to nasz największy problem po 1989 r. Praprzyczyna ogromnego rozwarstwienia społecznego, wyrosłego nie z pracy, ale ze złodziejskiego podziału majątku wspólnego. Powszechna grabież tego, co wybudowano w Polsce Ludowej kosztem obniżonego poziomu życia, jest zadrą, która pogłębiła i tak wielką nieufność, z jaką Polak traktuje Polaka. Dlaczego politycy i Kościół na to pozwolili? Na początku mogli to tłumaczyć brakiem wiedzy i znajomości bezwzględnych reguł panujących w kapitalizmie. Każdego cwaniaka traktowano wtedy jak dobrodzieja, który przyjeżdża z misją pomocy. Za bezcen oddawano zakłady, które miały potencjał rozwojowy, i cenne tereny, które mogły zostać sprzedane deweloperom bez pośredników. Zabrakło rozumu. I uczciwości znacznej części elit.

Biała plama. Ale już niedługo. Bo nadchodzi rzetelna analiza wydarzeń z lat 90. i tego, dlaczego tak szybko i na tak wielką skalę ogromny majątek wspólny przestał być nasz. Dlaczego inteligencja, ta w pierwszym czy drugim pokoleniu, te miliony potomków chłopów pańszczyźnianych, robotników folwarcznych i analfabetów zaakceptowały powrót do starego systemu własności? Tego, w którym oni znowu są bez znaczenia? Dlaczego nie bronili prawa do ziemi ich dziadków i ojców? Ziemi, dzięki której mogli się wykształcić i awansować? Prawa do dworów, które zajęto na szkoły, przedszkola, domy kultury? Bez tej bazy nie byłoby przecież fenomenu edukacyjnego Polski Ludowej.

Pozwolenie na totalną reprivatyzację było otwarciem puszek, w której nic nie jest zdrowe. Mamy więc ogólnonarodową chorobę, w której nic nie jest normalne. Od lat na tych łamach apelujemy, by zatrzymać reprivatyzację. By uchwalić ustawę zamykającą wszelkie zwroty majątku. Prawica, która nieustannie wyciera sobie gębę Piłsudskim, powinna wziąć z niego przykład. Po 1918 r. nie oddawano majątków. Nawet powstańcom styczniowym, którym majątki zabrał carat.

Decyzji o zatrzymaniu reprivatyzacji bali się wszyscy po 1989 r. No i mamy tego efekty. PiS, które rządzi już prawie dwa lata, też w tej sprawie kłamie. Bo żaden cyrk z komisją nie zastąpi ustawy. Tylko ustawa może raz na zawsze zatrzymać kolejne pomysły cwaniaków. A komisja Jakiego to tylko cyrk. Bo w gruncie rzeczy znowu nie chodzi o to, by rozwiązać problem. To kolejna próba oszukania ludzi za pomocą mniej lub bardziej udanych trików. Brak ustawy oznacza zerową wiarygodność kolejnej władzy.

FAUL

Praktiker wzywa i straszy

Firma Praktiker Polska praktykuje jakieś dziwne ćwiczenia. I to od razu na żywym organizmie. Ćwiczy, niestety, nie na zarządzie, ale na pracownikach. Metodą dość archaiczną, za to skuteczną. Jak nie kijem go, to pałką. Na początek Praktiker Polska przestał płacić pensje pracownikom. W marcu. A mamy czerwiec. 200 osób bez środków do życia. No to ludzie się zwolnili i zaczęli szukać nowej pracy. Bo przecież trudno przeżyć bez kasy, a Praktiker nie płacił aż tyle, by mieli oszczędności. Wtedy się zaczęło. Bo jak nieopłacani pracownicy się zwolnili, to firma wysłała im wezwania do zapłaty... odszkodowania na rzecz Praktikera. Dokładnie tyle, ile mieli dostać zaległej wypłaty. Chyba za skromne żądanie. Może niech od razu zwrócą wszystko, co zarobili? Co do grosza.

BAKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 SLD widziany od środka**
– rozmowa z dr. Sławomirem Wiatrem
- 18 Historyk z przeszłością**
Podejrzane interesy piewcy „wyklętych”

HISTORIA

- 12 Opozycja do więzienia**
Dlaczego PiS nie chce potępić procesu brzeskiego

KOŚCIÓŁ

- 20 Wątpiący Franciszek**
Papież kontra objawienia w Medziugorju

ZAGRANICA

- 24 Kolonie Bismarcka**
Korespondencja z Berlina
- 28 Pies z Dwoma Ogonami**
naprawia Węgry
Między morze Ziemiowita Szczerka

SPOŁECZEŃSTWO

- 32 Kiedy rodzice nie widzą**
Zabawy nastolatków w internecie

KULTURA

- 36 Radziecka kobieta? A kto to taki?**
– Jelena Czyżowa
- 40 Culturalia**
- 66 Nie jestem już psem**

OPINIE

- 42 Ryszard Jerzy Załona**
Za starość naszą i waszą

PUBLICYSTYKA

- 44 Lista lektur opozycjonisty**
Jak walczyć z ekspansją populizmu

ZDROWIE

- 46 Zawsze wydrę pieniądze na leczenie**
– rozmowa z prof. Alicją Chybicką

OBSERWACJE

- 50 Wołający na puszczy**
Protesty w Białowieży
- 54 Samotność kaszalota**
Zagadki potwali
- 58 Ufam innym ludziom**
Szczęście według Duńczyków

NAUKA

- 52 Człowiek wyje do Księżyca**
Co nas czeka na Srebrnym Globie

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Komisja Jakiego to cyrk
- 23 Jan Widacki**
Młodzieży chowanie
- 27 Roman Kurkiewicz**
Prawo do katafalkowania
- 35 Tomasz Jastrun**
Ten nieszczęsny egalitaryzm
- 39 Edward Mikołajczyk**
Celne trafienie w zgagi leczenia

20

KOŚCIÓŁ

WĄTPIĄCY FRANCISZEK

Papież kontra objawienia w Medziugorju



ZAWSZE WYDRĘ PIENIĄDZE NA LECZENIE

– rozmowa z prof. Alicją Chybicką



54

OBSERWACJE

SAMOTNOŚĆ KASZALOTA

Zagadki potwali



Projekt: Iza Mierzejewska
Fot. NAC

Reprywatyzacja — legalizacja grabieży

Świetny tekst o reprywatyzacji w PRZEGLĄDZIE nr 22. Można tylko dodać trzy kwestie:

1. W Sejmie I i II kadencji III RP (1991-1997) dość licznie były reprezentowane środowiska prawnicze i szybko zadbały o swoje sprawy korporacyjne, takie jak prywatyzacja notariatów, ranga sędziów i finanse sądów, ranga radców prawnych itd. Po załatwieniu tych spraw zapał środowiska wyraźnie ostygł. Nie było inicjatyw zmierzających do uproszczenia procedur, zmian w Kodeksie postępowania administracyjnego ani innych przedsięwzięć mających usprawnić postępowania.

2. Nawet w rządzie Tadeusza Mazowieckiego poziom wiedzy i umiejętności tzw. elit solidarnościowych w zakresie zarządzania i ekonomii był dość niski (z wyjątkiem otoczenia prof. Balcerowicza). Jednak w tym czasie dyrektorami departamentów i ważnymi specjalistami w ministerstwach byli jeszcze ludzie wykształceni i zdobywający doświadczenie za PRL. Jacek Kuroń jako minister pracy całą robotę administracyjną oraz zarządzającą powierzył Jerzemu Szreterowi, który już wcześniej był wiceministrem, a przez dwa lata kierownikiem w KC PZPR. Panowie świetnie współpracowali, mieli do siebie zaufanie. Podobnie było w Ministerstwie Finansów za pierwszej kadencji Balcerowicza. Potem z każdym rządem było coraz gorzej.

3. Wiele negatywnych procesów uruchomił prezydent Wałęsa. Moim zdaniem najgorszym ruchem było nawiązanie ciągłości z tzw. rządami londyńskimi. Myślę, że to bardzo wzmogło tupet zadłużonych po uszy „pokrzywdzonych przez komunę” właścicieli ziemskich, których banki nie zlicytowały przed wojną, bo musiałyby ujawnić złe aktywa i same by padły, a także właścicieli kamienic zniszczonych w powstaniu wywołanym po to, aby przywrócić władzę obszarników i burżuazji.

Stefan Szpalerski

Wkrótce w PRZEGLĄDZIE

PROF. MARIA BARCIKOWSKA
Państwo ignoruje chorych na alzheimera

PROF. MAŁGORZATA HALICKA
Seniorzy narażeni na przemoc

PRZESTĘPCY Z MOKOTOWA
Bezwzględni gangsterzy i przekupni gliniarze

f Czy państwo powinno bronić taksówkarzy przed firmami takimi jak Uber?

Jak się już zabrać, to na *full*. Uberowcom dać wymagania formalne, jakie muszą spełniać licencjonowani taksówkarze. Na wszystkich przewoźnych nałożyć obowiązek przynależności do korporacji zawodowej (dopuszczającej do fachu, dbającej o standard usług, limitującej liczbę kierowców np. na podstawie liczby mieszkańców miasta). Wtedy korporacje konkurowałyby między sobą – renomą, sprzętem, ceną usług, personelem. Dla mnie zakałą rynku taksówkarskiego są „wolni strzelcy” – od mafii dworcowych, lotniskowych, naganiający klientelę agencjom, naciągający na wygórowane stawki. Od lat korzystam z jednej i tej samej korporacji z tradycjami. Dwa razy trafiłem na cwaniaków, dwa razy na „ociężałych”. Ale to promień na tle bardzo dobrze wykonanych usług.

Andrzej K. Radzikowski



Czy rządzącym puszcza nerwy? Na początku lipca Polska będzie gospodarzem 41. sesji Komitetu Światowego Dziedzictwa UNESCO, który wpisał Puszczę Białowieską na listę światowego dziedzictwa. Gdy oddajemy numer do druku, aktywiści Greenpeace blokują ciężki sprzęt do wycinki drzew. Poprzednią akcję, 8 czerwca, przerwała policja. Więcej na s. 50-51.


www.sklep.mleczko.pl
www.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA

Czy powinny zostać zaostrzone ograniczenia reklamy alkoholu?

PAŃSTWOWA AGENCJA ROZWIĄZYWANIA PROBLEMÓW ALKOHOLOWYCH

Z punktu widzenia zdrowia publicznego najbardziej pożądane byłoby wyeliminowanie reklam napojów alkoholowych. Ich wpływ na wielkość spożycia jest znaczący, w końcu alkohol reklamuje się po to, żeby ludzie go kupowali. Co więcej, grupą szczególnie wrażliwą na przekazy reklamowe jest młodzież, która w badaniach przyznaje, że również pod ich wpływem sięga po alkohol. Oczywiście obowiązujące prawo nawet reklamowanie piwa dopuszcza jedynie pod pewnymi warunkami. Nie zawsze jest ono jednak przestrzegane, np. zdarzają się reklamy sugerujące, że picie zapewnia dobrą zabawę lub relaks. Zgodnie z wiedzą naukową takie budowanie pozytywnych oczekiwań wobec alkoholu jest silnie skorelowane z poziomem jego spożycia. Krótko mówiąc: im więcej dobrego ludzie po nim się spodziewają, a te korzystne efekty pokazują właśnie reklamy, tym chętniej po niego sięgają.

KONRAD DROZDOWSKI, Związek Stowarzyszeń Rada Reklamy
Reklama alkoholu w Polsce jest już bardzo ograniczona, o wiele bardziej niż w większości krajów Unii. Oprócz istniejących ograniczeń ustawowych szczegółowe regulacje dla

swojego środowiska wprowadziła branża reklamowa – od 2008 r. w ramach Kodeksu Etyki Reklamy funkcjonuje załącznik „Standardy Reklamy Piwa”, który nakłada dodatkowe ograniczenia. Rada Reklamy oferuje ponadto usługę Copy Advice, pozwalającą skonsultować reklamę pod względem zgodności z kodeksem na wczesnym etapie jej tworzenia. Wiele kampanii reklamowych piwa przechodziło przez ten mechanizm. Prowadzimy również szkolenia dla osób tworzących reklamy, zwracając uwagę na ograniczenia w promocji napojów alkoholowych wynikające z przepisów prawa i z rozwiązań samoregulacyjnych. W monitoringu reklam piwa organizowanych przez Europejskie Stowarzyszenie Standardów Reklamowych (EASA) Polska znajduje się w gronie państw o najwyższym stopniu spełniania standardów w dziedzinie reklamy napojów alkoholowych.

DANUTA GUT, Związek Pracodawców Przemysłu Piwowarskiego w Polsce

Reklamy piwa podlegają bardzo restrykcyjnym ograniczeniom. Chodzi m.in. o dopuszczalne godziny i częstotliwość ich emisji w telewizji czy obowiązek przeznaczania 20% powierzchni każdej reklamy prasowej i billboardu na ostrzeżenia zdrowotne, co jest ewenementem na skalę światową. Tymcza-

sem polskie i światowe badania wyraźnie pokazują, że reklamy nie powodują wzrostu konsumpcji alkoholu ani obniżenia wieku inicjacji alkoholowej. Mimo że w latach 2012-2016 łączny czas emisji reklam piwa w telewizji wzrósł czterokrotnie, jego konsumpcja pozostała na podobnym poziomie. Krajowy rynek jest już bowiem nasycony, a rolą reklam jest budowanie pozycji marek oraz informowanie o nowościach. Reklama piwa to także wpływy z podatku VAT, sponsoring kilkudziesięciu klubów sportowych, sponsoring wielkich imprez sportowych, środki na pozalekcyjne zajęcia sportowe dla tysięcy uczniów i wreszcie miejsca pracy w branży reklamowo-marketingowej.

BRUNO SKALSKI, czytelnik PRZEGLĄDU



Uważam, że wiedza o negatywnych następstwach spożywania alkoholu jest w polskim społeczeństwie dosyć powszechna i w miarę rzetelna. Nie przeszkadzałoby mi zaostrzenie prawa w kwestii reklamowania piwa czy wódki, ale wolalbym, żeby najpierw zajęto się ilością oraz treścią reklam suplementów diety oraz szemranych pożyczek, bo w tych kwestiach poziom świadomości ludzi jest, jak sądzę, dużo mniejszy.

Not. Michał Sobczyk

SLD WIDZIANY OD ŚRODKA

Sojusz jest bez refleksji. A ma ogromny potencjał.
Armia ludzi nieprawdopodobnie lojalnych wobec partii

Rozmawia Robert Walenciak

Kieruje pan projektem badawczym, chyba największym w historii badaniem socjologicznym Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Ankiety, wywiady. Jaki jest więc SLD? Czy to jeszcze partia, czy już klub wspomnień?

– Elementem spoiwa, dzięki któremu SLD istnieje, jest pewien rodzaj pamięci wspólnoty przeżyć.

Wspólnego korzenia?

– Spotykałem się wielokrotnie z tezą, że tym korzeniem jest PRL. Nie chcę jej kwestionować, ale mocniej spaja ludzi SLD poczucie sukcesu i wspólnoty z początku lat 90.

LEGENDA LAT 90.

Czas SdRP.

– SdRP żyje w pamięci niemal wszystkich naszych rozmówców. Nie była miejscem robienia karier, bo trudno było prognozować kariery w takim miejscu i takim czasie. Była czymś innym – stworzyliśmy formację, wpisaliśmy się w polski system polityczny, uczestniczyliśmy w walce i odzyskaliśmy godność. Odzyskiwanie godności w tamtych realiach było nieprawdopodobnie ważną rzeczą i jest częścią spoiwa tego pokolenia, które dominuje ilościowo w SLD – tych, którzy od początku tę formację tworzyli.

W SLD nie ma zainteresowania jakkolwiek myślą!

Angażowali się nie dla owoców władzy, ale by nie uchodzić za obywateli drugiej kategorii.

– Dla mnie momentem poczucia odzyskania godności i pełnego obywatelstwa był rok 1995 ze zwycięstwem Aleksandra Kwaśniewskiego w wyborach prezydenckich. Symbolicznie to moment przełomu. Że już jesteśmy tak samo dobrymi Polakami. Ten wybór dla dużej części elektoratu Kwaśniewskiego był nie tylko



DR SŁAWOMIR WIATR

– współzałożyciel SdRP, poseł na Sejm X kadencji. Od 27 lat przewodniczący Fundacji im. K.Kelles-Krauza, od dwóch lat szef Komitetu Koordynacyjnego Forum Postępu.

wyborem najlepszego, według wielu, kandydata, ale także osobistym spełnieniem. To był moment kluczowy.

A rok 2001 i ponad 41% głosów oddanych w wyborach parlamentarnych na SLD?

– W chwili zwycięstwa Aleksandra Kwaśniewskiego nastąpiło symboliczne pożegnanie z kompleksem bycia tym gorszym, niepełnoprawnym. Ale wtedy też – wiele osób nam to mówi – zaczął się przyspieszony proces

to było złe. Że partia, która w krótkim czasie wielokrotnie powiększyła stan członkowski, do 150 tys., nie sprawdziła się. Że to rwało dotychczasowe więzi, rwało zasady etyczne. Że potem przyszły skandale, z których trudno było się tłumaczyć. Na to nakłada się ówczesna rzeczywistość – następuje wielkie zwycięstwo 2001 r., a sytuacja gospodarcza jest, jaka jest, musimy dokończyć adaptację naszego prawa do unijnych norm i realizujemy politykę, której zabrakło wrażliwości. Nagle cięcia objęły rzeczy, które budżetowo nie miały znaczenia, takie jak dopłaty do barów mlecznych czy ulgi komunikacyjne dla studentów. Nie zapaliła się lampka: panowie, nie tu oszczędzajmy! I druga rzecz, która mocno z tym się wiąże – ta partia nagle przestała istnieć, w tym sensie, że wszyscy jej funkcjonariusze, oprócz skarbnika, znaleźli się w strukturach rządowych. **Budząc zazdrość tych, którzy się nie załapali.**

– W rozdawnictwie nie wszyscy się znaleźli. Dlatego część frustracji zogniskowała się w klubie parlamen-

wewnętrznej zmiany. Polegający na zmianie struktur wewnętrznych partii. SdRP była otoczona kilkudziesięcioma niezależnymi organizacjami, to była szeroka koalicja, otwarta na różne wrażliwości, różne środowiska. Zastąpić to miała struktura jednej partii.

W tamtym czasie większość była za budową jednej partii.

– A teraz w naszych badaniach, na poziomie członków SLD i funkcjonariuszy powiatowych, dominuje pogląd, że

tarnym. Oni uważali, że owoce władzy zostały podzielone niesprawiedliwie.

W roku 1993 tak nie było.

– Dlatego że mentalność tej partii się zmieniła, to już była partia triumfu. Pragmatyzm doprowadził do sukcesu – więc stał się największą cnotą. Owszem, formacja musi mieć cechy pragmatyczne, ale nie może być odewana od swoich zasad. To, co wydarzyło się w kwietniu 2004 r., wyjście z SLD grupy Marka Borowskiego, nie nastąpiło dlatego, że ta grupa została czymś dotknięta. To był proces. Już wcześniej, w lipcu 2003 r., Marek Borowski postulował głębokie zmiany.

Ale mleko wylało się w 2004 r.

– To był szok. Odchodzą ludzie, którzy współtworzyli formację. Tym samym rozbity został wizerunek lewicy. Składał się on z kilku elementów. Po pierwsze, partia jednak ideowa. Po drugie – ugrupowanie ludzi wobec siebie lojalnych. Po trzecie – partia przewidywalna. Katastrofa 2004 r. trwale zniszczyła wizerunek SLD jako środowiska spójnego, wewnętrznie lojalnego, o jakichś cechach ideowych i programowych. Od tego czasu pojawia się w SLD głęboki kryzys przywództwa, z którego Sojusz nie wyszedł do dziś.

SEKTA SLD

Wiemy, co Sojusz stracił. Ale dlaczego tego nie odzyskał?

– Ponieważ stało się coś, co przedtem było niezauważalne – formacja i ludzie ją tworzący zaczęli funkcjonować trochę jak sekta. Stracili dotychczasową otwartość. Wygrało myślenie: my, Sojusz, i ci na zewnątrz. A największe zagrożenie to ci, którzy byli z nami przed chwilą!

Sekta ma religię. Twarde zasady. Tu ich nie było. Partia była pragmatyczna. Co było więc twardego dla tej sekty? Jedyńka na liście wyborczej?

– Owszem, ten typ fruktu. To wielka słabość SLD. W wyborach 2015 r. straciliśmy reprezentację parlamentarną. Gdybyśmy jej nie stracili, mieliśmyby kilkadziesiąt osób w Sejmie. Ale kogo? Łatwo sprawdzić, jak wyglądałby klub SLD, gdybyśmy weszli do parlamentu – to byłaby czysta, żywa kontynuacja, z małymi korektami.

Mamy partię z grupą liderów, regionalnych i w centrali, którzy ustawiają się na pierwszych miejscach list wyborczych. Jedyńnych biorących.

Dla nich każdy, kto przychodzi do partii, kto chce coś zmienić, oznacza zagrożenie. Z ich punktu widzenia najlepiej jest tak, jak jest.

– Prześledzenie list wyborczych, składów klubów parlamentarnych, tę tezę potwierdza.

W takiej partii niepotrzebni są nowi członkowie, zbędne są dyskusje wewnętrzne, wszystko, co burzy ustalony porządek.

– Z tak sformułowaną tezą się nie zgadzam. Nasz projekt badawczy realizowaliśmy w sześciu województwach, prowadziliśmy tam konferencje, seminaria, wywiady. I przekonaliśmy się, że w SLD jest oczekiwanie na dyskusję. Czego natomiast brakuje? Demokracji wewnętrznej. Ankiety pokazują

Katastrofa 2004 r. zburzyła wizerunek SLD jako środowiska spójnego, wewnętrznie lojalnego, o jakichś cechach ideowych i programowych.

niską ocenę demokracji i komunikacji wewnętrznej. To znaczy, że zarządzający tym procesem albo nie są tego świadomi, albo nie mają zdolności organizowania takiej formy życia. Nie mają predyspozycji. Jeżeli nie masz predyspozycji – będziesz tego unikał. Bo musisz potwierdzić swoje przywództwo. Również w kategoriach intelektualno-politycznych.

Proponuję spojrzeć na PiS. Owszem, wewnętrznej demokracji tam nie ma, ale partia jest obudowana fundacjami, think tankami, mediami, klubami. Ona żyje, coś się tam dzieje. A w SLD? Nic takiego nie zostało zrobione. Dlaczego? Czy dlatego, że liderzy zapomnieli o takich sprawach? A może lewicowe społeczeństwo nie jest tego typu aktywnością zainteresowane?

– Myślę, że jest zainteresowane. Choć nie wiem, czy bylibyśmy w stanie skupić tyle osób w takich strukturach, jakie tworzą rodzina Radia Maryja czy Kluby „Gazety Polskiej”. Tam wszystko jest budowane na stanach emocjonalnych. Czy socjaldemokracja potrafi budować na takich emocjach? Na pewno w mniejszym stopniu.

CO INTERESUJE SZEFÓW?

Na jakich więc buduje?

– Co mieliśmy wspólnego, gdy tworzyliśmy Forum Postępu, które zrzesza różne środowiska i kluby lewicowe? Co nas łączyło? Poczucie,

że nie mamy żadnego wpływu. Że nie mamy żadnej relacji z SLD, a reprezentujemy środowiska wydające „Myśl Socjaldemokratyczną”, „Zdanie”, „Przegląd Socjalistyczny”, „Res Humana”. To nie są środowiska masowe, ale są opiniotwórcze, myślące, mają co wniesić. A naszym wspólnym fundamentem był kompletny od lat brak zainteresowania SLD jakkolwiek myśla! Czasami formacja zwracała się do naszych ekspertów, żeby jej wyjaśnili czy te 6% albo 7,5% w sondażach to jest trwała tendencja, mniej trwała, co oznacza i czy to się przesuwą z Nowego Dworu na Mińsk Mazowiecki, czy w drugą stronę. Co oczywiście jest ciekawe z punktu widzenia jakichś technik kampanii wyborczej, ale poznawczo kompletnie jałowe.

Partia, którą interesują tylko słupki. Bardzo ciekawe...

– A jeżeli tak, to dlaczego te kilkanaście tysięcy osób tam trwa? Poziom zadowolenia z Sojuszu ludzi tworzących Sojusz jest stosunkowo niski. Natomiast poziom lojalności wobec wspólnej organizacji – bardzo wysoki. **Narzekają, ale są.**

– Ci, którzy w SLD zostali, to ludzie ideowi. Rozumiejący. Nawet jeśli ta partia nie reprezentuje w pierwszej linii sfery obyczajowej, antyklerykalnej itd., to absolutnie akceptuje i uważa za ważne i kwestie równości, i kwestie wolności, i kwestie laickości państwa, i kwestie sprawiedliwości społecznej. W bazie ludzi tworzących SLD otwartość na różne typy wrażliwości lewicowej jest ogromna.

zmarł

Jerzy Peltz

dziennikarz, krytyk filmowy,
powstaniec warszawski.

Był jurorem wielu festiwali filmowych
w Polsce i na świecie. Przewodniczącym
polskiego oddziału FIPRESCI.

Powszechnie szanowany i lubiany.
Dla naszego środowiska był autorytetem
i wsparciem.

Zarząd Główny i Zarząd Warszawski
Stowarzyszenia Dziennikarzy RP

Tegoroczny pochód pierwszomajowy w Łodzi zorganizowany przez SLD.

► **A pokazywane są badania, że to partia wręcz konserwatywna.**

– Nieprawda. Wystarczy z tymi ludźmi porozmawiać. Tylko że takich rozmów nie ma. Potencjalnie to nie jest partia, która się zamyka.

A jednak się zamyka.

– Tam chodzi o coś innego – wysiłek, który trzeba by na co dzień włożyć w budowanie takiej partii, z punktu widzenia marzeń o silnym przywództwie jest nieekonomiczny. Łatwiej pielęgnować swoje przywództwo, niż prowadzić rozmowę, uruchamiać dialog na różnych poziomach. Dlatego jest inny pomysł na budowanie spoistości – personalizacja. Za to, że Sojusz jest w takiej sytuacji – tłumaczy się ludziom – winę ponoszą Kwaśniewski i Miller, i ich szorstka przyjaźń. I Borowski, bo rozbił partię. I Cimoszewicz, bo zrezygnował z kandydowania. A pani Basia to nie jest człowiek lewicy. Tyle że w ten sposób budujemy absurdalną rzeczywistość.

Przypisywanie win innym to najprostszy sposób zagadywania własnych niedoskonałości.



W SLD jest oczekiwanie na dyskusję. Czego brakuje? Demokracji wewnątrzpartyjnej.

– Tak to w SLD wygląda. Ludzie chętnie przyjmują łatwe wytłumaczenia. Narzekają po kątach, ale zachowują się konformistycznie. W tej organizacji nie ma modelu kulturowego, żeby tworzyć miejsce dla nonkonformistów. Suma tego wszystkiego, tej kultury korporacyjnej, powoduje, że partia jest bez refleksji. A ma ogromny potencjał, polegający na tym, że

jest tam armia ludzi nieprawdopodobnie lojalnych wobec tej partii, którym naprawdę zależy. Mają problem, bo pewnych rzeczy nie rozumieją, a partia w zrozumieniu nie pomaga. Zamykają się więc w schematach sekciarskich, my-oni. Łatwo w ten sposób się steruje nastrojami, zachowaniami.

UROK PLATFORMY

Dlaczego sympatycy, wyborcy SLD przeszli do PO?

– Powodów jest kilka. Pierwszy, podstawowy, to procesy wewnętrzne, sprawiające, że SLD stracił i dla swojego wnętrza, i dla otoczenia cechy, które mu przypisywano i które na początku lat 90. być może były prawdziwe. O tym już mówiliśmy. Drugi istotny czynnik – wsłuchajmy się w to, co mówią najważniejsi ludzie Sojuszu, co celebrują. Łatwo to wyliczyć: 20-lecie konstytucji, referendum akcesyjne, Unia Europejska, rocznica wejścia do NATO. Tymczasem rzecz polega na tym, że im bardziej przypisujemy sobie ten dorobek, tym bardziej sobie szkodzimy.

?

– Tak, to były milowe kroki na drodze ku nowej geopolitycznej pozycji Polski i transformacji ustrojowej. Tylko że w tych sprawach, po pierwsze, byliśmy ledwie kolejnym ogniwem. A po drugie – żadna z nich nie ma wymiaru aksjologicznego, w sensie cech socjaldemokratycznych. Do tego mówimy: mieliśmy prezydenta, trzech premierów. To akurat się kłóci z ich dzisiejszymi stosunkami z SLD i wzajemnymi relacjami, ale to drobiazg. Ważniejsze, że w ten sposób prezentujemy się jako pierwsza formacja potransformacyjna. Że transformacja to my. I to nas pozbawia dystansu do jej efektów. Bo jeżeli miała ona w pewnych obszarach skutki negatywne, to nie można o nich mówić wiarygodnie, jeśli cała narracja SLD dotyczy dumy z transformacji i podkreślenia, że to zasługa lewicy. Tymczasem co najmniej jedna trzecia społeczeństwa w tej transformacji nie za dobrze się czuje. A jeszcze jak się znalazł wyraziciel ich odczuć, to nasz okrzyk, że my tu, że jesteśmy wrażliwi, jest co najwyżej śmieszny.

WROCŁAWSKI KLUB DOBREJ PAMIĘCI ZAPRASZA

wszystkich zainteresowanych tematem na spotkanie z **prof. Stanisławem Nicieją**, byłym rektorem Uniwersytetu Opolskiego, autorem cyklu książek pod wspólnym tytułem „Kresowa Atlantyda”.

Spotkanie ma charakter otwarty i odbędzie się

w środę, 21 czerwca, o godz. 18.00, jak zwykle w gościnnych progach **kawiarni Wolak we Wrocławiu, przy ul. Legnickiej 158.**

Jak to pogodzić? Partia establishmentu, która mówi o sobie, że jest lewicowa i wrażliwa społecznie?

– Jest to sprzeczność. Owszem, można by stworzyć jakąś narrację, socjalliberalną, żeby to tłumaczyć. Ale jest jeszcze Platforma.

I?

– Eklektyzm PO powoduje do dziś, że ludzie lewicy często na nią oddają głos, uważając to za mniejsze zło. Porządkowanie myślenia jest takie: z jednej strony PiS, a z drugiej Platforma, która nie formułuje się antykomunistycznie, nie jest antylewicowa, jest eklektyczna. Czyli nasi przedstawiciele mogą tam znaleźć sobie miejsce, tak

jednoznaczność. Opowieści konstruowane na zdaniach złożonych są nie-skuteczne. Sojusz musi więc sobie odpowiedzieć na pytanie, do czego ma się odnosić.

Do czego?

– To, co powiem teraz, byłoby skuteczne, pod warunkiem że Sojusz, zamiast ganiać po mediach i to głosić, musiałby wpięć wewnątrz nie to przegadać. Oswoić siebie, ludzi, sprawdzić, na ile to rozumieją, akceptują. Ze sprawami społecznymi, bytowymi się nie żegnamy. Ale na pierwszą linię muszą iść dzisiaj sprawy ustrojowe, konstytucyjne. A w tych konstytucyjnych też musi-

bierzemy aktywny udział. I zaczynamy się różnić od Platformy. Te wszystkie sprawy muszą się stać elementem tożsamości SLD, bo jak nie, to będą tylko ładne hasła.

Albo łotka PZPR.

– Polityki historycznej SLD nie może odpuścić. Ale to temat na inną dyskusję.

– Zakłada pan, że ludzie SLD dokonają gigantycznej pracy edukacyjnej. Tyle lat tego nie robili, dlaczego teraz mieliby to zrobić?

– Jesteśmy w roku 2017, po Kongresie Lewicy. I nikt nie zadał sobie pytania, jakie były motywacje tych 2 tys. ludzi, którzy tam byli. Po co przyjechali? Co chcieli zademonstrować? Owszem, trzeba tę partię rozhermetyzować, otworzyć. Na inne środowiska.

Od 13 lat mamy w Sojuszu głęboki kryzys przywództwa.

jak Danuta Hübner czy Dariusz Rosati. I się mieszczą.

I tysiące wyborców lewicy razem z nimi.

– Badania to pokazują – pierwszą cechą ludzi tworzących SLD jest ich bardzo silne nastawienie antypisowskie. A jednocześnie partia co chwilę mówi: trzymajmy równy dystans do PiS i do PO. Co to oznacza w praktyce? Że wyborca lewicy, ten wahający się, gdy dociera do niego sygnał o równym dystansie, nabiera podejrzeń: jeżeli tak, to może oni stworzą koalicję z PiS? Nie daj Boże! Nie ma co ryzykować! To powoduje, a są to rzeczy nieodwracalne, że część naszych wyborców przechodzi do PO, bo to główny wróg PiS. A że Platforma jest eklektyczna, wszystkich zmieści. Zresztą ta nasza partia też taka w dużej mierze była.

PO PIERWSZE, TRZEBA SIĘ NAUCZYĆ

Ludzie odpływają do PO. A do PiS?

– Nie ma odpływu elektoratu do PiS. Nie straciliśmy elektoratu socjalnego – myśmy go nie mieli. Ale politykę równego dystansu realizujemy. Dlatego dzisiaj Sojusz ma problem komunikacyjny, jak znaleźć się w tej sytuacji.

Jak?

– Słyszę taki przekaz: w sferze ideowej stoimy na gruncie obecnej konstytucji, a w sferze socjalnej jesteśmy po tamtej stronie. Może twórcom takiego komunikatu wydaje się, że to mądre, sprytne i przemawia do ludzi? Otóż nie! Potrzebna jest absolutna



Lider SLD Włodzimierz Czarzasty podczas demonstracji przed Sejmem w obronie emerytur mundurowych, 29 kwietnia 2017 r.

my na czymś położyć silny akcent – na sferze wolności, równości. Żeby to skutecznie robić, trzeba tę partię tak kształtować. Otworzyć na współpracę z innymi środowiskami. A my jesteśmy odcięci od środowisk kultury, dla których wolność to podstawowa rzecz. Równość to nie są tylko geje i lesbijki, to również kobiety ze swoją wrażliwością, zwłaszcza te, które się organizują. Wreszcie trzeci punkt – jesteśmy proeuropejscy. Owszem, inni też są. Ale my mamy oczekiwania wobec Unii. Mamy swoje wyobrażenie Europy. W debacie, która toczy się w ramach europejskiej lewicy,

Na Razem? To syzyfowa praca.

– Że z Razem nie da się stworzyć koalicji, to oczywista oczywistość. Ale Razem wzmacnia SLD. Dlatego że atakując Sojusz za różne rzeczy, atakuje nasz elektorat. Jeżeli w Razem mówią, że SLD to partia koniunkturalna, postkomunistyczna, taka, siaka i owaka, nasz wyborca nie pójdzie już na nich głosować. Bo oni mu tej godności nie dają. SLD ma więc swoje miejsce. Jego potencjał jest na poziomie solidnych dziesięciu lub kilkunastu procent. Ale pod pewnymi warunkami.

Robert Walenciak

OPOZYCJA DO WIĘZIENIA

W 1932 r. zapadły haniebne wyroki w procesie brzeskim

Krzysztof Wasilewski

Minęło półtora roku, od czasu gdy Polskie Stronnictwo Ludowe złożyło w Prezydium Sejmu wniosek o uznanie za nieważne wyroków wydanych w 1932 r. na byłych posłów na Sejm II RP skazanych w tzw. procesie brzeskim pod sfigowanymi zarzutami – za działalność przeciw sanacyjnemu państwu, choć w rzeczywistości na rzecz demokratycznej Polski.

85 lat temu w najgłośniejszym procesie politycznym okresu międzywojennego skazano na więzienie przywódców Centrolewu – wybitnych ludowców i członków PPS: Wincentego Witosa, Adama Ciołkosza, Stanisława Dubois, Mieczysława Mastka, Józefa Putka, Adama Pragiera, Norberta Barlickiego, Hermana Liebermana, Władysława Kiernika oraz Kazimierza Bagińskiego. Dyspozycyjny politycznie sąd wymierzył im kary od półtora roku do trzech lat więzienia. Sam proces i wydane w nim wyroki odbiły się echem w Europie, uznawano je za niezbity dowód schodzenia Polski z demokratycznej drogi w stronę rządów autorytarnych.

Dzisiaj będący w rękach PiS parlament z marszałkiem Kuchcińskim robi wszystko, by nie zajmować się projektem ludowców. Wyszukuje różnego rodzaju kruczki prawne. Postępowanie władz PiS spotyka się z zarzutami, że ekipie Kaczyńskiego miłe są metody stosowane przez rządy pułkowników – dlatego PiS skazanych w pokazowym procesie brzeskim traktuje jak przestępców. A może dlatego, że coraz szybciej zbliżamy się do nowego, pisowskiego, procesu brzeskiego?

PRETEKST DO ROZWIĄZANIA SEJMU

„Powyższe fakty, niespotykane w świecie cywilizowanym, musimy uznać za hańbę XX w.”, alarmowali w liście otwartym polscy intelektuali-

ści na wieść o aresztowaniu przywódców Centrolewu we wrześniu 1930 r. Decydując się na pokazowy proces przeciwników politycznych, Józef Piłsudski i jego stronnicy pogrzebali ostatnie pozory demokracji w II Rzeczypospolitej.

„Parlamentaryzm polityczny do- by dzisiejszej przeżył się i nie jest już zdolny do spełniania zadań, jakie życie nowoczesnego państwa nań nakłada”, ogłosił zdumionym senatorom premier Kazimierz Bartel 12 marca 1930 r. Wkrótce po tych słowach podał swój rząd do dymisji. Zarówno przemówienie Bartla, jak i jego późniejsza rezygnacja wpisywały się w plan Piłsudskiego, którego celem było drastyczne pomniejszenie roli parlamentu.

Zanim więc prezydent Ignacy Mościcki powierzył misję tworzenia rządu Waleremu Sławkowi, Piłsudski przekazał opozycji – a właściwie po-

rozwiązania parlamentu i wprowadzenia rządów autorytarnych.

OD GRÓŻB DO CZYNÓW

Podjęta przez Centrolew próba zwołania Sejmu nie powiodła się. Sesja, która miała się odbyć 23 maja 1930 r., została natychmiast przesunięta o miesiąc, a po upływie tego okresu zamknięta. W konsekwencji 23 czerwca zwołano w Krakowie Kongres Obrony Prawa i Wolności Ludu. Tam przyjęto rezolucję potępiającą Piłsudskiego, rząd i prezydenta. W trakcie obrad, przy ogólnym aplauzie, pojawiło się hasło „Precz z dyktaturą”, którego do tej pory starano się unikać. Przyparta do muru opozycja radykalizowała się.

W odpowiedzi na krakowskie wydarzenia prezydent Mościcki rozwiązał Sejm i Senat z dniem 30 sierpnia 1930 r., niezgodnie z prawem skraca-

WYROKI NA POSŁÓW

- **Adam Ciołkosz (PPS), Stanisław Dubois (PPS), Mieczysław Mastek (PPS), Józef Putek (PSL „Wyzwolenie”), Adam Pragier (PPS)** – trzy lata więzienia
- **Norbert Barlicki (PPS), Herman Lieberman (PPS) i Władysław Kiernik (PSL „Piast”)** – dwa i pół roku więzienia
- **Kazimierz Bagiński (PSL „Wyzwolenie”)** – dwa lata więzienia
- **Wincenty Witos (PSL „Piast”)** – półtora roku więzienia
- **Adolf Sawicki (SCh)** – uniewinniony

dyktował – cztery warunki współpracy nowej rady ministrów z Sejmem. „Posłowie – pisze historyk Wojciech Roszkowski – mieli się nie wtrącać do składu gabinetu i jego bieżących prac ani realizacji uchwalonego budżetu; Sejm miał zrezygnować ze swego prawa zatwierdzenia nowych kredytów dla rządu oraz nie zbierać się w ciągu najbliższego półroczu”. Innymi słowy, parlament miał pełnić jedynie funkcje dekoracyjne.

Trudno było oczekiwać, że partie opozycyjne przystaną na takie warunki. Nie o kompromis jednak Piłsudskiemu chodziło, lecz o pretekst do

jąc o ponad dwa lata kadencję obu izb. Dotychczasowi parlamentarzyści stracili immunitety, o czym skwapliwie przypomniał Piłsudski, strasząc w prasie przywódców opozycji poważnymi konsekwencjami, z aresztowaniem włącznie.

W wywiadzie udzielonym „Gazecie Polskiej” na przełomie sierpnia i września 1930 r. Piłsudski nie przebierał w słowach: „Poseł do Sejmu jest stworzony na to, ażeby głupio pytał i głupio mówił. (...) Zdaniem moim, w każdym urzędzie pana posła należy usuwać za drzwi, jeśli zaś przy tym coś im dołożą – to także nie szkodzi.

Pikieta młodzieżówki PSL w czasie składania kwiatów przez ministra Krzysztofa Jurgieła pod pomnikiem Wincentego Witosa, 5 czerwca 2017 r.



(...) Mus zajęcia się byłymi posłami do Sejmu – i wyznam panu, że to drugie zajęcie zmusza mnie do pracy bardzo wstrętnej, mianowicie – do babrania się w nieczystościach”. To tylko próbka języka marszałka. Sformułowania rodem z więziennej celi wcale nie były przypadkowe, nie wynikały też z wybuchowego charakteru Piłsudskiego. Zostały użyte celowo, z zadaniem podkopania autorytetu opozycji w społeczeństwie.

Piłsudski nie powiedział natomiast, że już 1 września osobiście sporządził listę polityków do uwięzienia. Jeszcze wcześniej zlecił ministrowi spraw wewnętrznych Felicjanowi Sławojowi-Składkowskiemu zgromadzenie dokumentacji obciążającej każdego z przywódców Centrolewu. Były to tzw. kondemnatki. Oficjalnie określały one „stopień winy i obciążenia poszczególnych posłów”, faktycznie zaś stanowiły „listę rzeczywistych lub wymyślonych przewinień danego posła kolidujących z prawem, na podstawie których można było wytoczyć mu proces sądowy”. Wkrótce agresja słowna Piłsudskiego znalazła potwierdzenie w czynach. W nocy z 9 na 10 września 1930 r. aresztowano kilkunastu polityków Centrolewu. Wybór daty nie był przypadkowy, gdyż na 14 września opozycja zapowiedziała masowe protesty w całym kraju. Spośród aresztowanych najwięcej należało do Polskiej Partii Socjalistycznej, pozostali byli członkami Polskiego Stronnictwa Ludowego „Wyzwolenie”, Polskiego

Stronnictwa Ludowego „Piast”, Narodowej Partii Robotniczej, Polskiego Stronnictwa Chrześcijańskiej Demokracji oraz Stronnictwa Narodowego.

Do aresztu trafiła elita polityczna. Lista osadzonych mogła być jednocześnie listą polityków najbardziej zasłużonych dla odbudowy polskiej państwowości. Byli to m.in. Stanisław Dubois, Adam Ciołkosz, Karol Popiel, Herman Lieberman, Wojciech Korfanty i Wincenty Witos. Zwłaszcza dwaj ostatni symbolizowali odrodzoną Rzeczpospolitą. Wsadzając ich do

licjantów i żandarm wojskowy. (...) Aresztowania przeprowadzono w wielu wypadkach w sposób brutalny”.

Pytania o powody tych najść pozostawały bez odpowiedzi. Kiedy Władysław Kiernik zalił się, że nie zdążył zabrać rzeczy osobistych, komisarz policji odparł: „Nie będą panu potrzebne. W ziemi wystarczy cztery deski”. Z kolei od eskortujących go policjantów Stanisław Dubois usłyszał: „Pan nie został aresztowany, tylko izolowany. Dla takich, którzy organizują wywrotowe kongresy i kumają

Aresztowano 84 byłych posłów i senatorów. Całkowitą liczbę więźniów politycznych szacuje się na 5 tys.

więzienia, Piłsudski chciał pokazać, że nic ani nikt nie stanie mu na drodze do realizacji jego wizji państwa. Jak pisze historyk Łukasz Kopytko, „wiadomo było, że marszałek wybrał tych, z którymi miał zadawnione rachunki, oraz tych, którzy ostro polemizowali z przedstawicielami sanacji w czasie posiedzeń Sejmu”.

Aresztowań dokonywano z zaskoczenia, z pogwałceniem prawa. Jak wspominał jeden z uczestników tamtych wydarzeń, „między 2 a 3 po północy, gdy cała Warszawa pogrążona była w głębokim śnie, u bram szeregu domów rozległy się ostre dźwięki dzwonka, szarpanego niecierpliwą ręką. Przed każdą taką bramą stały grupki ludzi, zawsze w takim samym składzie: komisarz policji, kilku po-

się z komunistami, pan marszałek wyznaczył rezerwy. Nie będziecie zapowietzać wyborów”.

MĘTNE TŁUMACZENIE PIŁSUDSKIEGO

Nazajutrz, 11 września, wydano oficjalny komunikat, pełen fałszywych oskarżeń i manipulacji. Władze informowały w nim bowiem o zatrzymaniu polityków, którzy „dopuszcili się przestępstw natury zarówno kryminalnej (kradzieży, oszustwa, przywłaszczenia itp.), jak i politycznej (strzelania do policji, nawoływania do gwałtu i nieposłuszeństwa władzom, wystąpienia antypaństwowe) itd.”.

Mało kto uwierzył w tłumaczenia strony rządowej. Nawet tytuły pra- ▶

sowe starające się zachować równy dystans między władzą a opozycją uważały aresztowanie przywódców politycznych za skandal. „Niepodobna się łudzić co do wniosków, które z tego faktu będą powszechnie wyciągane. Na czele tych wniosków będzie szło przeświadczenie, że rządowi idzie o to, aby w przededniu wyborów pozbawić masy przywódców, osłabić w ten sposób kierunki polityczne i zapewnić sobie bierność wyborczą”, pisał „Kurier Warszawski”.

Sam Piłsudski dosyć pokrętnie tłumaczył zatrzymania. Na pytanie dziennikarza o dowody winy poszcze-

Aresztowanych bito na każdym kroku i z upodobaniem.

gólnych oskarżonych odpowiedział: „Niestety, nie mogę panu powiedzieć zupełnie ściśle, za co właściwie taki czy inny pan jest ścigany przez sprawiedliwość, gdyż przy każdym nazwisku sprawiedliwość stawia paragrafy i artykuły karne, których ja, niestety, nie znam. (...) Aresztowania są zatem pod względem wyboru dość przypadkowe. Mógłbym wybierać co piątego, co dziesiątego, bo przecież doprawdy ci panowie postawie upodobili sobie dość dziwny sposób życia dla obrony »prawa wolności«. Takie »prawa wolności« to koń by się z tego śmiał, mówiąc językiem legionowym”.

ZACZĘŁO SIĘ BICIE

Jak Piłsudski i jego zwolennicy rozumieci prawa wolności, aresztowani przekonali się na własnej skórze. „Bito na każdym kroku i z upodobaniem – pisał Marek Ruszczyk. – W nocy klucznik wywołał z celi Karola Popiela i prowadził go do kancelarii. (...) Tam pochwyciło Popiela kilka rąk i zaczęło się bicie. Witos, który oglądał później rany Popiela, powiedział, że to nie do wiary, aby człowiek tak skatowany przeżył”.

I dalej: „Ciężko chory na serce Lieberman zastał któregoś dnia przy sprzątanii. Na szczęście strażnik gdzieś odszedł. Nieszczęśnik ostatkiem sił wszedł do umywalni, gdzie Witos pod nadzorem żandarma mył podłogę. Na widok staniającego się na nogach starca nawet w sercu żandarma odezwała się litość. Zezwolił Witosowi dokończyć za Liebermana pracę na korytarzu”.

Nad więźniami znęcano się także psychicznie. Co warto podkreślić, za

pełną wiedzą i aprobatą Piłsudskiego oraz rządu. Strażnicy regularnie organizowali „egzekucje”, których celem było zastraszenie i upodlenie opozycyjnych polityków. Witos pisał we wspomnieniach: „Zaczęto wyprowadzać powoli jedną celę za drugą. (...) Gdy już wszystkich sprowadzono, dłuższą chwilę odbywały się jakieś tajemnicze szepty, potem słychać było zgrzyt klucza, krzyki, w pewnym momencie strzały i komendę »Obrócić się do ściany!«, potem trzask podobny do przgłuszonego strzału, następnie znowu otwieranie drzwi i znowu to samo...”.

Komendantem twierdzy brzeskiej był zaufany człowiek marszałka – płk Wacław Kostek-Biernacki. „Piłsudski wybrał Biernackiego, bo ten zawsze wykonywał jego polecenia bez mrugnięcia okiem. Kiedy zachodziła potrzeba, był bezwzględny, a zarazem ślepo lojalny wobec marszałka. Wszelką odpowiedzialność za popełnione czyny brał na siebie”, tłumaczy biograf Biernackiego, dr Piotr Cichoracki.

Łącznie w toku kampanii poprzedzającej wybory parlamentarne aresztowano 84 byłych posłów i senatorów. Całkowitą liczbę więźniów politycznych szacuje się natomiast na ok. 5 tys. Polityków osadzonych w twierdzy brzeskiej przetrzymywano w ścisłej izolacji, bez możliwości

kontaktu z rodziną czy nawet z prawnikami. „Dyscyplina więzienna jest twarda i może ci panowie, gdy wyjdą z więzień, okazać się ludźmi bardziej zdyscyplinowanymi niż wówczas, gdy tak bezpiecznie »służyli Polsce w Sejmie«”, stwierdził Piłsudski. Dopiero 23 listopada 1930 r., w dniu wyborów do Senatu, przewieziono więźniów do Warszawy, skąd stopniowo zwalniano ich za kaucją. Ostatni poseł wyszedł na wolność 29 grudnia.

Proces rozpoczął się 26 października 1931 r. i trwał do 13 stycznia 1932 r. Nikt nie miał wątpliwości, że całość została starannie wyreżyserowana, na wzór znany do tej pory z realiów radzieckich. Rozprawom przewodniczył Klemens Hermanowski, wiceprezes Sądu Okręgowego w Warszawie, którego wspierała trójka innych sędziów. Na ławie oskarżonych znalazło się 11 najważniejszych polityków Centrolewu: Wincenty Witos, Władysław Kiernik, Herman Lieberman, Kazimierz Bagiński, Norbert Barlicki, Adam Ciołkosz, Stanisław Dubois, Mieczysław Mastek, Adam Pragier, Józef Putek i Adolf Sawicki.

Zostali oskarżeni o to, że „od 1928 r., po wzajemnym porozumieniu się i działając świadomie, wspólnie przygotowywali zamach, którego celem było usunięcie przemocą członków sprawującego w Polsce władzę rządu i zastąpienie ich przez inne osoby”. Działalność ta miała m.in. polegać na „wywoływaniu i podniecaniu w ma-

[illegible]

PROKURATOR
PRZY
SĄDZIE OKRĘGOWYM
w Warszawie
M. W. 2333/33
22 grudnia 1933 r.

Do
Główniej Komendy Policji
Państwowej
w Warszawie.

W wykonaniu wyroku S.Ap. w W-wie z dn. 20.7.
1933 r., załączając przy niniejszym tekst listu go-
ścinnego na zbiegłym Wincentym Witosem
proszę o umieszczenie wspomnianego listu gościnnego
w „Gazecie Siedleckiej”.
W załączeniu fotografii.

Prokurator

Sekretarz

Przekazano w G. S. 1795
z dn. 22. XII. 33
Ref. P. 204

Przek. Wp. Nr 45.
Druk. Dr. Fr. W. K. Warszawa Błaga 52. 435-27



Oskarżeni Józef Putek (od lewej), Kazimierz Dobrowolski, Adam Pragier, Herman Lieberman i Mieczysław Mastek w drodze na rozprawę.

sach nastrojów rewolucyjnych” oraz na „organizowaniu, szkoleniu i uzbrajaniu kadr rewolucyjnych i na tworzeniu kierowniczej organizacji rewolucyjnej, występującej na zewnątrz pod nazwą »Centrolewu«”.

KOMPROMITACJA PROKURATURY I POLICJI

Powszechnie było wiadomo, że wyrok został wydany w chwili podjęcia decyzji o aresztowaniu. Sam proces miał odgrywać jedynie rolę propagandową, obnażając przed społeczeństwem małość polityków opozycji. Adam Pragier trafnie zauważył, że „wszystkie czynności sądowe, także i ta gigantyczna rozprawa, są formalnością potrzebną do »pokrycia« uwięzienia przywódców opozycji w Brześciu”.

Wbrew nadziejom władz proces zamienił się w farsę. Mimo starań doświadczonych prokuratorów – Witolda Grabowskiego i Roberta Rauzego – świadkowie oskarżenia okazywali się bądź niekompetentni, bądź zwyczajnie głupi. Do tej drugiej grupy z pewnością należał Kazimierz Stamirowski, wiceminister spraw wewnętrznych. Na pytanie o działalność wywrotową oskarżonych Stamirowski odpowiadał: „Starano się wnikać w duszę i stosunki rodzinne i osobi-

ste tych ludzi, którymi się posługiwał marszałek Piłsudski, i ich zohydzić. Każdy był złodziejem, każdy miał jak najgorsze instynkta”.

Kiedy poproszono go o konkrety, wiceminister powołał się na niemiecką broszurę, w której polscy socjaliści mieli żądać rewizji granic. Dopytywany o szczegóły Stamirowski przyznał, że broszury w ogóle nie widział, a jej treść znał jedynie z informacji osób trzecich. Co więcej, nie mógł tych informacji zweryfikować, gdyż nie znał niemieckiego.

Nie lepiej wypadł dyrektor Departamentu Politycznego MSW Aleksander Hauke-Nowak. Jego zdaniem przygotowywany przez opozycję zamach miał wynikać z tego, że na spotkaniach Centrolewu „domagano się pociągnięcia pana prezydenta przed Trybunał Stanu, rozsiewano również wiadomości o gotowym składzie nowego rządu”. Gdy adwokat ponownie domagał się szczegółów, Hauke-Nowak przyznał, że ich nie zna: „Leży to w charakterze mojej pracy, iż dużo spraw tylko pośrednio się o mnie obija. Gdybym chciał zebrać wszystkie materiały w tej sprawie, musiałbym je przywieźć autem ciężarowym”.

W trakcie rozprawy obrona zdołała również wykazać niekompetencję policji. Dyrektor Departamentu Administracyjnego MSW Henryk Kawecki,

bezpośrednio nadzorujący aresztowania, nie był w stanie stwierdzić, czy postów zatrzymano za próbę obalenia rządu, czy za próbę obalenia ustroju. Mało tego, Kawecki nie potrafił odpowiedzieć nawet na pytanie, ile dokładnie osób aresztowano ani czy przeprowadzono w ich mieszkaniach rewizję. „Nie robił pan rewizji u ludzi, którzy mieli organizować zbrojny zamach, nie szukał pan granatów i bomb u rewolucjonistów, twierdząc w doniesieniu, że w Hotelu Sejмовym jest pochowana broń, bomby i granaty?”, dopytywał się jeden z adwokatów. „Liczyliśmy się z tym, że już tam nic być nie mogło”, odpowiedział zrezygnowany Kawecki.

ANI SŁOWA O BRZEŚCIU

Zupełnie inaczej wyglądały zeznania świadków obrony. Ci rzeczowo i spokojnie odpowiadali na stawiane im pytania, choć prokuratorzy robili wszystko, aby ich skompromitować. Zazwyczaj jednak ataki oskarżycieli przynosiły skutek odwrotny do zamierzanego. Były marszałek Sejmu Ustawodawczego Wojciech Trąpczyński, indagowany przez prokuratora o jego spotkania z prezydentem Mościckim, wykazał fasadowość głowy państwa: „[Prezydent] mówił natomiast o wielkim wpływie, jaki na niego wywiera ▶

► marszałek Piłsudski. (...) Że poddawał się całkowicie jego woli. Mówił, że taka osobistość zdarza się w historii tylko raz na dwieście lat”.

Pozostali świadkowie wykorzystali sytuację do oskarżenia reżimu sanacyjnego. Przepytywany Wojciech Korfanty stwierdził: „Nie możemy żyć wiecznie ciągłymi zamachami. Ja zamachu majowego nigdy nie zapomnę. Uważam go za największą szkodę, jaką można było wyrządzić interesom naszego państwa. (...) Przypomnę także słynne najście oficerów na Sejm, przy którym byłem; miałem wrażenie, że dokonano go po to, aby rzucić się na posłów i pomścić rzekomą obrazę p. Piłsudskiego. Polska tego syste-

mu naciągania prawa nie wytrzyma. Sądy nasze przechodzą kryzys zaufania...”.

Świadkowie i oskarżeni mieli swobodę wypowiedzi, z jednym jednak wyjątkiem – sprawą traktowania więźniów w twierdzy brzeskiej. „Sędzia pozostał głuchy nawet na formalne składanie skarg na bicie więźniów, z jakim wystąpili niektórzy oskarżeni. Popadał przez to w konflikt z prawem, bo doniesienie o dokonaniu przestępstwa (a bicie więźniów jest przestępstwem) powinno być przyjęte przez każdego sędziego i prokuratora, we wszelkich okolicznościach”, skarżył się Adam Pragier.

W mowie końcowej obrońcy oskarżonych podkreślali autorytarny system rządów sanacji. Adwokat

Zygmunt Graliński przywołał hasło wyborcze Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem z 1928 r.: „Wszystkiemu winna w dalszym ciągu konstytucja”. Dalej cytował Walego Sławka, gdy ten zapowiadał, że „wkrótce przedstawimy Sejmowi taki projekt konstytucji, którego on nie będzie mógł przyjąć. Wtedy rozpoczniemy z nim ostateczną rozgrywkę”.

Jednym z najbardziej poruszających przemówień końcowych była mowa adwokata Kazimierza Sterlinga. Zwracając się do sędziów i oskarżycieli, pytał: „Czy prokuratura sądzi, że jednym słowem można skreślić całe, pełne ofiary życie ludzkie i z ludzi kochających kraj zrobić krzywoprzysięzców? Nie, i żaden sąd za takim frazesem urzędu prokuratorskiego nie pójdzie”. W podobnym tonie wypowiadał się Wacław Barcikowski, który bezpośrednio odniósł się do prokuratorów: „Jeden z oskarżycieli kongres krakowski nazwał konfederacją, porównał go z Targowicą. (...) Ale jeśli pan prokurator chce Targowicy, to znajdzie zwierciadło, w którym nie rzadziłbym się przeglądać”.

SKAZANI ZA WIerność DEMOKRACJI

Sędziowie Klemens Hermanowski (przewodniczący sądu) i Jan Rykaczewski wydawali się nieporuszeni mowami obrońców. Jedynie sędzia Stanisław Leszczyński złożył zdanie odrębne, opowiadając się za niewinnieniem wszystkich oskarżonych. Niemniej jednak wyrok skazujący zapadł już dawno, pytanie dotyczyło tylko jego wymiaru. Sąd uznał oskarżonych, z wyjątkiem Adolfa Sawickiego, za winnych udziału w spisku, który „dążył do zamachu, mającego na celu obalenie przemocą członków rządu sprawującego w tym czasie władzę w Polsce i zastąpienie go przez inne osoby, wszakże bez zmiany zasadniczego ustroju państwowego”. Innymi słowy, winą oskarżonych była wierność zasadom demokracji.

13 stycznia 1932 r. sąd ogłosił wyrok. Adam Ciołkosz, Stanisław Dubois, Mieczysław Mastek, Józef Putek i Adam Pragier zostali skazani na trzy lata więzienia. Dwa i pół roku dostali Norbert Barlicki, Herman Lieberman i Władysław Kiernik. Kazimierza Bagińskiego skazano na dwa lata. Wincenty Witos, trzykrotny premier II RP, miał spędzić w więzieniu półtora roku.

REZOLUCJA KONGRESU OBRONY PRAWA I WOLNOŚCI LUDU

Zgromadzeni w dniu 29 czerwca 1930 roku w Krakowie przedstawiciele demokracji polskiej oświadczają, co następuje:

Polska znajduje się od czterech przeszło lat pod władzą dyktatury faktycznej Józefa Piłsudskiego; wolę dyktatora wykonują zmieniające się rządy; woli dyktatora podlega również Prezydent Rzeczypospolitej; podważone zostało u podstaw zaufanie społeczeństwa do prawa we własnym państwie; życie publiczne kraju karmione jest wciąż pogłoskami i zapowiedziami nowych zamachów stanu; odsunięto lud od jakiegokolwiek bądź wpływu na politykę wewnętrzną i zagraniczną Rzeczypospolitej. Skoro teraz – na skutek zarządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej – zamilknął konstytucyjny głos Sejmu, skoro Prezydent zaniedbał swego obowiązku – ani żądań Przedstawicielstwa Narodowego nie wykonał, ani nie odwołał się do decyzji kraju w drodze nowych, uczciwych wyborów – zabierając głos, my, zebrani w Krakowie przedstawiciele demokracji polskiej, stwierdzamy:

- 1) walka o prawo i wolność ludu jest walką nie tylko Sejmu i Senatu, ale walką społeczeństwa;
- 2) bez usunięcia dyktatury nie sposób opanować kryzysu gospodarczego, ani rozwiązać wielkich zagadnień życia wewnętrznego kraju, które Polska w imię swej przyszłości rozwiązać musi;
- 3) usunięcie dyktatury jest koniecznym warunkiem utrwalenia niepodległości i zapewnienia całości granic Rzeczypospolitej; demokracja – to pokój.

Oświadczamy:

- 1) że walkę o usunięcie dyktatury Józefa Piłsudskiego podjęliśmy wszyscy razem i razem ją poprowadzimy dalej, aż do zwycięstwa;
- 2) że tylko Rząd zaufania Sejmu i społeczeństwa spotka się z naszym stanowczym poparciem i pomocą wszystkich naszych sił;
- 3) że na każdą próbę zamachu stanu odpowiemy najbardziej bezwzględny oporem;
- 4) że wobec rządu zamachu społeczeństwo będzie wolne od jakichkolwiek obowiązków, a zobowiązania wobec zagranicy nielegalnego rządu nie będą uznane przez Rzeczypospolitą;
- 5) że na każdą próbę terroru odpowiemy siłą fizyczną.

Oświadczamy wreszcie, że skoro Prezydent Rzeczypospolitej, niepomny swej przysięgi, stanął otwarcie po stronie dyktatury rządzącej Polską wbrew woli kraju i zezwala rządowi p. Sławka na nadużywanie uprawnień konstytucyjnych Głowy Państwa dla bieżących celów politycznych Rządu – przeto Ignacy Mościcki winien ze stanowiska Prezydenta Rzeczypospolitej ustąpić. (...)

Niech żyje niepodległa Polska Republika Ludowa!

Precz z dyktaturą!

Niech żyje rząd zaufania robotników i chłopów!



Od lewej: Adam Pragier, adwokat Aleksander Dębski, Wincenty Witos i świadek obrony Józef Chaciński w sądzie okręgowym mieszczącym się w pałacu Pacy przy ulicy Miodowej 15 w Warszawie.

Część skazanych, w tym Wincenty Witos, udała się na emigrację. Władze wysłały za trzykrotnym premierem listy gończe. Sam Witos tak tłumaczył swoją decyzję: „Nie chcemy, aby podanie się wyrokowi sankcjonowało zbrodnie Brześcia i gwałt na prawie popełniony. Nie pójdziemy powtórnie do lochów twierdzy. Kraj żąda od nas nie męczeństwa, lecz walki”. Inni, m.in. Adam Ciołkosz, zostali, aby odbyć karę. W części przypadków wykonywanie kary zawieszono, choć formalnie aż do amnestii z 31 października 1939 r. wszyscy pozostawiali skazanymi za próbę obalenia rządu.

Aresztowanie polityków opozycji, proces pokazowy i wyroki skazujące przypieczętowały koniec demokracji w Polsce. O ile tuż po zamachu majowym można było się łudzić, że Piłsudski jedynie uporządkuje sytuację i przywróci demokratyczne standardy, o tyle po wrześniu 1930 r. nikt już nie miał wątpliwości co do charakteru rządów sanacji. Brutalne traktowanie więźniów w Brześciu było zaś prelude do Berezki Kartuskiej. W opinii zagranicy II RP stawała w jednym rzędzie ze stalinowskim Związkiem Radzieckim.

Krzysztof Wasilewski

Sentencję wyroku podała prasa, chociaż negatywne opinie zostały poważnie ocenzone i większość nie trafiła na łamy gazet. Margines swobody pozostawiono jedynie postom opozycji, którzy wykorzystywali mównicę sejmową, aby obnażyć autorytarny charakter sanacyjnych rządów. Reprezentujący PPS Zygmunt Żuławski mówił: „Chodzi nam o publiczne zadokumentowanie wobec całego świata kulturalnego, że nie cała Polska aprobuje dzisiejszy stan rzeczy. Opozycja reprezentuje większość narodu. Proces ujawnił takie morze gwałtów i deprawacji, że obowiązkiem naszego sumienia jest podnieść głos”.

ŚREDNIOWIECZNE METODY

O końcu polskiej demokracji pisała zagraniczna prasa. Informacje o „największym politycznym procesie w historii Polski” pojawiały się regularnie w amerykańskich i brytyjskich dziennikach. „New York Times” oceniał, że proces brzeski zamienił się w dyskusję na temat oceny „reżimu Piłsudskiego”, podkreślając, że władze blokowały polskiej prasie możliwość drukowania pełnych zeznań oskarżonych. Z kolei „Washington Post” wspominał o możliwości koronacji Piłsudskiego, co zdaniem dziennika

dobrze oddawało nastroje panujące wśród zwolenników marszałka.

Bardziej dosadna była prasa brytyjska. Lewicowy „Manchester Guardian” donosił o brutalnym traktowaniu więźniów politycznych w twierdzy brzeskiej, nazywając to „metodami rodem ze średniowiecza”. Podobnie pozostałe dzienniki uznały proces za symbol końca demokracji w II RP.

PRÓBY REHABILITACJI SKAZANYCH W PROCESIE BRZESKIM

8 grudnia 2005 r. – poseł Stanisław Żelichowski i grupa posłów PSL złożyli interpelację w sprawie wniesienia kasacji na korzyść polityków opozycji skazanych w procesie brzeskim. W odpowiedzi zastępca prokuratora generalnego Irena Okrągła stwierdziła, że zajęcie się sprawą wymaga wnikliwego zbadania akt. Tymczasem większość akt zaginęła w czasie II wojny światowej.

25 stycznia 2006 r. – poseł PSL Stanisław Żelichowski złożył ponowną interpelację.

12 grudnia 2007 r. – grupa posłów PSL złożyła kolejną interpelację.

26 września 2008 r. – poseł SLD Tadeusz Iwiński złożył zapytanie do ministra sprawiedliwości w sprawie wszczęcia procedury rehabilitacyjnej wobec skazanych. W odpowiedzi zastępca prokuratora generalnego Andrzej Pogorzelski stwierdził, że „na gruncie zachowanych materiałów z procesu brzeskiego nie można wykazać, że skazanie oskarżonych nastąpiło z rażącym naruszeniem prawa”.

12 lipca 2011 r. – Klub Poselski SLD oraz grupa posłów PSL wystąpiły z projektem specjalnej ustawy rehabilitacyjnej.

20 stycznia 2016 r. – Klub Poselski PSL wniósł projekt ustawy o uznaniu za nieważne orzeczeń wydanych w 1932 r., w celu „pełnego przywrócenia czci i godności ludzkiej i obywatelskiej postom na Sejm II Rzeczypospolitej represjonowanym za działalność na rzecz demokracji w Polsce przez obóz sanacyjny”. W opinii Biura Analiz Sejmowych Kancelarii Sejmu „forma ustawy nie jest właściwa dla formułowania przez Sejm tego typu symbolicznych wypowiedzi”.

HISTORYK Z PRZESZŁOŚCIĄ

Podjebrane interesy IPN-owskiego piewcy zbrojnego podziemia

Jakub Woroncow

Były dystrybutor płyt zespołów RAC (Rock Against Communism) i redaktor pisma pozytywnie odnoszącego się do faszyzmu zajmuje od lat intratne stanowisko w IPN. Prowadzi wykłady dla wojska i młodzieży, reprezentuje swoją instytucję. Publikuje książki, niektóre oceniane jako prowokacje o charakterze politycznym. Za „upowszechnianie wiedzy o najnowszej historii Polski” prezydent Duda odznaczył go Złotym Krzyżem Zasługi.

Przygoda z przeszłością dr. Mariusza Bechty ma początek w Instytucie Historycznym UW. W mediach społecznościowych można przeczytać: „Z kombatanckiej karty: pierwsza solidarnościowa akcja z Januszem Walusiem na UW to rok 1993. Płachta zawisła tuż obok bramy głównej na Krakowskim Przedmieściu (...). Chwała Januszowi za celne strzały”. Bechta w latach 90. starał się wyciągnąć skrajnie prawicowe zespoły muzyczne poza getto nazi-skinowskie. W tym celu założył markę Narodowa Scena Rockowa (NSR), współpracując z ultrakonserwatywną gazetą studencką „Reakcja”. Pierwsze kroki stawiali w niej niektórzy współcześni publicyści prawicy. Z czasem ze względu na jawnie hitlerowski przekaz propagowanych zespołów (chodziło o amerykański Bound For Glory) od NSR odcięła się część kręgów konserwatywnych. Właściciel NSR budził kontrowersje również wśród samych nazi-skinów. W wywiadzie udzielonym magazynowi „Dark Ablaze” lider zespołu Honor nazywa Mariusza Bechtę złodziejem: „Okrada nas i nasze wytwórnie, kradnie naszą muzykę, grafikę i inne materiały, po prostu oszukuje swoich klientów”.

ZŁA SŁAWA

Ciekawie na łamach podziemnego pisma „Vril” wypowiada się o NSR i jej właścicielu inny zespół, Gamadion: „Część ludzi nie wie, co to



Andrzej Duda odznaczył Mariusza Bechtę Złotym Krzyżem Zasługi za gloryfikację „żołnierzy wyklętych”.

jest za kanalia (...). Jeżeli ktoś kupuje produkty w NSR, to kupuje je w 90% złodziejskie. Ta firma okradła wiele zespołów takich jak Bound For Glory, Honor itp. Także prawie wszystkie koszulki w ich katalogu są robione bez zgody zespołów”.

Zła sława w kręgach skrajnej prawicy sprawiła, że NSR nie przetrwała. Wydawana gazeta o takim samym tytule dostępna w sprzedaży komercyjnej doczekała się tylko trzech numerów, a wytwórnia w porównaniu z innymi związanymi z tym środowiskiem wydała niewiele płyt.

Znacznie większym sukcesem dr. Bechty okazały się czasopisma o tematyce politycznej. Mariusz Bechta prowadzi dwie agencje wydawniczo-reklamowe: Arte oraz Rekonkwistę. Obie są zarejestrowane w Białej Podlaskiej, skąd pochodzi. Pierwsza wydaje magazyn „Templum Novum”, o którym zrobiło się głośno w 2008 r. za sprawą interwencji Stowarzyszenia „Nigdy Więcej”, które opisało okoliczności, w jakich Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego przyznało

pismu dotację w wysokości 10 tys. zł w ramach „programu promocji czytelnictwa”. Magazyn pozytywnie odnosił się do głównego ideologa doktryny rasowej włoskiego faszyzmu Juliusa Evoli, negacjonisty Holokaustu Davida Irvinga czy Léona Degrelle’a, którego antysemickie manifesty drukowano z portretami autora. Bechta wydał również książkę Degrelle’a „Apel do młodych Europejczyków”. Belgijski kolaborant i pułkownik SS jest obecnie przedstawiany jako wzór postaw katolickich, antykomunistycznych i nacjonalistycznych. Jego apologety nie wspominają o ekskomunikowaniu Degrelle’a, zbrodniach popełnianych przez reksistów ani o tym, że Degrelle aż do śmierci w 1994 r. usprawiedliwiał i chwalił działania Adolfa Hitlera.

Mariusz Bechta nie tylko pracuje w warszawskim oddziale IPN, ale także jest członkiem Rady Historycznej Związku Żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych, opanowanego przez działaczy i sympatyków Ruchu Narodowego. Żaden z nich nie jest

weteranem NSZ. Prawdziwi weterani pojawiają się jeszcze we władzach niektórych okręgów, ale już np. okręgiem łódzkim kieruje Maciej Ptasznik ps. „Ptaku”, nacjonalistyczny raper znany jako działacz Obozu Narodowo-Radykalnego. Związek był wielokrotnie wykorzystywany do działań politycznych Ruchu Narodowego.

STRZAŁY W PARCZEWIE

W 2016 r. do księgarń trafiła książka Mariusza Bechty „Pogrom czy odwet? Akcja zbrojna Zrzeszenia »Wolność i Niezawisłość« w Parczewie 5 lutego 1946”, opublikowana przez wydawnictwo Zysk i S-ka. Najpierw o samej sprawie: „Dnia 5 lutego 46 roku miasto Parczew, pow. Włodawski, woj. Lubelskie zostało otoczone przez mundurową bandę napastników w sile od 100 do 120 ludzi, uzbrojonych w broń palną. O godz. 17.30 padły pierwsze strzały; równocześnie z okien i strychów obserwowaliśmy, jak napastnicy zatrzymują przechodniów, legitymując ich i wzywając do podniesienia rąk – czytamy w protokole Wojewódzkiego Komitetu Żydów Polskich w Lublinie. – Prawie wszystkie mieszkania żydowskie zostały obrabowane, a rzeczy załadowane na samochody i furmanki i wywiezione. W szeregu wypadków, gdy mienie nie przedstawiało dla napastników wartości, zostało ono na miejscu zniszczone tak, że nie nadaje się do użytku”. Poza partyzantami z oddziału Leona Taraszkiewicza, ps. „Jastrząb”, czynny udział w zajęciach wzięła również miejscowa ludność.

Brat Leona i zastępca dowódcy oddziału, Edward Taraszkiewicz, ps. „Żelazny”, opisał sprawę następująco: „Partyzanci należący do tego oddziału niewątpliwie uważali się za patriotów. Ale czy ich działania w Parczewie miały jakiegokolwiek znaczenie dla sytuacji w kraju? Czy przyniosły Polsce jakąkolwiek korzyść? (...) »Jastrząb« i ja proponowaliśmy »Orlikowi« uderzenie na miasto Parczew i rozgromienie zamieszkałych tam Żydów w ilości około 500 osób, którzy złapali w swoje ręce całkowity handel, nie dając życia innym drobnym kupcom i handlarzom polskim. (...) Przy okazji tej można się było dobrze podreperować na żydowskich sklepach, a przeważnie na obuwie”. Partyzanci WiN rabowali mienie mieszkających w Parczewie Żydów,

ukradli też dwa samochody należące do spółdzielni Społem. Dowódca oddziału pisze o ludności polskiej wychodzącej radośnie na ulice, „nie bacząc na strzały”. Prawdopodobnie byli to drobni kupcy i handlarze, którzy cieszyli się, że ktoś im tępi konkurencję. W następstwie akcji zginęło trzech Żydów z grupy samoobrony podległej Centralnemu Komitetowi Żydów Polskich i jeden milicjant narodowości polskiej. Trzech Żydów zostało wziętych do niewoli i rozstrzelanych.

ULUBIENIEC CENCKIEWICZA

Przy takiej zbieżności relacji nie można wątpić w tło wydarzeń w Parczewie ani w ich przebieg. Napad ten był jednym z wielu zajęć antyżydowskich w powojennej Polsce, które obciążają podziemie antykomunistyczne. W tej sytuacji próba negocjacji go lub marginalizowania musiałaby się wiązać z uznaniem, że zastępca dowódcy oddziału kłamie. Jednak



Mariusza Bechty „Przekaz na niedzielę!”.

w publikacji dr. Bechty zarówno akcja w Parczewie, jak i – szerzej – zjawisko antysemityzmu są racjonalizowane i usprawiedliwiane. Autor książki uznaje zasadę odpowiedzialności zbiorowej żydowskich mieszkańców Parczewa za „lojalizm wobec reżimu komunistycznego wyrażony w tonie pełnym obaw o swoją przyszłość”. Żydów określa mianem „integralnej części komunistycznego, zinstytucjonalizowanego systemu władzy”. Zdaniem dr. Augusta Grabskiego z Centrum im. Mordechaja Anielewicz książka

jest mocno zideologizowana i mieści się w antysemickim nurcie historiografii dziejów Żydów w Polsce.

Natomiast związany z PiS Sławomir Cenckiewicz ocenia pracę Mariusza Bechty pozytywnie. Bechta to

Zespoły RAC oskarżają Bechtę o kradzież muzyki, grafiki i innych materiałów.

według niego rzetelny i odważny historyk, który „przywrócił dobre imię braciom Taraszkiewiczom”, czczonym przez prawicę jako bohaterowie walki z komunizmem.

Pracując w IPN, Bechta za publiczne pieniądze „odkłamuje niejedną czarną stronę powojennego ruchu oporu”. Był m.in. panelistą w debacie zorganizowanej w związku z obchodami 70. rocznicy zbrodni w Wierchowinach. Mimo że IPN-owscy paneliści nie wygłaszali podczas tej debaty tez sprzecznych z dotychczasowymi ustaleniami historyków, Bechta zapowiada w sieci, że „kruszy mit Wierchowin”. Zgodnie z nurtem publicystycznym zakłamującym historię 194 ukraińskich mieszkańców wsi wymordowanych w czerwcu 1945 r. przez oddział Pogotowia Akcji Specjalnej Narodowych Sił Zbrojnych, lansuje tezę, że za zbrodnię odpowiadała banda pozorowana. Na stronie internetowej Związku Żołnierzy NSZ czytamy: „Upozorowane na oddziały »leśne« grupy funkcjonariuszy bezpieki starały się przenikać do terenowych »siatek« podziemia. Inni poprzez bandycką działalność dostarczali argumentów komunistycznej propagandzie, stając się niejako »żywym wzorem« degeneratów. Czy Urząd Bezpieczeństwa wiedząc prawdopodobnie o decyzjach podjętych 19 maja na naradzie oficerów AK i NSZ oraz posiadając wysoce uplasowanego agenta w osobie »Romana«, zdecydował się na użycie »oddziału pozorowanego«? Wiele wskazuje na taką wersję”.

„Wiele” oznacza w tym przypadku tyle co nic. Zwolennicy tej tezy nie zauważają, że banda pozorowana, utworzona w celu rozpracowania oddziału „Szarego”, powstała po wydarzeniach w Wierchowinach. „Można powiedzieć, że mamy do czynienia ze zjawiskiem zaprzeczania faktom przez przemilczanie”, komentuje to prof. Grzegorz Motyka, autor licznych opracowań na temat rzezi wołyńskiej i problematyki polsko-ukraińskiej. ■

WĄTPIĄCY FRANCISZEK

Publiczna deklaracja o możliwym zanegowaniu objawień w Medziugorii to kolejny przejaw niezależności papieża

Mateusz Mazzini

W czasie swojego krótkiego jeszcze pontyfikatu papież Franciszek przyzwyczał już wiernych do gestów i wypowiedzi w kontrze do kościelnego mainstreamu. Odmówił prawa do osądzania homoseksualistów, papieskim samolotem zabrał z greckiej wyspy Lesbos uchodźców, zarzucił wiele kosztownych ceremoniałów na rzecz skromniejszego życia i sprawowania urzędu. Wypowiedział też otwartą wojnę pedofilii w Kościele, piętnując publicznie kolejne jej przypadki i powołując wewnętrzne komisje śledcze i reformatorskie. Tym razem jednak Jorge Mario Bergoglio otwiera front, do którego żaden z jego poprzedników nawet nie odważył się zbliżyć.

PODNIĘBNA KONFERENCJA

W czasie konferencji prasowej, którą tradycyjnie urządzono na pokładzie papieskiego samolotu w drodze z portugalskiej Fatimy do Rzymu, Franciszek powiedział 70 obecnym dziennikarzom, że mocno wątpi w objawienia maryjne z Medziugoria. Zaznaczył przy tym, że to jego prywatna opinia i w żaden sposób nie będzie miała ona przełożenia na toczące się w tej sprawie postępowanie, które prowadzi powołana jeszcze przez Benedykta XVI specjalna komisja. Jednak same słowa głowy Kościoła katolickiego o możliwości zanegowania cudownego charakteru objawień, wokół których powstał nie tylko głęboki kult religijny, ale również – jak to często bywa w miejscach objawień – niezwykle zaawansowany ekosystem turystyczno-pielgrzymkowy, wywołały falę kontrowersji nieograniczającą się do środowiska hierarchów i wiernych.

Franciszek nie powiedział jednoznacznie, że objawienia z Medziugoria nie miały miejsca lub są w jakikolwiek sposób fałszywe bądź apokryficzne. Przynajmniej jeszcze tego nie zrobił.

Podczas wspomnianej konferencji prasowej, odpowiadając na pytanie dziennikarza o możliwość uznania objawień (Watykan nigdy oficjalnie ich nie zatwierdził), odniósł się jedynie do znanych publicznie wyników prac komisji kierowanej przez kard. Camilla Ruiniego. Jak sam stwierdził, w badaniach nad objawieniami brali udział wybitni teolodzy, biskupi i kardynałowie, a ich praca jest „na znakomitym poziomie”, choć przyniosła też opinie polemiczne z domniemanym świętym charakterem miejsca objawień. Nie przesądza to jednak w żadnym stopniu o końcowym werdykcie komisji. Franciszek przypomniał bowiem, że objawienia w religii katolickiej należą do sfery prywatnej, nie są częścią oficjalnego nauczania Kościoła i z tego chociażby względu wymagają bardzo dogłębnej analizy. Na koniec dodał, że on wobec przypadku Medziugoria jest mocno sceptyczny. – Raport komisji zawiera poważne wątpliwości. Osobiście wolę traktować Matkę Bożą jako matkę, naszą matkę, a nie szefową biura telegraficznego, która co dzień wysyła wiadomości o takiej i takiej godzinie. Tak nie robi matka Jezusa – mówił Franciszek.

JAK W ZEGARKU

Historia objawień w Medziugorii, miasteczku znajdującym się obecnie na terenie Bośni i Hercegowiny, rozpoczyna się 24 czerwca 1981 r. Wtedy to szóstce małych dzieci na wzgórzu w okolicach miejscowej parafii rzekomo objawiła się Błogosławiona Maryja Dziewica, przekazując wezwanie do nawrócenia się świata, dążenia do pokoju i zaprzestania wojen. Dzieci, w różnym składzie osobowym, przychodziły w miejsce pierwszego objawienia przez kolejne pięć dni, aż do 29 czerwca, i codziennie miały widzieć Maryję. W czasie pierwszych objawień ukształtowała się tzw. szóstka widzjących dzieci. Osoby te utrzymują, że doświadczają objawień do dziś – niektóre codziennie, inne raz w mie-

siącu lub raz do roku. Od tamtej pory, jeśli wierzyć świadkom, Matka Boska odwiedza Medziugorie z zadziwiającą regularnością, ukazując się najpierw w miejscowym kościele przed wieczorną mszą, potem w specjalnie zbudowanym sanktuarium. Czasem objawienia przyjmują formę publiczną i uczestniczą w nich dziesiątki tysięcy pielgrzymów, którzy przyjeżdżają tam ze wszystkich zakątków świata. Nie oznacza to jednak, że wszyscy oni widzą Matkę Boską. Obecne objawienia mają bowiem charakter niejako pośredni. Zgromadzeni na placu przed sanktuarium obserwują widzącego (jednego z oryginalnej szóstki), który przekazuje pielgrzymom otrzymywane maryjne orędzie. Pierwsi uczestnicy objawień stali się zresztą swego rodzaju maryjnymi pośrednikami dla katolików w różnych krajach. Niektórzy bowiem na zaproszenie parafii regularnie odbywają wizyty w krajach Europy czy Bliskiego Wschodu (gościli m.in. w Bejrucie), gdzie opowiadają o spotkaniach z Matką Boską, czasami nawet uczestnicząc w objawieniu na miejscu.

Treść orędzi od samego początku oscyluje wokół podobnych tematów, fundamentalnych z punktu widzenia nauczania Kościoła katolickiego. Matka Boska apeluje w nich o masowe nawrócenie ludzkości, regularną modlitwę, pokorę, wdzięczność za łaskę Boga i dary Chrystusa oraz zaprzestanie konfliktów zbrojnych i ustanowienie pokoju na świecie. Najważniejsze orędzia to te z okresu między 1 marca 1984 r. a 8 stycznia 1987 r., kiedy to Maryja objawiała się wiernym co czwartek. Były najbardziej uniwersalistyczne, adresowane do całego świata i ogółu wiernych. Za oficjalną kontynuację tzw. objawień czwartkowych uznaje się teraz objawienia mające miejsce każdego 25. dnia miesiąca.

Jak widać, słowa Franciszka o „Maddonnie nadającej telegramy o określonej porze dnia” nie są przesadzone. Objawienia w Medziugorii przyjęły bowiem formę niespotykanie zinstytu-



Pielgrzymi przyjeżdżają do Medziugoria od ponad 30 lat.

cjonalizowaną i regularną. Nigdy dotąd nie zdarzało się, by objawienia maryjne – zdecydowanie najpopularniejsze z czczonych przez wiernych katolików – były tak niesamowicie regularne i powtarzały niemal tę samą treść. Nic dziwnego zatem, że wielu wątpli w ich autentyczność i cudowny charakter. Przekonanie, że Matka Boska ukaże się wiernym niemal na zawołanie, gdy kalendarz pokaże konkretną datę, a zegar wybijie konkretną godzinę, graniczy z zabobonem.

Być może dlatego właśnie raport komisji Ruiniego, byłego wikariusza generalnego Rzymu i bardzo bliskiego współpracownika Jana Pawła II, nakazuje rozróżnić pierwsze objawienia z Medziugoria

i późniejsze wydarzenia, które miały już miejsce w lokalnych kościołach i sanktuariach. Ruini podkreśla, że o ile nie ma specjalnych wątpliwości co do charakteru pierwszych objawień, o tyle dalsze orędzia muszą zostać szczegółowo zbadane. Chodzi głównie o wspomnianą regularność pojawiania się Matki Boskiej. Komisja nie jest również pewna, czy to możliwe, aby objawienia zachowały swój przekaz i charakter przez tak wiele lat i w tak wielu miejscach na świecie.

Watykańscy obserwatorzy doskonale zdają sobie jednak sprawę, że w Stolicy Apostolskiej działają te same mechanizmy i procedury, które są obecne w każdej innej administracji na świecie – wpływy, władza,

autorytet. W przypadku objawień w Medziugorii dotyczy to przede wszystkim napięć istniejących niemal od samego początku pontyfikatu między papieżem Franciszkiem a Kongregacją Nauki Wiary, jednym z najważniejszych organów Kościoła katolickiego i być może najbardziej wpływowym. Franciszek, choć sam sceptyczny, nie podważa wyników prac komisji Ruiniego, wstrzymuje się też od ostatecznych deklaracji na temat uznania przez Watykan objawień, pozostawiając sprawę otwartą. Niektórzy członkowie Kongregacji Nauki Wiary mieli z kolei się domagać

wątek polski. Jednym z pierwszych hierarchów kościelnych, którzy mieli wypowiedzieć się pozytywnie na ich temat, był bowiem Jan Paweł II, którego prywatna opinia, uznająca cudowny charakter objawień, została upubliczniona w latach 80. On sam niejednokrotnie jeszcze nawiązywał do nich w swoich homiliach. W dodatku po śmierci papieża wielu jego bliskich współpracowników, m.in. kard. Stanisław Dziwisz, potwierdzało, że Karol Wojtyła odnosił się do kwestii Medziugoria z ogromną czcią. Osoba polskiego papieża jest o tyle ważna w kontekście ewentual-

Wolę traktować Matkę Bożą nie jako szefową biura telegraficznego, która wysyła wiadomości o takiej i takiej godzinie. Tak nie robi matka Jezusa.

odrzucenia objawień, podważając pozycję Ruiniego i rzetelność prac jego komisji. Choć trudno jednoznacznie ocenić układ sił i zarysować watykańskie stronnictwa, wydaje się, że istotnie próba osłabienia Ruiniego mogła być kolejną odstoną konfliktu między liberalizującym katolicyzmem Franciszkiem a będącą ostoją konserwatyzmu kongregacją. Jeśli tak, Bergoglio stanął w obronie Ruiniego i wydaje się, że sprawnym zabiegiem PR-owym, jakim była podniebna konferencja prasowa, starcie to wygrał.

MISJA HOSERA

W historii objawień z Medziugoria pobrzmiewa również bardzo mocno

nego uznania objawień przez Watykan, że z racji niedawnej kanonizacji Wojtyły jego opinia stanowi jeden z dowodów strony broniącej cudowności Medziugoria w toczącym się postępowaniu.

Drugi wątek prowadzący do naszego kraju jest zdecydowanie bardziej współczesny, choć z pewnością także nie do przeoczenia. Od lutego br. oficjalnym delegatem Stolicy Apostolskiej do Medziugoria jest bowiem Henryk Hoser, biskup diecezji warszawsko-praskiej. W Polsce abp Hoser znany jest przede wszystkim z trwającego już kilka lat konfliktu z ks. Wojciechem Lemańskim oraz regularnych, kontrowersyjnych wypowiedzi o homoseksualizmie ▶



► i kształcie współczesnej rodziny. To on twierdził w homiliach, że liczba ciężych pochodzących z gwałtów jest mocno przesadzona, gdyż „gwałt powoduje stres, przez co do zapłodnienia dochodzi dużo rzadziej niż w normalnych warunkach”. Na arenie międzynarodowej kojarzony jest jednak głównie jako były emisariusz Watykanu w Rwandzie, gdzie spędził łącznie niemal 20 lat. Świadkowie zarzucali Hoserowi wspieranie reżimu Hutu, ale formalnie nigdy nie udowodniono mu współpracy.

Być może to właśnie wieloletnie doświadczenie na misjach spowodowało, że został wybrany przez Watykan do poprowadzenia wizytacji w Medjugorju. Celem pobytu Hosera

ze stron toczącego się postępowania w sprawie uznania objawień.

PIELGRZYMKOWY BIZNES

W całej tej awanturze o świętość wizji, których doświadcza grupka Bośniaków, chodzi jednak o znacznie więcej niż tylko o watykańską pieczęć na oficjalnym dokumencie. W ciągu ponad 30 lat od pierwszych objawień Medjugorje stało się jednym z najpopularniejszych miejsc pielgrzymkowych w Europie. Według różnych danych co roku bośniackie miasteczko odwiedza nawet 3 mln pielgrzymów – najwięcej z Hiszpanii i Polski, ale przybywają tam regularnie liczni Brazylijczycy, Filipińczycy

Medjugorje to cały ekosystem turystyczno-pielgrzymkowy.

Pielgrzymki do bośniackiego sanktuarium to od wielu lat specjalność Rodzin Radia Maryja, czyli przyparafialnych komórek słuchaczy rozgłośni o. Rydzika. Od kilku lat gospodarze Medjugorja otaczają zresztą polskich pątników szczególną opieką. Msze są tłumaczone na język polski, dzięki czemu zwłaszcza starszym osobom łatwiej uczestniczyć w nabożeństwach. W dodatku od niedawna istnieją prowadzone po polsku strony internetowe opisujące na bieżąco wydarzenia w sanktuarium. Nie trudno sobie wyobrazić, jak wielkim ciosem dla całego przemysłu pielgrzymkowego byłaby decyzja Watykanu o zaprzeczeniu cudownemu charakterowi objawień i skreśleniu Medjugorja z listy miejsc kultu. Straciłoby nie tylko przewoźnicy z kraju i przedsiębiorcy na miejscu, ale także ośrodki wpływu w Kościele, takie jak wspomniane Radio Maryja.

Mówiąc o objawieniach z Medjugorja, nie można jednak z całą pewnością odrzucić tego najbardziej podstawowego, ludzkiego ich aspektu. Dla wielu ludzi to miejsce stało się podstawą nawrócenia. W Polsce bodaj najbardziej znanym przypadkiem maryjnego nawrócenia jest muzyk rockowy Muniak Staszczuk, lider zespołu T.Love, który twierdzi, że podczas wizyty w Medjugorju usłyszał głos Matki Boskiej, która namówiła go do regularnej modlitwy różańcowej. Ogromna liczba nawróceń spowodowanych wizytą w sanktuarium to najczęściej przytaczany dowód na autentyczność objawień.

Medjugorje od wielu lat jest kością niezgody w Kościele katolickim, podobnie zresztą jak wiele innych objawień. Watykan w dalszym ciągu nie umie sobie z nimi skutecznie radzić, wpłatając się najczęściej w wieloletnie komisje i spory doktrynalne przed podjęciem ostatecznej decyzji. A w międzyczasie życie toczy się dalej – jak widać na przykładzie bośniackiego miasteczka. Pielgrzymi nie czekają na decyzję hierarchów i sami uznają cudowny charakter miejsca. Można więc się spodziewać, że zwykli wierni nadal będą je szturmować – nawet w przypadku zakazania przez papieża kultu tamtejszych maryjnych objawień.

Mateusz Mazzini

Te przypuszczalne objawienia nie mają większej wartości. To moja prywatna opinia – stwierdził Franciszek.

w Bośni ma być ocena sytuacji duszpasterskiej na miejscu, rozpoznanie potrzeb pielgrzymów oraz zaplanowanie i ewentualna realizacja możliwych dalszych inicjatyw duszpasterskich. Nie jest powiedziane, jak długo Hoser będzie przebywał w Medjugorju ani jak ważna jest naprawdę jego misja. Początkowo mówiło się, że raport z Bośni może się pojawić w czerwcu, dziś włoska prasa spekuluje, że termin ten się opóźni. Można jednak się spodziewać, że wyniki pracy Hosera zostaną wykorzystane przez jedną

i Amerykanie. Wśród naszych rodaków miejsce to jest szczególnie popularne. Składają się na to stosunkowo niewielka odległość, możliwa do pokonania autokarem, relatywnie niska cena jak na wielodniową zagraniczną pielgrzymkę i przede wszystkim silnie zakorzeniony w krajowym katolicyzmie kult zarówno objawień, jak i samej Matki Boskiej. Obecnie koszt kilkudniowej pielgrzymki do Medjugorja wynosi ok. 1,5-2 tys. zł (w zależności od odległości od miejsca wyjazdu).

Z Galicji



Jan Widacki

MŁODZIEŻY CHOWANIE



Przez prawie trzy dekady nie udało nam się wychować społeczeństwa w duchu tolerancji, otwartości na innych, w duchu szacunku dla praw człowieka i wierności podstawowym założeniom demokracji. Mało tego, nie potrafiliśmy wytłumaczyć, na czym polega demokracja i czym jest państwo prawa. Nie udało się, bo też niewiele w tej sprawie robiliśmy.

O ile wierę w to, że gospodarkę, a w ślad za nią stosunki społeczne, ureguluje wolny rynek, można jeszcze uznać za usprawiedliwioną, o tyle wiara, że społeczeństwo samo z siebie stanie się mądrzejsze i nie trzeba nic robić w tej sprawie, świadczy o naiwności naszego pokolenia. Gdyby rzecz polegała tylko na zaniechaniu! Było gorzej. Edukację, nie tylko religijną, w znacznej części oddaliśmy Kościołowi. Spójrzmy na tę instytucję w kategoriach nie metafizycznych, ale jak najbardziej socjologicznych. Z tego punktu widzenia dojrzymy w Kościele rzeszę ludzi rekrutujących się przeważnie z małych miasteczek i wsi, z rodzin o określonych, bardzo tradycyjnych, patriarchalnych wzorcach postępowania. Zwykle słabo wykształconych (poziom naszych seminariów duchownych jest na ogół niski, uczelnie kościelnych niestety też), poddanych działaniu mechanizmu, jaki opisywał niedawno w PRZEGLĄDZIE prof. Bartoś, przynależnych do struktury niedemokratycznej i z natury rzeczy nieumiejących myśleć w duchu demokracji, temu środowisku zupełnie obcej.

Nie stworzyliśmy prawdziwych mediów publicznych, które stanowiłyby wzorzec do naśladowania dla wszystkich dziennikarzy, a zarazem kryterium, wedle którego ocenia się, co jest dobrym dziennikarstwem, a co bulwarowym. Pojawienie się na naszym rynku tabloidów zepsuło polskie media do końca. Nastąpiła tabloidyzacja całej prasy, a w konsekwencji także wszystkich mediów. Dzieła spuścizny dopełnił internet. Ludzie ciemni, niczego – może poza wspomnianymi tabloidami – nieczytający, nie czekają na przekaz, który dotrze do nich z góry, od autorytetów. Ten przekaz idzie teraz poziomo, i to błyskawicznie. Często od durnia do durnia. Myśl (częściej bezmyśl) rozchodzi się szybko i dociera wszędzie. W tkankę społeczną wnika głęboko, także tam, gdzie normalnie nie docierało słowo z opiniotwórczych tygodników czy poważnych telewizyjnych programów publicystycznych.

Dureń nie potrzebuje kogoś, kto mu objaśni skomplikowany świat polityki czy gospodarki. Dureń przede wszystkim nie uważa się za durnia. Dureń przekazuje to, co mu w internecie wyjawiał inny dureń. Nie tylko informacje, także oceny tych informacji. Oceny wypowiedziane w emocjach, często niesprawiedliwe, z zasady nieprzemyślane, wyrażone wulgarnym językiem, w dodatku zupełnie bezkarnie. Działa tu ten sam mechanizm, który zauważamy w anonimowym tłumie. Świadomość absolutnej bezkarności, a zarazem dopingowanie przez tłum. Kto mocniej, ostrzej, wulgarniej – co z tego, że głupiej?

To, co do niedawna było zaledwie marginesem, dziś zajmuje już większą część strony. Takie pokolenie wychowaliśmy przez ostatnie ćwierćwiecze. Co z tego, że naszej beczynności pomógł internet?

W internecie przekaz idzie poziomo, i to błyskawicznie. Często od durnia do durnia.

Zdziczenie obyczajów dotarło też do polityki. Nikt już nie rozważa, co jest, a co nie jest ważne dla dobra wspólnego. Ważne jest to, co jest dobre dla partii. W takiej atmosferze wyłaniają się rozmaici demagodzy. Jak choćby ten nieduży, włączający raz po raz na jakąś drabinkę czy skrzynkę i wyrzucający z siebie potoki nienawiści, napędzane bezgraniczną frustracją. Można tylko się domyślać, skąd ona się bierze. W społeczeństwie, w którym intelekt nie jest rozłożony, jak dotychczas było, wedle jakiegoś porządku, gdy panuje chaos wartości, hasel, sloganów, taki mały demagog, jak *fractal germ* w teorii chaosu, zaczyna ten chaos organizować wokół siebie, wedle swojego schematu, zmieniając porządek na zupełnie nowy.

Ktoś powiedział niedawno, że mechanizmy demokratyczne pokazały, jakie naprawdę mamy społeczeństwo (PiS ma ok. 40% poparcia!). Ktoś inny go pocieszył. Demokracja niedługo się u nas skończy, to i ten mechanizm się zaśnie. Wątpliwa pociecha.

Po raz kolejny trzeba rozpocząć pracę u podstaw, która coraz bardziej przypomina pracę syzyfową.

Poprzednie felietony na www.przegląd-tygodnik.pl



TygPrzegląd



TygodnikPrzegląd

www.tygodnikprzegląd.pl

KOLONIE BISMARCKA

Mieszkańców niemieckich kolonii pokazywano w berlińskim zoo

Wojciech Osiński

Korespondencja z Berlina

W niemieckiej historiografii od pokoleń panoszy się określenie „spóźnione mocarstwo”. Kiedy w 1871 r. doszło do zjednoczenia państw niemieckich, uwiecznzonego proklamacją II Rzeszy, europejskie imperia takie jak Francja czy Wielka Brytania już dawno wykroiły swoje kawałki kolonialnego tortu. Otto von Bismarck rychło więc zaczął się interesować zamorskimi koloniami. Różnica potencjałów między kajzerowskimi Niemcami a innymi potęgami nie była już tak wielka, toteż po 1876 r. powstały niemieckie protektory m.in. w Namibii, Tanzanii, Kamerunie i Togo. Flagi z czarnym orłem Rzeszy powiewały także w Papui-Nowej Gwinei i na wyspach Samoa.

Po wybuchu w 1914 r. I wojny światowej cesarstwo niemieckie przestało istnieć, tracąc również swoje kolonie. O ile Belgowie czy Francuzi zmagali się jeszcze do lat 60. XX w. z problemem postkolonializmu, o tyle niemiecki etap zamorskich rajów szybko dobiegł końca. I był widocznie na tyle krótki, że nie doczekał się szerszych syntez. Półki z niemieckimi książkami na ten temat są wprawdzie pełne, ale same książki są pełne mitów.

Na poziomie spajających wspólnotę narodową mitów nie da się tymczasem uniknąć uchybień faktograficznych. Nie byłoby potrzeby rozliczenia się z niemieckim kolonializmem ponad 100 lat po śmierci Żelaznego Kanclerza, gdyby niemieccy historycy oddali kolejnym pokoleniom to, co im należy.

Zmarły w 2013 r. publicysta Marcel Reich-Ranicki swoją miłość do Niemiec uzasadniał argumentem, że „Niemcy to nie tylko Hitler, lecz także Goethe i bracia Mann”. Owszem, ale kiedy w niemieckich księgarniach pojawiały się takie bestsellery jak „Buddenbrookowie”, Niemcy w najgorętszym ogniu rewolty pacyfikowali afrykańskie plemiona. Jeszcze



Murzyńskie wioski, urządzone w ogrodach zoologicznych m.in. w Berlinie, Frankfurtach i Hamburgu, cieszyły się dużą popularnością wśród odwiedzających.

głębiej zepchnięto w niepamięć zbrodnie, na których budowali kariery niemieccy uczeni, choćby sławny lekarz i bakteriolog Robert Koch. Dopiero dzięki wystawie w stołecznym Deutsches Historisches Museum rozlała się wzbierająca dekadami fala wstydu za te przewinienia.

KAISER-WILHELM-SPITZE

Współczesny stereotyp każe zestawiać historię kolonialną Niemiec z ich kulturalną wyższością nad Afryką i tamtejszymi zacofanymi społeczeństwami. Kolonialny wyścig Bismarcka z innymi imperiami wynikał też jed-

nak z mizernej sytuacji gospodarczej. Bez kolonii, a tym samym bez nowych surowców i rynków zbytu, kosztowna operacja zjednoczenia Niemiec mogła prędzej czy później zakończyć się klęską. Ucywilizowanie „tubylców” na peryferiach miało więc pociągnąć za sobą lawinę niemieckich misjonarzy, owocującą szybkim wzrostem ekonomicznym w metropolii. Zaprzęgnięci do historycznej misji zostali przedstawiciele cesarza i rządu, a także marynarze, żołnierze, kupcy, uczeni i duchowni, co widać na rysunkach i pożółkłych zdjęciach z tamtego okresu, wydobytych przez kuratorów berlińskiej wystawy.

Żelazny Kanclerz potrafił również umiejętnie zdyskontować niekorzystną sytuację imperiów w Azji. W drugiej połowie XIX w. ustrój cesarskich Chin był w opłakanym stanie, z poróżnionymi niemal w każdej kwestii mandarynami. Państwo Środka, słynące wcześniej z olśniewających dokonań cywilizacyjnych, rozdrapywały teraz zachodnie mocarstwa. Brytyjczycy wygrali wprawdzie z Niemcami przepychankę o archipelag Tonga i już wcześniej wyrwali najcenniejszy klejnot z chińskiej korony, jakim był Hongkong, ale w 1898 r. Berlin zapewnił sobie wschodnie miasto Qingdao, które przez następne lata pretendowało do miana najważniejszego portu handlowego w Chinach.

Ta ekspansja kolonialna pobudziła na dobre wyobraźnię niemieckich podróżników, pamiętnikarzy i pisarzy, która sprzęgała się wszak z polityką Rzeszy. W Tanzanii powstały bazy niemieckiej marynarki, a do nich przybywali pełni kolonizatorskiej arogancji naukowcy i odkrywcy. Lipski kartograf Hans Meyer jako pierwszy Europejczyk wspiął się na Kilimandżaro. W 1902 r. przechrzczono górę na Kaiser-Wilhelm-Spitze. Nowy niemiecki szczyt był o prawie 3 tys. m wyższy od należącego do Korony Europy alpejskiego Zugspitze.

MISJA CYWILIZACYJNA

Metody niemieckich kolonizatorów były zróżnicowane. Na początku wymagały współpracy z przywódcami lokalnych społeczności, którzy nieco prostodusznie zakładali, że wyciągną z kolaboracji wymierne korzyści i wykorzystają Niemców we własnych zatargach plemiennych. Rachuby te oczywiście zawiodły. W Namibii czy Tanzanii nie było śladu przyzwolenia na autonomiczne dążenia czarnoskórych włodarzy. Z czasem niemieccy misjonarze zaczęli urozmaicać system kontroli nad ludnością tubylczą, posuwając się do fizycznej likwidacji osób mogących im zagrozić. Wystawione w muzeum eksponaty, np. bicze oraz tabliczki z numerami identyfikacyjnymi, które musieli nosić Murzyni, u polskiego widza budzą jak najmroczniejsze skojarzenia. Dopełnieniem niemieckiej „misji cywilizacyjnej” było stłumienie w 1904 r. powstań plemion Nama i Herero przez siły gen. Lothara von Trothy na terenie dzisiejszej Namibii.

Zbuntowani tubylcy albo ginęli na miejscu, albo uciekali na bezludne rubieże, gdzie dziesiątkowały ich epidemie i głód.

Istotną rolę w przekazywaniu europejskich zwyczajów odgrywali duchowni, w przypadku niemieckich protektoratów – zarówno katolicy, jak i protestanci. Na uwagę zasługują także badania biologów i leka-

uwzględniali u tubylców odmiennej tolerancji leków. Koch nie zajmował się w Afryce jedynie muchami tse-tse i roznoszonymi przez nie chorobami. W najnowszym filmie Sönkego Wortmanna o dziejach Charité w pewnym momencie pojawia się na planie Arthur Conan Doyle. Szkocki literat wybrał się do Berlina, aby udowodnić, że wytworzone przez Kocha lekarstwo na

Niemieckie kolonie powstały m.in. w Namibii, Tanzanii, Kamerunie, Togo, Papui-Nowej Gwinei i na Samoa.

rzy. Przed I wojną światową przybył do Gabonu Albert Schweitzer, który aż do śmierci poświęcał się leczeniu ludności afrykańskiej. Dokonania sławnego lekarza z Alzacji są niezaprzeczalne. Jeśli jednak rzucimy je na szalę wagi, na której potomni porównują zasługi i winy, niekoniecznie muszą przeważać.

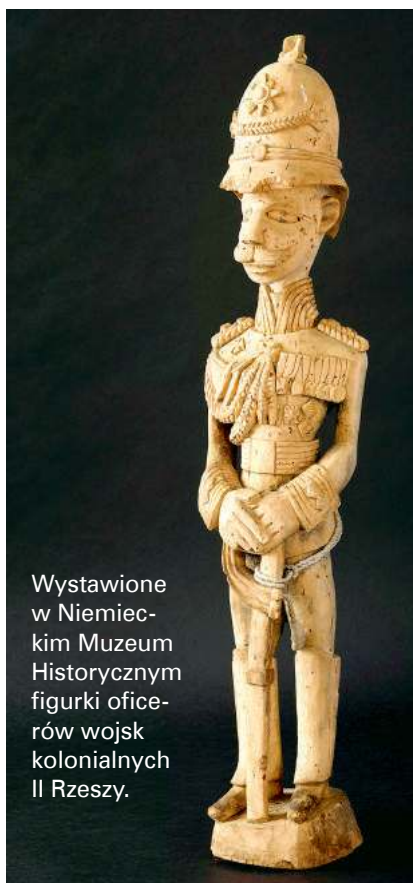
W 1906 r. nad Jeziorem Wiktorii rozłożyli namioty medycy z berlińskiego Charité. Badaniami kierował niejaki Robert Koch, słynny odkrywca bakterii wywołujących gruźlicę i cholere. W ciągu czterech lat lokalna populacja zmniejszyła się z 30 tys. do 18 tys. osób. Niemieccy uczeni nie

gruźlicę jest klapą, a niemiecki bakteriolog to zwyczajny hipokryta. Wortmann nie wspomina jednak, że twórca postaci Sherlocka Holmesa pisał wówczas wiele na temat kolonializmu i doskonale wiedział o „afrykańskich przygodach” Kocha.

KONIEC KOLONIALNYCH AMBICJI

Przygoda kolonialna była również snem o mocarstwowej potędze w samych kaiserowskich Niemczech. Na półki w sklepach spożywczych w Berlinie trafiały kakao i tabliczki czekolady w opakowaniach nawiązujących do tematyki kolonialnej albo wprost wyroby z podbitych krajów. W centralnym ogrodzie zoologicznym pokazywano przywiezionych zza morze „nowych rodaków” z Nowej Gwinei. Z drugiej strony zwyczaje niemieckich kolonizatorów odbiły się na sztuce i kulturze Afryki. Wystawione w muzealnych witrynach figurki oficerów niemieckich wojsk kolonialnych jawią się jako relikty dziejów bezpowrotnie minionych. Niemiecki sen o „zamorskim raju” miał bowiem wkrótce dobiec końca.

I wojna światowa położyła kres kolonialnym ambicjom Berlina. Najszybciej skapitulowały kolonie na Pacyfiku – Nowa Gwinea oraz Samoa. Natomiast w chińskim Qingdao Niemcy nie poddali się bez walki. We wrześniu 1914 r. portowe miasto odpierało ataki Japończyków przez dwa miesiące. W walkach tych poległo ok. 190 Niemców, ale przeszło dwa razy tyle żołnierzy japońskich. W Afryce opór był znacznie silniejszy, ponieważ wojska kolonialne w sporej części złożone były z tubylców, np. w Namibii. Mimo to latem 1914 r. poddały się wojska w Togo, w 1915 r. – w Namibii, w 1916 r. – w Kame-



Wystawione w Niemieckim Muzeum Historycznym figurki oficerów wojsk kolonialnych II Rzeszy.

runie. Najdłuższej stawiała opór Deutsch-Ostafrika (Niemiecka Afryka Wschodnia), czyli kolonia na terenie obecnej Tanzanii, Burundi i Rwandy. Legendarny pułkownik i gawędziarz Paul von Lettow-Vorbeck walczył przeciwko Francuzom na czele armii złożonej z Niemców i Askarysów przez niemal całą I wojnę światową.

NIEMIECKI KOLONIALIZM A POLSKA

W okresie Republiki Weimarskiej wielu Niemców nie mogło się pogodzić z utratą zdobyczy kolonialnych. Tęsknota za Niemiecką Afryką Wschodnią znajdowała upust w międzywojennej kinematografii, w której „nowi rodacy” zaistnieli w egzotycznych rolach. Po 1919 r. przybyło

Natomiast nazistowskie władze zaczęły marzyć o przywróceniu utraconych zamorskich protektoratów. W muzeum pokazano np. broszury o specjalnych kursach dla młodych Niemców, szykujących się do objęcia plantacji w byłych koloniach. Powrót do kolonialnej świetności okazał się jednak złudzeniem. Stracone afrykańskie kolonie wspomniano w Niemczech z taką samą tęsknotą jak „skonfiskowany przez Wersal” Poznań, Górny Śląsk czy Pomorze – zresztą nie bez powodu.

Już w drugiej połowie XIX w. niemiecki kolonializm podzielił się na kilka nurtów, w tym na ten (zapomniany nieco) wschodnioeuropejski. Warto przypomnieć, że Niemcy nigdy nie stałyby się imperium kolonialnym, gdyby nie zjednoczyły się pod pruskim



Zwyczaje niemieckich kolonizatorów odbiły się na sztuce Afryki.

Kiedy w księgarniach pojawili się „Buddenbrookowie” Manna, Niemcy pacyfikowali afrykańskie plemiona.

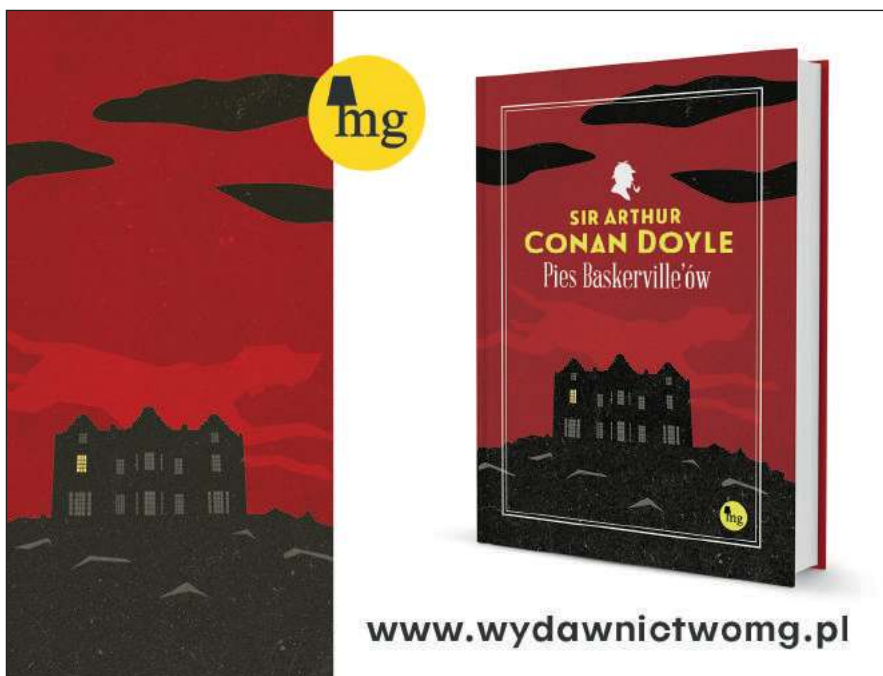
do Niemiec wielu Askarysów, aby założyć firmy i stowarzyszenia, mające zaspokoić popyt na „afrykańską nostalgię”. Przed objęciem władzy przez Adolfa Hitlera Murzyni byli nieodłączną częścią niemieckiego pejzażu kulturalnego. W 1933 r. oczywiście to się skończyło. Niemieccy Murzyni co prawda nie podlegali ustawom norymberskim, ale byli prześladowani. Wiele trafiło do obozów koncentracyjnych.

berłem. Z kolei nigdy by się nie zjednoczyły w 1871 r., gdyby wcześniej nie wykroiły części polskiego tortu. To dziedzina mało zbadana, nieco podstawowych informacji na ten temat zebrali współcześnie żyjący na polsko-niemieckim pograniczu kulturoznawcy, paru innych historyków wplotło „postkolonialny” wątek do szerszych monografii o Polsce. Zresztą warto spojrzeć na II Rzeczpospolitą, liżącą rany po 123 latach zaborów, jak na je-

den z wielu krajów postkolonialnych. Obecnie taki sposób myślenia mieści się zresztą w światowym trendzie. Zniknął zaborca, ale pozostała postkolonialna elita, utworzona po części przez ustępującego kolonizatora. Polskie władze lekcewały prawa mniejszości na terytorium II RP, a niemiecki misjonarz z Poznania zamienił się nagle w tubylca, nad którym pastwił się polski urzędnik.

Ale też Niemcy mają problem ze wschodnim wątkiem swojej kolonialnej historii. Wystawa w Niemieckim Muzeum Historycznym skrupulatnie dokumentuje, jak rewolta studencka w 1968 r. zaowocowała usunięciem nazw ulic i pomników ku czci „bohaterów” zamorskiej przygody. Tymczasem pomniki Żelaznego Kanclerza w dalszym ciągu zdobią stołeczny Tiergarten. Niemcy często jeszcze są odurzeni mitem Bismarcka. Widocznie tylko Polacy pamiętają, że kanclerz II Rzeszy był owładnięty podobną obsesją wyższości cywilizacyjnej nad nimi, wyłączającą elementarne ludzkie odruchy. O tym berlińska wystawa o niemieckim kolonializmie, która właśnie się skończyła i powędruje do innych miast, nie opowiada. A powinna.

Autor jest dziennikarzem i doktorem historii kultury Europy Wschodniej. Opublikował wiele tekstów o kolonializmie w stosunkach polsko-niemieckich, w tym książkę „Pojednanie czy wykluczenie?” o postkolonializmie w II RP i Republice Weimarskiej (wydawnictwo Thelem)



Inne możliwe



Roman Kurkiewicz

PRAWO DO KATAFALKOWANIA



Jestem entuzjastą ulicznych manifestacji, demonstracji, obywatelskiego nieposłuszeństwa, blokad nielegalnych eksmisji, protestów przeciw brutalności policji, pikiet w kwestiach pracowniczych. Polityka uprawiana na ulicy, wrzesczenie hasel, malowanie transparentów, machanie flagami, mówienie publicznie władzy NIE – to sól wolności. A na blokady i kontrmanifestacje miesięcznic smoleńskich nie chodzę i się nie wybieram.

Nie mam i nigdy nie miałem wątpliwości, czy maniackalne, pseudożałobne, polityczne harce na Krakowskim Przedmieściu mają na celu oddanie czci tym, którzy zginęli w katastrofie lotniczej pod Smoleńskiem. Nawet długotrwałe rytuały publicznej pamięci po zmarłych nigdzie nie mają takiej formy i trwałości oraz oprawy. Nie chcę się zagłębiać w uzasadnienie psychologiczne tego patologicznego przedsięwzięcia. Przed siedmioma laty broniłem prawa „krzyżaków”, tak ich wtedy nazywano, do lamentacji modlitewno-politycznych – mogli to robić, jak każdy w ówczesnym i niekiedy także w dzisiejszym społeczeństwie demokratycznym. Nie rżałem z nich, nie piłem przy nich piwa, nie wyśmiewałem ich. I nie miałem wątpliwości, że ich zaangażowanie, błędne rozpoznanie ktoś cynicznie wykorzystuje; nie ma co tu się kryć za słowem ktoś – Jarosław Kaczyński. Nie on jeden wykorzystuje, nie oni jedyni byli, są i będą wykorzystywani. Klasowa pogarda, z jaką ich wówczas potraktowano, nie odpowiadała mi, choć nic mnie z nimi nie łączyło.

Dzisiaj jest inaczej. Za tą sztuczką żałobną stoi cały aparat państwa, zarówno w postaci setek policjantów i policjantek broniących dostępu do uszu i oczu posta Kaczyńskiego niewygodnym hasłom i widokom („białe róże nienawiści”), jak i – co dużo poważniejsze – zmian w prawie o zgromadzeniach, które *de facto* ustanawiają manifestacje równe i równiejsze, słuszne i słuszniejsze. I tak się nieprzypadkowo składa, że uprzywilejowują te rządowo-płackowo-smoleńskie, a odbierają prawo im przeciwnym. Na razie widać, że prawo zmienione, by zadowolić szefa wszystkich szefów, działa głównie każdego 10. dnia miesiąca oraz niekiedy w Krakowie podczas „wawelskiego skupienia modlitewnego” prezesa. Zostanie wykorzystane w innych sytuacjach i jest to naprawdę groźny składnik pakietu ograniczającego nasze prawa obywatelskie, prawa do manifestacji i demonstracji, nasze wciąż konstytucyjne wolności.

Skalkulowane na chłodno wykorzystywanie przez Kaczyńskiego tej okoliczności do wygłaszania pustych w treści i ubogich w formie zaklęć o nadchodzącej bliżej nieokreślonej prawdzie oraz zwycięstwie formacji, która jest wszech-

ządzącą dzisiaj partią – otóż cały ten spektakl nie jest czytelny dla wszystkich, a w każdym razie dla wielu. Protest przeciwko akurat tej monooratistacji (monooratistacja – cykliczna manifestacja polegająca na oracjach jednego oratora, o niemal identycznej zawartości – przyp. autora) jest zatem symboliczny, ze wszystkimi wadami i niedoskonałościami symbolicznych potyczek. Jedni kupują, drudzy – nie. Dla Kaczyńskiego to idealny obraz pustego i jałowego oporu. Przeciw niemu (personalnie), a nie przeciw dewastacji prawa czy fundamentów konstytucyjnych państwa. A on przecież jest tylko szeregowym posłem, który pamięta o bracie. Telewizje informacyjne (również przed 2015 r.) przerywały każdego 10. dnia miesiąca program, żeby oddać mu głos. To go zabierał, mając megafon o tysiąc razy większym zasięgu niż ten z drabinki (a wcześniej bez niej). Dawali – brał. Sączył jad, podtruwał, insynuował – taki przypadek. I ten przekaz szedł. Aż zaszedł na poziom katafalku, bo na czymś takim już teraz stoi prezes, a nie na wyszydzonej biedradrabince.

Miesięcznice czas ignorować. I zabrać się do protestowania tam, gdzie sukces polityczny jest niewykluczony.

Chwilami mam wrażenie, że oglądam widowisko z udziałem małego, niesfornego dziecka, który krzyczy i tupie tym głośniejsze, z im większą przyganą na niego patrzmy, a kiedy odwracamy wzrok, ignorujemy – hałas cichnie. W felietonie mogę sobie pozwolić na nieuprawnione psychologizowanie procesu rodzenia się groźnego autorytaryzmu, jest bowiem w figurze Kaczyńskiego autokratora coś z rozkapryszonego dziecka, który nakręca swoją złość, im bardziej to wyprowadza z równowagi tych niby-dorosłych. Idący z szerokim uśmiechem na ustach na żałobną uroczystość Kaczyński nie śmieje się z głębokiej wewnętrznej radości, śmieje się z opozycji, której nadteatralność jest wyrazem jej politycznej bezradności.

I tu jest cały smutny sęk pogrzebany. Najprzeróżniejsza opozycja jest wciąż wobec szefa PiS politycznie bezbronna i ślizga się po wylanym przez niego lodzie. Miesięcznice czas ignorować.

I zabrać się do protestowania tam, gdzie cel jest jasno postawiony i sukces polityczny niewykluczony. A poza tym nie czekać na jakąś baśniową Norymbergę dla PiS, która nie nadejdzie, tylko pisać ustawy konstytuujące nową Rzeczpospolitą, która nastąpi. Białymi różami się tego nie robi. I choć białe róże pięknie mogą wyglądać na czerwonym tle, wybrać należy estetykę czarnych liter na białym tle.

Ziemowit Szczerek

LENGYELEK

Wtedy w Budapeszcie, gdy Viktor Orbán przemawiał ze schodów Muzeum Narodowego, Polacy też byli. Przyjechała doroczna pielgrzymka na Węgry kierowana przez Kluby „Gazety Polskiej”. To była wizyta, jednak, trochę innego świata. Europy Wschodniej w Europie Środkowej. To było widać. To nie jest ocena – po prostu widać było, że świat na północ od Karpat, z tego przewiewu, przestrzału ze wschodu na zachód i odwrotnie, to jest jednak trochę inny świat niż ten ze starej, pohabsburskiej Europy Środkowej. (...)

W Budapeszcie unosi się zaduch środkowoeuropejskiej piwnicy. Bez dwóch zdań. Po tych ulicach chodzili Polacy ubrani w karmazynowe płaszcze z wizerunkiem Chrystusa Króla. Byli, bez dwóch zdań, najbardziej egzotycznymi postaciami na tych burzliwych, deszczowych ulicach. W środkowoeuropejskim ponurym Gotham wyglądali jak banda Jokera. Wokół muzeum gromadził się tłum. A właściwie dwa tłumy: jeden – zwolennicy Fideszu, drugi – przeciwnicy. Przeciwnicy krzyczeli, że Orbán jest dyktatorem. Podnosili w górę transparenty. Do jakiejś dziewczyny przyskoczył jeden z Polaków, wyrwał jej transparent, rzucił na ziemię, podarł. Zaiskrzyło, zakłębilo się. Podbiegli policjanci, rozdzielili ich. Polak odszedł w stronę swoich, zadowolony, bujający się. Zwycięski. Ci w płaszczach rozdawali wśród Węgrów, tych proorbánowskich, tłumaczone na węgierski ulotki wzywające do intronizacji Chrystusa na węgierski tron świętego Stefana. Węgrzy robili wielkie oczy, brali ulotki, pokazywali sobie wzajemnie i starali się zbyt głośno nie chichotać.

BUDAPESZT

Budapeszt wygląda tak, jakby nigdy nie trzeba tu było niczego zmieniać. Kamienice jak były odrapane i brudne od kurzu i spalin, tak są. Szyldoza jest, jaka była. Tu jakiś mały sklep z butami, tam ubrania, tam kebab, tam McDonald. Váci utca i okolice z kolei są odpicowane, ale zawsze były. Nie pamiętam Budapesztu z czasów komunizmu, ale z okresu po roku 1989 już tak. Wtedy także po Váci chodzili

alfonsi i naganiali do burdeli. *No money, no honey, no pussy*. Zresztą to odpicowanie Váci i innych ulic w samym centrum ma w sobie jakiś brudek, patynę. Tak samo jak w miastach Zachodu, gdzie nie trzeba nic nikomu udowadniać, jak, powiedzmy, w takiej Polsce, krajach bałtyckich, Słowacji czy nawet Czechach. (...) Budapeszt nie miał specjalnej potrzeby się zmieniać.

Budapeszt tak naprawdę stał się tym wielkim Budapesztem pod koniec XIX w. Wtedy kiedy Austria stworzyła razem z Węgrami dualistyczną monarchię i trzeba było zbudować miasto, które mogłoby konkurować z Wiedniem. Więc budowano.

Kompleks Niemiec czy Austriaków był silny. W Austrii na poziomie ulicy funkcjonowała pogarda dla Węgra-

Opozycja z lewej – komuniści. Opozycja z prawej – faszysty. Tylko Orbán może nas zbawić. I część ludzi w to wierzy. A w sumie to patologiczny system



PIES Z DWOMA OGONA

-Huna, tak, tutaj od zawsze działał ten bydlęcy mechanizm każący każdego oddalonego od centrum traktować z pobłażaniem, tym bardziej więc trzeba było udowadniać. I budować. Parlament, mosty, pałace, budynki, aleje. Wszystko to schodzi do Dunaju w pięknym spięciu kompozycji.

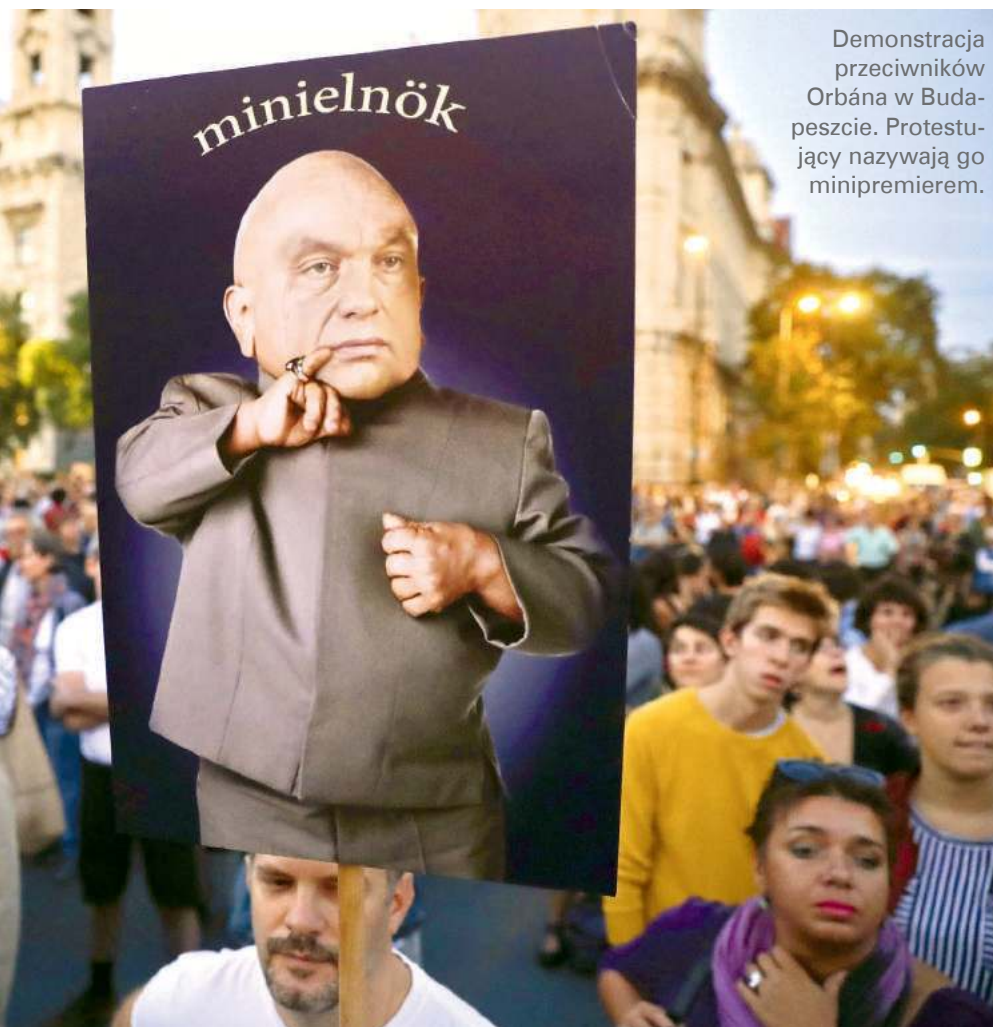
ŻYĆ I DOSTAĆ OKLEP W BUDAPESZCIE

I jeszcze turystyka. Potworna VII Dzielnica pełna pułapek w formie knajp i taksiarzy, których lepiej unikać. Kiedyś nie uniknęliśmy i mój kolega skończył w szpitalu z drgawkami i urazem czaszki. W sumie mogłoby to się zdarzyć wszędzie. W Krakowie np. dodatkowo mógłby dostać maczetą. Ale tam, pośrodku ponurego kamienicowia, miało to w sobie

wszystkie cechy osiedlowej rozróby. (...) Jechaliśmy do szpitala, a miasto się budziło po ciężkiej nocy, pijane jeszcze. (...)

Wjechaliśmy na piętro, na którym kolegę położono, a on ocknąwszy się, bredził trzy po trzy, co sprawiało, że dostawaliśmy dreszczy z przerażenia. To było wysokie piętro i widziało się z niego całą tę piękną panoramę Budapesztu, ten wielki omam, miraż, te mosty, Parlament i budziański zamek schodzący do szerokiej rzeki, Wzgórze Gellerta i dalsze wzgórze, ale nie robiło to na mnie wrażenia, bo ten *mirage occidental* znałem już dobrze od samego dołu i – nic nie poradzę – nie potrafiłem go umiłować. (...) Budapeszt jest ciężki i umiem się po nim tylko boleśnie obijać.

Ale jedno trzeba przyznać: w Budapeszcie z poziomu ulicy całą ten



Demonstracja przeciwników Orbána w Budapeszcie. Protestujący nazywają go minipremierem.

MI NAPRAWIA WĘGRY

węgierski konserwatywny orbánizm jest niewidoczny. W sklepach sprzedają humus, tani i dobry, są ścieżki rowerowe, po ulicach nie chodzą tyse karki, które wyglądają jak maszyny do rytualnego narodowego uboju. (...) W ogóle Budapeszt działa. Jeśli nałożą na samochód blokadę, to nie trzeba czekać przez cały dzień i podpisywać miliona papierków, tylko dzwoni się na numer naklejony na oknie i za 10 minut przychodzi facet z czytnikiem kart, żeby można było zapłacić mandat, i z kluczem, którym zdejmuje blokadę. To nie jest wrogie, stereotypowe wschodnio-europejskie miasto. (...)

POLITYCZNY BUDAPESZT

(...) W siedzibie Jobbiku w budynku Parlamentu nawet doniczka na kwiatek była owinięta węgierską fla-

gą. Wszyscy byli bardzo mili i wcale nie wyglądali na krwiożerczych stepowych postnomadów, jak się ich często przedstawia. Na panturanistów, którzy chcą pożreć cywilizację. Dziewczyny kręcące się po biurach nosiły buty na obcasach. Faceci wyglądali misiowato

W Budapeszcie z poziomu ulicy konserwatywny orbánizm jest niewidoczny.

i pocziwie. Tu i tam wisiły albo były naklejone kontury Wielkich Węgier.

To i tak było nic w porównaniu z tym, co w mieście Ózd zrobił jego jobbikowy burmistrz Dávid Janiczak. Janiczak kazał pomalować cały korytarz prowadzący do jego gabinetu w pasy Arpada, a przyjął mnie – burmistrz 35-tysięcznego, zapuszczonego nieco miasta wokół upadłego przemy-

słu – siedząc, rozparty w głębokim fotelu jak na tronie.

Márton Gyöngyösi, wiceszef Jobbiku, który, w swoim garniturze na miarę, wyglądał jak super-Europejczyk z jakiejś hiper-Brukseli, nie miał takich narowów. Był przemiły i przekulturalny. Mówił, że Rosja jest, jaka jest, ale przynajmniej niczego nie udaje, a Europa, pod płaszczykiem całej tej demokracji i praw człowieka, jest zakłamana i zepsuta. Rosja poza tym to ostoja starych, dobrych konserwatywnych wartości, a europejska zgnilizna, całe to promowanie gejów i rozpusty, ma negatywny wpływ na niego i jego rodzinę. On nie chce, żeby jego dzieci wychowywały się w takim świecie, mówił, a mnie się przypomniałi wszyscy ci hardlajnowi muzulmanie, z którymi rozmawiałem w Kosowie, Bośni i w Sandżaku, i którzy mówili mniej więcej to samo.

Gyöngyösi rozmarzył się, gdy zaczęliśmy rozmawiać o Trianon. Mówił, że być może choć coś się uda – tutaj jakaś autonomia od Ukrainy, tam od Rumunii, a potem się zobaczy. Że Węgrzy nigdy nie odrzucałi idei jakiejś formy zjednoczenia Węgrów, kiedyś, w odległej przyszłości.

– Chcielibyśmy oczywiście znów zobaczyć kształt Wielkich Węgier, ale wiemy, musimy być realistami. Możemy na razie grać na autonomię Szeklerszczyzny, Zakarpacia...

W świecie, w którym zniknąłby Pax Americana, cały ten porządek gwarantowany przez NATO, byłoby to bardziej realistyczne. Wtedy w region weszłaby Rosja i mogłaby rozstawiać po swojemu pionki na szachownicy.

I np. zacząć otwarcie popierać serbski separatyzm w Bośni i północnym Kosowie: w ten sposób Serbia się zjednoczy, bo Belgrad nie odrzucił przecież próśb o przyłączenie do swojego państwa quasi-państw serbskich

w Bośni i Kosowie, i wtedy koniec z serbską integracją z UE i NATO, za to gwarantem nowego układu sił na Bałkanach będzie Rosja i to ona będzie tam rozdawała karty.

Jeśli dołożyć do tego obietnicę złożoną Węgom, że po decentralizacji Ukrainy zapewni się im wpływy w Zakarpaciu i wymusi na Rumunach jakąś formę autonomii Szeklerszczy-

znych, to podpora regionalnego nowego ładu będą Serbia i Węgry, dwa dawniej ważne kraje, które Zachód sprowadził do roli małych kraików w regionie (Węgry po Trianon, Serbie – po wojnie w Jugosławii), na który to ład w przyszłości nikt raczej się nie zamachnie, bo było nie było jest etnicznie uzasadniony.

Przedstawiciel partii władzy zachowywał się za to jak typowy przedstawiciel partii władzy. Z Zsoltem Némethem, współzałożycielem Fideszu, ekonomistą i specjalistą od zagadnień międzynarodowych, rozmawiało się trochę jak z robotem. Czekając na niego, czytałem sobie książkę Igora Jankego o Orbánie i było to moje źródło nieustającej radości. To była w zasadzie hagiografia. Janke Ignął do Orbána jak do dobrego wuja. Obok zachwytów nad jego wytrwałością, siłą i determinacją (...) w książce znajdują się też prze cudowne analizy („By zrównoważyć wpływy socjalistów w biznesie, buduje nowe układy oligarchiczne”).

Przyszedł Németh, włożyłem książkę do plecaka i poszedłem za nim, do gabinetu w lewym skrzydle budynku Parlamentu. Zadawałem mu pytania i wiedziałem, co odpowie. Mówił, że wszystko jest dobrze, że nie wiadomo w zasadzie, dlaczego Europa uparła się na Węgry, że żadne oskarżenia ani zarzuty nie wytrzymują konfrontacji z prawdą, że nieprawidłowości w „nowych układach oligarchicznych” są generalną bzdurą, a jeśli coś jest nie tak, to zajmuje się tym sąd i do widzenia.

Odbiłem się potem od Parlamentu i powędrowałem na stronę korutu, gdzie spotkałem się z Ferencsem Gyurcsánym, byłym socjaldemokratycznym premierem Węgier, którego słowa skierowane do członków własnej partii, że „kłamali dniem rano, wieczorem i w nocy” zostały nagrane, poszły w eter i przyczyniły się do zamieszek nacjonalistycznych, a później do zwycięstwa Orbána w wyborach. Teraz nawet większość przeciwników Orbána przyznaje, że Gyurcsány jest symbolem kompromitacji rządów socjalistów i w ogóle całego tego ustalenia z poprzedniej dekady. I że właściwie powinien odejść z polityki, bo ze swoją nową partią Koalicja Demokratyczna, która miewa poparcie w okolicach 10%, blokuje udręczoną lewą stronę sceny politycznej, na której mogłoby wzrosnąć coś nowego. To jest fajza – mówiono mi o Gyurcsánym. – Ale za to jaka sympatyczna! No,

Gergely Kovács na swoich plakatach obiecuje wszystko wszystkim.



faktycznie. Trudno Gyurcsánego nie polubić przy pierwszym spotkaniu. Ma urok sympatycznego, ogarniętego kujona, który robi wszystko, żeby wyjść ze swojej kujonowości. Siedzieliśmy w jego biurze, piliśmy kawę i paliliśmy jego czerwone marlboro.

Z Gyurcsánym, cóż, miło się gawędziło, ale w zasadzie brzmiało to identycznie jak krytyka polskiego rządu PiS w wykonaniu demokratycznej opozycji.

Klasyka. Prowincja. Młodzi uciekają do Miskolca czy Budapesztu. Prawie nikt już nic nie uprawia.

Orbán to dyktator, jego system to skorumpowany autorytaryzm, jasne – Gyurcsány robił oczy sarny – w czasach socjalistów też się zdarzały przekręty, niestety, ale wtedy to były wyjątki, a teraz to po prostu systemowa sprawa.

A poza tym – wiadomo, stały zestaw: uchodźcy, Unia Europejska, praca człowieka itd. (...)

ÁKOS HADHÁZY

Ákos Hadházy jest ważnym politykiem partii Polityka Może Być Inna i batem na korupcję w orbánowskiej antyliberalnej demokracji, a poza tym czynnym weterynarzem z miasta Szekszárd. Zaparkowałem pod jego gabinetem, mieścił się w wolno stojącym pawilonie. Musiałem przedrzeć się przez rejestrację, którą prowadziła smutna pani w błękitnych crocsach.

Hadházy był miły, brodaty i skromny. Nosił biały fartuch. Przyjął mnie w gabinecie, w którym pachniało psem i kotem. Co chwila zresztą musieliśmy przerywać rozmowę, bo ktoś przynosił jakieś chore zwierzę. Hadházy zniżał w pokoju zabiegowym, wydawał jakieś dyspozycje i wracał.

Jest byłym fideszowcem, działał w Szekszárd i, jak mówi, dobrze zna sposób funkcjonowania lokalnych struktur partii.

– Później zorientowałem się, że tak to działało w całym kraju – mówił. – Na przykład przy głosowaniu nad koncesjami fideszowcy dostawali esemesami wytyczne, jak mają głosować.

Swoim rozdawano zlecenia. Pisało pod nich przepisy. Opłacało się być fideszowcem. „By zrównoważyć wpływy socjalistów w biznesie, buduje nowe układy oligarchiczne”, pisał cytowany już Igor Janke.

Gdy Hadházy zobaczył, jak to wszystko działa, odszedł z Fideszu. A dlaczego w ogóle wstąpił do tej partii? Dlaczego – nie tylko on, ale wielu przecież ludzi, którzy teraz czują się przez Orbána oszukani, głosowało na niego?

– Wydawało się, że po socjalistach już gorzej być nie może, a Fidesz oferował jakieś zjednoczenie wokół idei, pozytywny patriotyzm, wydawało się, że może naprawdę zreformować kraj



– mówił mi znajomy węgierski dziennikarz, który też się czuje sierotą po Fideszu wyobrażonym.

To samo mniej więcej mówił Hadházy.

Kompromitacja państwa w czasach Gyurcsányego, nowa nadzieja – i za-wód.

Tę historię słyszałem wiele razy. O karierze zięcia Viktora Orbána, Istvána Tiborczy, który w błyskawicznym tempie wyrósł na poważnego biznesmena: dzięki zleceniom fideszowskich władz lokalnych dorobił się na instalowaniu nowoczesnego oświetlenia LED w wielu węgierskich miastach. Tiborcz zresztą to tylko czubek góry lodowej. Dziennikarze śledczy informują o ustawianych przetargach, żerowaniu na unijnych pieniądzach, wożeniu się Fideszu po węgierskim rynku jak po swoim, kupowaniu pohabsburskich pałaców przez nową arystokrację.

Tak, to są Węgry, to jest *decorum* nowej władzy. Ale Fidesz stara się prowadzić lewicową politykę gospodarczą, bo wyczuwa chyba dobrze, że w Europie Środkowej sprzedaje się konserwatyzm i ukryta pod konserwatywnym płaszczkiem lewicowość. Miesza więc jedno i drugie, tworząc programy dla młodych małżeństw, obniżając opłaty komunalne czy opodatkowując molochy biznesowe, choć cena za to jest spora i pracownicy budżetówki – nauczyciele i lekarze – co jakiś czas wychodzą na ulicę, protestując przeciw niskim pensjom. Węgry są zadłużone, w ostatnim czasie starają

się jednak długi spłacać, a ich pozycja u agencji ratingowych powoli rośnie.

– Orbán pożarł wszystkie narracje – mówi mi przy piwie znajomy. – Lewicową, prawicową. I przedstawia wszystko tak, że co nie on, to skrajność. Opozycja z lewej strony – komuniści. Opozycja z prawej – faszyci. Tylko Orbán może nas zbawić ode złego. I część ludzi w to wierzy. A w sumie to tylko patologiczny system.

Pożarł, ale jednak nie wszystkie. Istnieje jeszcze Pies z Dwoma Ogonami. To partia, którą prowadzi Gergely Kovács, grafik. Pies objawia się co jakiś czas i zbawia Węgry. Jego obietnice wyborcze sięgają o wiele dalej niż obietnice Fideszu. Pies bowiem w programie wyborczym oferuje Węgrom m.in. życie wieczne, niższą grawitację, pokój na świecie i dwa zachody słońca dziennie. A także zniesienie chorób (i w ten sposób zlikwidowanie głównego problemu, który nęka węgierską służbę zdrowia), darmowe piwo dla każdego Węgra, sympatyczną pogodę latem: ok. 20-25 st. (plus ożywcza bryza), budowę stacji kosmicznej, zamienie-

Chcielibyśmy znów zobaczyć kształt Wielkich Węgier, ale musimy być realistami.

nie ulic Budapesztu w weneckie kanały (żeby było ładniej) oraz wzniesienie sztucznej góry pośrodku Niziny Węgierskiej. No i *last, but not least* Pies postuluje utworzenie Mniejszych Węgier w miejsce Wielkich Węgier. Kto chce kształt Wielkich Węgier – niech go sobie wytnie w granicach Węgier małych, a nadwyżkę niech odda Serbom, Rumunom, Austriakom, Ukraińcom i Słowakom. Przecież, jak przekonuje Gergely Kovács, pójście w drugą stronę i odbieranie im terenów dawniej należących do Wielkich Węgier byłoby niegrzeczne. Podpis na plakatach Psa głosi: „Jest taki uroczy, że na pewno nie będzie was chciał okraść”.

EMÓD

Pojechałem do Emőd, bo zawsze chciałem. To miasto, w którego dzielnicy, *de facto* będącej wsią, Istvánmajor, mieszkają Polacy przesiedleni tutaj ze wsi Derenk. A właściwie potomkowie Spiszaków i Podhalan, których przesiedlono do północnych Węgier, kiedy epidemia dżumy wybiła dawnych mieszkańców. Górale mieszkali

w Derenku przez 200 lat, zdążyli z tego wszystkiego nawet przestać być góralami, aż przyszedł czas, gdy regent Miklós Horthy, już w czasach II wojny światowej, zechciał rozszerzyć tereny łowieckie – i mieszkańców przesiedlił. Do Istvánmajor właśnie.

Podjechałem drogą zrobioną z betonowych płyt. Istvánmajor nie wyglądał najlepiej. W rzeczy samej wyglądał gorzej niż przeciętna węgierska wieś. We wsi, wokół domu kultury, działa co prawda wi-fi, a nad samym domem powiewają flagi UE, Węgier i Polski, ale kończy się asfalt. Kawatek dalej był cmentarz (...).

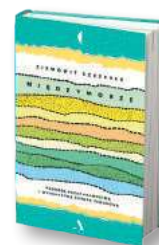
Ulicą Derenecką poszedłem szukać Polaków. Stał tu kościół z krytą blachą dzwonnicą. Parę terenówek w błocie. Wielki majdan nieobróśnięty jeszcze wokół domami. Boisko na trawie i opyny w charakterze kwietników. Ze Stefanem Rémyásem rozmawiałem jakąś dziwną wersją ogólnostowiańskiego.

– Ja – mówi – chodził do Pesztu, robota. Szofer. Budapeszt – Miskolc, Emőd. Starzi gwarili po naszemu. Młodi – mówił – nie. On – wskazuje na swojego syna – nie rozumi.

Syn się uśmiecha i rozkłada bezradnie ręce.

– *Nem értem.*

Poza tym – klasyka. Prowincja. Młodzi uciekają do Miskolca czy Budapesztu. Nie dziwiłem się, sam bym uciekał. Prawie nikt już nic nie uprawia. Coraz więcej Węgrów tu się osiedla. Jeden z nich zrobił mi awanturę, że fotografuję błotnistą ulicę Derenecką. Fotografowałem akurat nazwę, nie błoto, co nie znaczy, że uważam, że błota nie wolno fotografować. I akurat go nie fotografowałem. Wrzeszczał na mnie długo po tym, jak odwróciłem się i szedłem w drugą stronę.



Fragmenty książki Ziemiowita Szczerka, *Między morze*, Wydawnictwo Agora, Czarne, Warszawa-Wołowiec 2017

Paweł Drąg

Na nagraniu w zamkniętej grupie „szukam chłopaka/dziewczyny” pojawia się obły kształt półnagiego mężczyzny. Jego twarzy nie widać, kamera ustawiona jest w ten sposób, by mógł pozostać anonimowy. Cała uwaga musi więc się koncentrować na obnażonym ciele dojrzałego człowieka. Mężczyzna ma na sobie tylko różową bieliznę. Milczy. Dzieci lawinowo podłączają się do wideo. Większość zaczyna pytać, co ma znaczyć ten pokaz, część go wyśmiewa lub zaczyna wulgarnie obrażać. W pewnym momencie jego dłoń ląduje w okolicach kroczka. Dotyka się kilkanaście sekund, do momentu, kiedy ktoś wyłącza nagranie. A życie na fanpage’u toczy się dalej i nie zatrzyma nawet na moment.

Poniżej opublikowane zostaje kolejne wideo. W wannie siedzą trzy kuso ubrane dziewczynki. Nie wyglądają na więcej niż 14 lat. Na twarzy mają okulary przeciwsłoneczne. W tle leci popularny raperski utwór. Wymachują rękoma w rytm muzyki, pozorując dobrą zabawę. Co jakiś czas czytają wpisy pod swoim nagraniem i odpowiadają na pytania. Pierwsze dotyczą ich wzrostu i wagi. Ktoś każe jednej wstać i obrócić się dookoła. Robi to od razu. Później pojawiają się obraźliwe, seksistowskie teksty: „Pokaż sutą”, „Fajna cizia”, „Ruchałbym”. Dziewczyny wybuchają śmiechem. Nie są zaskoczone ani tym bardziej skrępowane. Traktują całą sytuację bardzo naturalnie – jakby były do tego przyzwyczajone. Jedna pokazuje środkowy palec, ale w żadnym wypadku nie demonstruje przy tym złości. Nie przerywają też wideo. Zabawa trwa.

Brak uwagi rodziców, akceptacji w domu i u rówieśników sprawia, że życie młodzieży przenosi się do sieci.

Wyrażenie „jak będzie mnie oglądało 40 osób to pokaze sowe”, od razu zwraca moją uwagę. „Poka sowe” to kiczowaty utwór nagrany przez popularną w internecie skandalistkę, występującą pod pseudonimem SexMasterka. Uchodzi za totalną żenadę. Nie zniechęca to jednak internautów – w znanym serwisie utwór (?) został wyświetlony ponad 9 mln razy. SexMasterka jest vlogerką, w internecie zamieszcza autorskie seksporadniki. Zawsze w wyzywającym stroju,



KIEDY RODZICE NIE WIDZĄ

Nastolatki w internecie szukają akceptacji, uwielbienia i edukacji seksualnej

operując mało wyszukany słownictwem i licznymi kontrowersjami. W slangu młodzieżowym „poka sowe” to żądanie pokazania intymnego miejsca kobiety. Wpis z tą obietnicą opublikowała 13-letnia drobna blondynka w modnych teraz hipsterskich okularach zerówkach. Nie wiem,

miesiąc”, napisali administratorzy, ale to tylko teoria. W praktyce swobodnie działają tu również mężczyźni nawet po pięćdziesiątce. Nie widzę ich jednak wielu lub nie rzucają się w oczy – możliwe, że rozmawiają z innymi użytkownikami tylko prywatnie.

Gros aktywnych użytkowników, z przeszło 143 tys. wszystkich byłalców zamkniętej grupy, to nastolatki między 10. a 15. rokiem życia. Regulamin ewidentnie tworzyła bardzo młoda osoba, o czym świadczy choćby taki zapis: „Wyśmiewanie kogoś bo gorzej wygląda czy waży za dużo lub za mało – spójrz na siebie jak wyglądasz, jak wyglądasz dobrze to się ciesz chociaż z tego bo ban jest już w drodze najpewniej i trafisz na specjalną listę”.

– Ten fanpage jest jednym z miejsc, gdzie młodzież poszukuje akceptacji i chce wzbudzić czyjeś zainteresowanie. Przyczyn, które skłaniają młodych ludzi do takiego działania, jest wiele: brak akceptacji w domu, w środowisku rówieśniczym, zapracowani

czy dotrzymała słowa, ale liczę, że była to wyłącznie gra mająca na celu skupienie na sobie uwagi innych użytkowników.

POCZUCIE ANONIMOWOŚCI

Do grupy zostają dodany kilka minut po wysłaniu zgłoszenia. Jest przy niej informacja, że mogą tu przebywać wyłącznie osoby do 30. roku życia – mieści się w tym kryterium. „Akceptujemy tylko konta założone więcej niż

Rodzina musi być ostatnim bastionem

Trudno spojrzeć na młodzież jak na osoby, które chcą być zauważone i docenione

KAROLINA PIOTROWSKA

– psycholog specjalizująca się w tematyce seksuologicznej, autorka książki „Błogosławiony stan umysłu” i programów z cyklu „Cud Narodzin”. Prezes Fundacji Lepszy Poród.

Niestety, problem jest wielowątkowy. Musimy się przyjrzeć pewnym naturalnym potrzebom, które są związane z tym okresem rozwoju. W wieku pokwitania zależy nam na pozytywnej ocenie i aprobachie ze strony rówieśników. To moment, kiedy „hormony szaleją”, a akceptacja społeczna jest najważniejszym czynnikiem decydującym o życiowym sukcesie. Można więc powiedzieć, że biologia predysponuje nas do tego, by w wieku wczesnomłodzieńczym szukać uznania i akceptacji u rówieśników.

Spójrzmy na edukację, którą zapewniamy młodym ludziom. Wmawiamy dzieciom, że mają być grzeczne i posłuszne. Nie uczymy nonkonformizmu, karzemy przejawy asertywności. W efekcie później trudno im oprzeć się temu, co proponuje grupa. Poza tym szkoła nie oferuje praktycznie żadnej edukacji seksualnej. Nawet przedmiot, który teoretycznie miałby tym się zaj-

mować, nosi miano wychowania do życia w rodzinie. Nastolatkom nie zależy na zakładaniu rodziny, to nie ten wiek. Młodzież pokazuje swój rozwój seksualny i potrzebuje wiedzy o tym, jak on przebiega.

Skoro szkoła nie dostarcza informacji o tym, jak wyglądają typowe załoty, tworzenie relacji, radzenie sobie z niepowodzeniem, sztuka odmawiania, ale i zgadzania się oraz podejmowania aktywności seksualnej, nastolatki czerpią wiedzę z łatwo dostępnych filmów pornograficznych. To, co na nich widzą, staje się nową normą seksualną. A filmy, jak dorośli wiedzą, są przerysowane i nieprawdziwe. Tylko że nikt nie rozmawia o tym z młodymi ludźmi, więc skąd oni mają o tym wiedzieć?

W tej sytuacji ostatnim, a właściwie jedynym bastionem staje się rodzina. Bliskie relacje między dziećmi a rodzicami są tym, co może służyć na tym etapie rozwoju jako bezpieczny port, do którego dziecko zawsze może wrócić. Problem jest taki sam, jak z edukacją seksualną – żeby było to skuteczne, musi zostać rozpoczęte odpowiednio wcześniej. Nie wtedy, gdy widzimy już objawy kryzysu. Potrzebne są działania prewencyjne, które należy wdrażać całe lata przed pojawieniem się problemu.

Jeśli chcemy ograniczyć takie sytuacje, jako rodzice powinniśmy zacząć rozmawiać z dziećmi o seksie odpowiednio wcześniej, na pewno przed okresem dojrzewania. Jako dorośli powinniśmy nauczyć się reagować, kiedy widzimy, że może mieć miejsce nadużycie seksualne, np. w chwili gdy dojrzały człowiek nakłania do czynności seksualnej osobę poniżej 15. roku życia. Poza tym wszystkim nam jest potrzebny zimny prysznic. Łatwo oceniać młodzież jako złą, spaczoną, dziwną – zdecydowanie trudniej spojrzeć na tych młodych ludzi jak na osoby, które w taki sposób szukają zaspokojenia naturalnej potrzeby – bycia ważnym, zauważonym, zaakceptowanym, docenionym. ■

rodzice, niemający czasu dla dzieci. To wszystko sprawia, że życie młodzieży przenosi się do sieci. Tu każdy może swobodnie kreować się na kogoś, kim chciałby być. Internet daje też złudne poczucie anonimowości, co sprawia, że nawet najbardziej nieśmiałe osoby są skłonne do podejmowania działań, na które nie odważyłyby się w rzeczywistości, a które często są dla nich zgubne w skutkach – wyjaśnia Maria Rygielska, psycholog dziecięca, pracownik Centrum Rozwiązywania Problemów Społecznych i Małopolskiego Centrum Profilaktyki.

Najczęściej pojawiającym się wpisem w grupie jest prośba o ocenę zdjęcia. Zazwyczaj robi się to w punktach, od 1 do 6. W pierwszym poście, który rzuca mi się w oczy, 1 oznacza „rak oczu”, a 6 – „kraszuję, pisz priv”. Pod tego typu wpisami zdarza się nawet kilkaset ocen. Osoba oceniana często rewanżuje się tym samym, a otrzymując wysoką notę, może liczyć na rozmowę w wiadomościach prywatnych, której inni użytkownicy nie będą widzieli. Dzieci rywalizują o to, kto przyciągnie uwagę największej liczby osób. Dziewczynki posuwają się do publikacji zdjęć w bardzo wyzywających pozach. Do takich fotografii dodają często informację, by „dziwacy” nie wazyli się ich oceniać. Do nich zaliczają choćby „grubych i rudych”.

BUDOWANIE SAMOOCENY

Pewna dziewczynka umieszcza zdjęcie, na którym ma zasłoniętą twarz. To powoduje, że zaczyna się lincz. „Mogłaś chociaż swoją mordę pokazać” czy „poka ryja” to najłżejsze wpisy. Do kilkunastu takich fotografii dodaje swój komentarz. Pytam o przyczynę uczest-



► niczenia we wzajemnym ocenianiu się. Argumentuję, że to uwłaczające i uroda nie powinna być żadnym kryterium przy poszukiwaniu przyjaciół. Odpowiadają mi dwie osoby. Jedna dziewczynka zbywa mnie lakonicznym „bo tak”, druga wdaje się ze mną w rozmowę.

„Dokładnie, to jest mocno uwłaczające i żalosne, ale większość młodych ludzi potrzebuje tego, żeby pojechać

Młodzież stara się naśladować skandalistów i celebrytów.

swoje *ego* i czuć się docenionymi. W średniej wieku, jaka panuje na tej grupie, uroda jest ponad intelekt, więc takie oceny są bardzo mile widziane. Charakter wielu osób buduje się właśnie na ocenie ze strony innych ludzi i akceptacji ich przez otoczenie, którą można uzyskać przez spodobanie się. Podążanie za tłumem jest łatwe, to kwestia jednostek, czy zechcą się od tego tłumu oderwać. Nie wiem, ile trwa takie zadowolenie, ale wystarczająco długo, żeby osoba oceniana chciała więcej”, twierdzi nastolatka. Na moje pytanie, w jakim więc celu sama ocenia innych, skoro doskonale zdaje sobie sprawę, jak to wszystko funkcjonuje, odpowiada już mniej budująco. „Żeby się pośmiać i powk... ludzi – proste! Piszę 1/10 i patrzę, jak się denerwują, polecam”, zamyka rozmowę ze mną.

– Większość użytkowników fanpage’u to osoby mające od 10 do 15 lat. To wiek, w którym zmienia się ich ciało; dojrzewają. Bardzo intensywnie rozwija się ich seksualność, mamy też do czynienia z kryzysem tożsamości, czyli okresem dezorientacji i niskiej samooceny, który jest typowym elementem dojrzewania. To również moment budowania samooceny i swojego ja – uzupełnia Maria Rygielska. – Młodzi ludzie na fanpage’u oceniają siebie nawzajem. Robią to, nie mając świadomości, jakie skutki emocjonalne może wywołać ich komentarz. Sposób, w jaki przedstawiają siebie na portalu, chcą zwrócić na siebie uwagę innych użytkowników, podyktowany jest często tym, co lansują media oraz kanony mody funkcjonujące w społeczeństwie. Młodzież, patrząc

na to, jak próbują zaistnieć skandaliści i celebryci w świecie show-biznesu, stara się ich niejako naśladować.

SAMOBICZOWANIE

Włączam wideo podpisane: „Szukamy dziewczyn 70+ i Max wciąga krechę na 5 nowych subskrybentów”. Na nim trzech nastoletnich chłopców trzymających w ustach e-papierosy.

Jeden rzuca: – Elo, szmaty! Pod materiałem zaczynają witać się z nimi dziewczyny. Określenie szmata najwyraźniej im nie przeszkadza. Chłopcy opowiadają o tym, że jarali dziś szlugi w szkolnej toalecie. Chwalą się tym, ewidentnie czekając na aprobatę. A ja czekam z niepokojem na moment, kie-



dy zaczną realizować postanowienie z wpisu do wideo. W końcu pytają: – To jak, wciągamy już krechę? Co tak cicho?! Wciągamy?! Dzieciaki masowo zaczynają się domagać rozpoczęcia oczekiwanego spektaklu. Najmniejszy chłopiec przynosi biały proszek. Nie

Internet daje złudne poczucie anonimowości.

są to jednak narkotyki, ale odżywka dla sportowców. Chłopak wciąga sporą jej ilość do nosa, co spotyka się z szaleńczym śmiechem kolegów. Publikacja z czatu wiwatuje. Dzisiaj chłopcy mają zapewne dobry dzień – śledziło ich ponad 50 osób.

Największą falą hejtu potraktowany zostaje chłopiec w brudnej, wymiętej bluzie. Ma kilkanaście lat, ale nosi już

wąsy. Najprawdopodobniej jeszcze nigdy się nie golił. Możliwe, że jest z nich dumny lub nie ma obok siebie nikogo, kto mógłby mu pokazać, jak się golić. Pod jego nagraniem szaleje burza. Jest wyszydzany w okrutny sposób, ale nie potrafi z tym walczyć. Klnie pod nosem, chowa twarz, by jego zarost nie był dostrzegalny, ale nie wyłącza wideo. Zaczyna grać w grę na komputerze stacjonarnym, ale co chwilę nerwowo zerka w stronę okienka z wiadomościami z czatu. W jego pokoju panuje półmrok. Dzieci nie dają mu spokoju. Próbuję interweniować, ale jestem traktowany jak powietrze. Mam wrażenie, jakbym uczestniczył w samobiczowaniu.

Odzywam się pod czatem dziewczynki, która wygląda na wyjątkowo spokojną i rozważną. Informuję, ile mam lat, i zaczynam krążyć z pytaniami wokół głośnego pobicia 14-latki w Gdańsku przez koleżanki ze szkoły.

– Jakby tobie wydarzyła się podobna sytuacja, to co byś zrobiła?

– No... też mogłabym pobić.

– Naprawdę uważasz, że byłoby to najlepszym rozwiązaniem?

– No słabo, że one biły trzy na jednego, to akurat bez sensu.

– Czyli bicie jeden na jednego ma więcej sensu niż trzy na jedną?

– Wiadomo. Jakby mój chłopak zdradził mnie z kimś, kto nie byłby moją bliską kumpelą, to też bym pobiła. Inaczej to nie, przyjaźń jest najważniejsza.

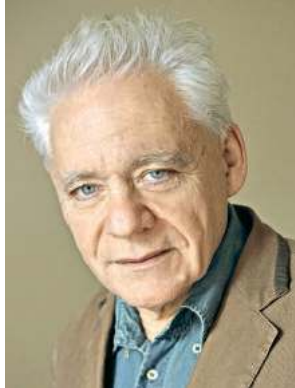
Na moment ląduję jeszcze na kilku czatach. Dziewczyny bawią się w wyzwania. Jedno z nich polega na tym, że podają publicznie swój numer telefonu i przez godzinę muszą odebrać każde połączenie, a następnie włączyć je na głośnik. W ciągu kilku minut dzwonią trzy osoby. Dwie jęczą do słuchawki. Dziewczynki szybko odrzucają połączenie. W innym miejscu chłopiec szuka „loszki do macania”. Nastolatek pisze: „Robię najbardziej zboczoną konfę ktoś chce tylko dziewczyny”.

Wychodzę. Jestem zmęczony. Byłem tu tylko 180 minut. Wystarczyło. Myślisz, że zamknięcie tej grupy rozwiąże problem? Jesteś w błędzie. W internecie są tysiące takich miejsc. Gdy zniknie jedno, pojawi się drugie, trzecie... Edukuj i rozmawiaj. To ratunek.

Paweł Drąg

PS Zdjęcia z fanpage’a, o którym pisałem.

Oko w oko



Tomasz Jastrun

TEN NIESZCZĘSNY EGALITARYZM



Koresponduję z młodym człowiekiem, który teraz mieszka i pracuje w Anglii. Wyjechał, bo nie mógł znaleźć dobrze płatnej pracy i był udręczony brakiem perspektyw. Mimo że studiował język, którego znajomość jest u nas rzadka (nie napiszę jaki, bo wtedy mój rozmówca byłby łatwy do identyfikacji, a jako że mówi rzeczy niepoprawne politycznie, boi się). Ten brak perspektyw to główny powód kolejnych fal emigracji z Polski. Ów człowiek mieszka w wielkim, ponurym bloku w dzielnicy z ogromną przewagą Pakistańczyków. Pracuje w fabrykach jako robotnik, więc ma poczucie deklasacji. Ale nieźle zarabia. Jak wielu współczesnych młodych hoduje w głowie niezły bałagan, lecz jakimś cudem potrafi łączyć w sobie wielkie sprzeczności. Píše mi: „Do jesieni 2015 r. byłem nastawiony lewicowo i liberalnie, na PO jednak nie głosowałem, ale na SLD, następnie na Ruch Palikota. Potem na antysystemowców, czyli na Kukiza. I teraz Kukiz jest moim zdaniem najbardziej autentyczny, jedzie na tzw. wkurwie, ja też czuję się wkurwiony. PO wyrzuciła mnie i miliony ludzi z kraju. PiS ma wady, ale coś zrobiło dla zwykłych ludzi, choćby 500+ itp. A że nie ma demokracji? A po co nam demokracja, skoro ludzie nie mają czego do garnka włożyć? Na to nakłada się dramat ściągania do Europy tabunów nierobów z innych kultur. To jest samobójstwo Europy. Islam zamorduje Europę. A Ukraińcy w Polsce to też wielkie nieszczęście”.

Niestety, bardzo polski jest ten pogardliwy stosunek do innych, czyli obcych. My jesteśmy pany, a oni chamy. Ale mój internetowy znajomy akceptuje zarazem wszystko, co ja piszę w duchu liberalnym. Jego myślenie to klucz do tego, co się stało w Polsce, także w Stanach. Mamy bunt tych, którym źle się wiedzie, są przekonani, że powinno im być nie gorzej niż tym, którym się powiodło. Czyli winien jest egalitaryzm. A elity i politycy nie wzięli pod uwagę, że zmieniło się myślenie ludzi, już nikt nie godzi się na podrzędność.

Rozumiem niechęć do islamu, gdyż ją podzielałam. Staram się jednak oddzielić radykałów islamskich od kobiet z dziećmi, które uciekają od wojny. I nie chodzi tu przecież o miliony arabskich uchodźców. To, że w Polsce w ogóle ich nie ma, potęguje strach, bo najstraszniejszy jest diabeł, którego się nie widzi. Na tym polega dramat PO. Lęk przed obcymi może być decydującym czynnikiem wygranej PiS i Kukiza w najbliższych wyborach. PO więc lawiruje. Czy ma inne wyjście? Parszywa sytuacja. Także z tego powodu polityka jest tak obrzydliwą rzeczą.

Czy wybór PiS to nie wielki narodowy akt autodestrukcji?

•
Tąpnięcie związane z dojściem PiS do władzy przyszło w chwili, gdy Polacy zdawali się wychodzić ze swojego odwiecznego skwaszenia duszy. Było mniej narzekania, że wszystko straszne, okropne, że jest źle, a będzie gorzej. Nagle zrobiło się kolorowo, na ulicach mniej ponurych i zbolatych osobników. Wiosną i latem ożywają chodniki, kawiarnie, rowery, młodzi na deskach i rolnach. O wiele więcej uśmiechów, w sklepach prawie zawsze miła obsługa. Od początku XIX w. do lat 90. XX w. przybywających do Polski cudzoziemców uderzała ponurość naszych ulic, zamknięte, smutne twarze przechodniów. Smutek to było dominujące wrażenie. Można je wyjaśnić naszą dramatyczną historią. Szlacheckie myślenie nasączyło sobą wszystkie warstwy i grupy społeczne, podobnie jak дума zawarta

w porzekadłach: „Nic o nas bez nas”, „Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie”. Ta дума została sprowadzona przez historię do parteru i wepchnięta pod szafę. Stąd nasze duchowe rozbabranie.

I autodestrukcja. To tłumaczy plagę alkoholizmu i z tego powodu przodujemy w świecie w liczbie wypadków samochodowych. Czy wybór PiS to nie wielki narodowy akt autodestrukcji?

•
Dochodzenie do prawdy na temat katastrofy smoleńskiej musi być żalosną groteską, skoro tę prawdę już znamy. Tu jednak chodzi o inną prawdę. W dyktaturach takie rzeczy załatwiano się bardzo prosto. A ponieważ mamy tylko załazki dyktatury, cała sprawa paskudnie się komplikuje. Jeśli ktoś ma szczególne poczucie humoru, będzie się delectował tym spektaklem, który jeszcze potrwa. Pesymista powie, że nie tak długo, tylko do chwili, kiedy z tego jaja wylęgnie się prawdziwa dyktatura. Przecież przed wojną była Bereza Kartuska, a dzisiaj wielbimy Piłsudskiego. Optymista powie, że nigdy nie przybierze to drastycznej formy, bo duch czasu jest liberalny, jesteśmy w Unii i blisko ze Stanami, no chyba że wydarzenia wymkną się spod kontroli. Jako że nie da się udowodnić zamachu, prezes i jego aparat propagandowy skupią się na pomieszanu zwłok ofiar katastrofy. Będzie więc trwał makabryczny taniec z ludzkimi szczątkami w stanie zaawansowanego rozkładu. Do czasu gdy rozłożą się sami tańczący. Na pogańskich mszach barbarzyńcy, którzy protestują przeciw najazdowi barbarzyńców, oponentów oskarżają o barbarzyństwo i o to, że są rosyjskimi agentami. Frasyniuk też agent. Już sama nazwa partii Prawo i Sprawiedliwość zawiera w sobie dwa kłamstwa.

RADZIECKA KOBIETA? A KTO TO TAKI?

Trudno uwolnić się od przeszłości.
Ale czasami człowiek nie ma innego wyjścia

Rozmawia
Małgorzata Kąkiel

Anna Karenina, trzy siostry Prozow, Katarzyna Iwanowna Marmieladowa, Sonia – jej pasierbica, Aksinia Astachowa, Małgorzata... W literaturze rosyjskiej znajdziemy wiele interesujących postaci kobiecych. Do nich dołączymy też bohaterki pani powieści „Czas kobiet”. Mężczyźni wywierali wpływ na ich życie i z różnych powodów odchodzili, znikali. To dlatego one absorbowały uwagę pisarzy?

– Bohaterki, które pani wymieniła, pochodzą z różnych epok. Łączy je tylko to, że są kobietami rosyjskimi albo – jak Małgorzata Bułhakowa – radzieckimi. Przy czym przymiotnik radziecki to charakterystyka czasów, a nie postaci. W tym sensie radzieckie są także moje bohaterki. Pierwowzorem nieszczęsnej Antoniny była moja babcia Kapitolina, która umarła, zanim się urodziłam. Miała ciężkie życie, nadszarpnęła siły, gdy wybuchła wojna, w czasie ewakuacji pracowała jako koniuch. Trzy staruchy z „Czasu kobiet”: Glikierija, Ariadna, Jewdokija to jeszcze inne losy. Im radziecka rzeczywistość zabrała wszystko – mężów, synów, wnuki. Ratując małą córeczkę sąsiadki, rzucają wyzwanie nieludzkiemu państwu i odnoszą zwycięstwo – w moralnym, egzystencjalnym sensie one są zwyciężczyniami. W odróżnieniu od siostr Prozow, Katarzyny Marmieladowej, nie wspominając już o Annie Kareninie.

W Polsce „radziecka kobieta” to synonim silnej, samodzielnej baby, która ze wszystkim sobie poradzi. Bo jakie ma wyjście?

– Rozumiem, że kluczowe słowo to radziecka. Nasze wzajemne przedstawianie siebie wynika niestety z koniunktury politycznej. Wszystkie barwy kobiecości sprowadzają się

JELENA CZYŻOWA

– rosyjska powieściopisarka i eseistka, gość warszawskiego Big Book Festival. Absolwentka Petersburskiego Państwowego Uniwersytetu Ekonomicznego. Dyrektorka petersburskiego oddziału PEN Clubu. W Polsce przetłumaczono jej „Czas kobiet” i „Grzybnię”.



tu do jednego koloru – czerwonego. Nie wiem, na ile „antyradziecka” kobieta – jak ja i wiele moich znajomych – wpisuje się w ten stereotyp. Przeanalizujmy go dalej: jeżeli silna, to od razu baba (nie kobieta), a samodzielna – bo nie ma innego wyjścia, czyli gdyby miała wyjście, przestałaby być samodzielna? „Radziecka kobieta”

mówi pani? Aż chce się zapytać: a co znaczy „szwajcarska kobieta”? Lepiej podchodzić do sprawy historycznie, nie politycznie. Moje prababcie, babcia musiały wziąć cały ciężar życia na swoje barki, bo fala represji, wojen zabrała mężczyzn. Dla nich, wychowywanych w tradycyjnej, patriarchalnej kulturze, było to trudne, boleśnie

trudne. Ale dały sobie radę i nas, pokolenie wnuczek, kształtowały inaczej. Tak, żebyśmy od zarania czuły się silne i niezależne. Nie gorsze i nie słabsze od mężczyzn. I większość z nas na takie kobiety wyrosła.

Ale Raisa Gorbaczow drażniła Rosjan, bo szła krok w krok z mężem, nie trzymała się z tyłu.

– Nie, nas Raisa Gorbaczow nie drażniła, ona nam się podobała. Ale przyznając: wykształcone, samodzielne kobiety z dużych miast nie stanowią większości Rosjan. A ja cały czas mówię o kobietach z mojego pokolenia i mojego środowiska. Od najwcześniejszej młodości zależało nam na zdobyciu porządnego wykształcenia, potem chcieliśmy robić karierę, czyli wieść samodzielne życie. To było zwycięstwo feminizmu.

Czy możliwy byłby dziś w Rosji taki ruch jak nasze czarne parasolki? Jaki problem zjednoczyłby Rosjanki, żeby wyjść na ulicę i czegoś się domagać bądź czemuś przeciwstawiać?

– Ilekroć ktoś mnie pyta, czy rosyjskie kobiety są zdolne do protestów, przypominam sobie sierpień 1991 r. (pucz Janajewa) i plac Pałacowy w Petersburgu (wtedy Leningradzie). W telewizji podali, że do miasta zbliża się kolumna czołgów. Wiedzieliśmy, że rozjadą wszystkich, którzy znajdą się na ich drodze – mężczyzn, kobiety. Mogliśmy przesiedzieć tę grozę w domach,

przed oczami film z życia, to chciałyby zobaczyć – choćby na mgnienie – tamte błyszczące oczy petersburżan, wśród których stałam i ja.

Interesuje się pani historią, prawdą? Wnikliwie pokazuje pani jej rolę w życiu zwykłych ludzi. W powieści „Grzybnia” (po rosyjsku zatytułowanej „Planeta grzybów”) analizuje pani wpływ radzieckiej przeszłości na dzień dzisiejszy.

– Piszę o tym, jak trudno się uwolnić od przeszłości, w której została nasza młodość, nasi rodzice. Tam tkwią nasze korzenie. Wyrwać siebie

Jeżeli silna, to od razu baba, a samodzielna – bo nie ma innego wyjścia? To stereotyp.

razem z korzeniami jest trudno i niebezpiecznie, ale bywają sytuacje, kiedy człowiek nie ma innego wyjścia – bo inaczej nigdy nie stworzy dla siebie nowego świata. Nowego w znaczeniu nie rewolucyjno-politycznym, ale biblijnym. Chodzi o taki świat, który człowiek, stworzony na obraz i podobieństwo Boga, kreuje samodzielnie. Krok po kroku; najpierw trzeba oddzielić światło od ciemności, stworzyć słońce, księżyc, planety – aż dojdzie się do człowieka, którego każdy z nas musi powołać do istnienia w sobie. Ale głęboko ukryta przeszłość, grzybnia (polski tytuł bardzo mi się podoba)

współczesnej Rosji – tragiczny, a zarazem śmieszny, groteskowy. Interesuje mnie swoistość rosyjskiego świata, któremu uważnie się przyglądam. Mówiąc krótko, to świat-symulakrum.

Tak jak u Jeana Baudrillarda?

– Tak, do niego tu nawiązuję. Wszystko w powieści zachodzi równocześnie – odbicie rzeczywistości i próba zrekonstruowania jej zniekształconej kopii. Co w konsekwencji prowadzi do utraty jakiegokolwiek związku z rzeczywistością. Unie- możliwia odróżnienie prawdy od kłamstwa. W świecie-symulakrum

to, co zaczynało się kłamstwem, może niespodziewanie stać się prawdą, farsa może obrócić się w tragedię i na odwrót. W powieści staram się zrozumieć, na ile dzisiejszy rosyjski świat jest następstwem albo logiczną kontynuacją dwóch totalitaryzmów XX w. – faszyzmu i komunizmu. Główni bohaterowie „Kitaista” – radziecki chłopczyk Aleksiej i wychowany w profaszystowskiej Rosji Hans – zostali uformowani przez ideologie. Różnica polega na tym, że Hans podejmuje rozpaczliwą próbę wyrwania się z faszystowskiej matrycy, a jego ideologiczne *vis-à-vis* nie robi tego. Aleksiej z każdym krokiem coraz bardziej pograża się w tym, co wy- daje mu się realnością. Jedyne zwycięstwo, jakie udaje mu się odnieść, to stworzenie „jedyne- go, niepodzielnego Impe- rium” – ale to pyrrusowe zwycięstwo.

„Kitaist” to nie tylko alternatywna historia, ale też antyutopia.

Jest pani doktorem ekonomii, zajmowała się pani też biznesem.

Co przywiodło panią do literatury?

– Mam nadzieję, że talent. A mówiąc poważnie, moja droga do literatury była długa. Najpierw pisałam wiersze – tylko do szuflady. Upłynęło dużo lat, zanim zrozumiałam, że moją domeną jest proza, nie poezja. Chociaż zgadzam się z Czesławem Miłoszem, który wiele lat temu dostrzegł zbliżenie poezji i prozy; nie ma już między nimi nieprzekraczalnej granicy – twierdził. Kiedy piszę, ważny jest dla mnie nie tylko sens mojego prozatorskiego słowa, ale też dźwięk – wewnętrzna harmonia ▶

Kobietom z mojego pokolenia i środowiska zależało na wykształceniu, chcieliśmy robić karierę. To było zwycięstwo feminizmu.

ale wyszliśmy na plac. Dziesiątki tysięcy ludzi. Byłam wtedy w ciąży z młodszą córką, nikt nie miałby mi za złe, gdybym została w bezpiecznym miejscu, ale postanowiłam iść. Będzie, co będzie. Jeśli przyjdzie zginąć, trudno; zginę razem z nienarodzonym dzieckiem. Poszłam, stałam na placu, bo wiedziałam, że wtedy tam decydował się los nie tylko mój, nie tylko nas, Rosjan, ale – przepraszam za patos – los świata. Nie myliłam się. Upadek ZSRR pod każdym względem wiele zmienił w Europie Wschodniej i Zachodniej. Nawiasem mówiąc, moja córka – teraz 25-letnia – z dumą mówi, że ona też brała udział w sierpniowej demokratycznej rewolucji. Wie pani, jeżeli to prawda, że przed śmiercią przewija nam się

nie daje o sobie zapomnieć, wciąż nas oplata, ciągnie w głąb. Nie tylko w aspekcie politycznym, ale i egzystencjalnym.

W nowej powieści, jeszcze nieprzetłumaczonej na polski, „Kitaist” („Sinolog”) tworzy pani alternatywną wizję historii.

– No cóż, jak już powiedziały złe języki, Czyżowa „dokonuje tam bilansu II wojny”. Z tego punktu widzenia to rzeczywiście gatunek alternatywnej historii. Faszyci odnieśli zwycięstwo, akcja toczy się w dwóch nieistniejących krajach – okupowanej przez nazistów Rosji oraz przesuniętym za Ural ZSRR. Ta dwoista konstrukcja historyczna nie jest potrzebna sama dla siebie, nie posługuję się nią do wyostrenia problematyki, ale żeby stworzyć obraz

▶ albo dysharmonia języka (w zależności od pisarskiego zadania). Wszystko to uwypukla autorską myśl, wzbogaca ją o emocje.

Jakie według pani są najważniejsze problemy współczesności? Jaką rolę ma do odegrania wobec nich literatura?

– Wiele o tych problemach napisałam w „Kitaistie”, bo dziś podobne zjawiska zachodzą w całym świecie, z tym że w Rosji przybierają wyjątkowo ostre formy. Rosja to w ogóle

pisarza, to znaczy nie utożsamiam się z bohaterami, nie towarzyszę swoimi emocjami ich emocjom. Mnie przede wszystkim interesuje sposób myślenia autora, ujęcie tematu, literacka gra – z tekstem, z postaciami, ze światem. Zwracam uwagę na środki językowe, którymi posługuje się pisarz. W jaki sposób uprawdopodobnia tych bohaterów, którzy w tekście – jednoznacznie lub nie – są pozytywni. Albo negatywni. Dlatego bardzo mnie interesuje kompozytor Adrian

na niekorzyść aktualnie powstających książek. Dla mnie polska kultura to przede wszystkim film – Andrzej Wajda, Krzysztof Zanussi, Krzysztof Kieślowski. Ich twórczość wywarła wielki wpływ na mój światopogląd, na słyszenie wewnętrznej melodii świata. Niedawno zanurzyłam się w spuściznie Czesława Miłosza – uważnie wszystko studiuję z ołówkiem w ręku. Wielkie wrażenie wywarła na mnie jego korespondencja z Jerzym Andrzejewskim. W listach, którymi się wymieniali, postawili tyle istotnych pytań, podjęli tyle zagadnień ważnych dla dzisiejszej kultury. Wiara i zwątpienie, problemy ideologicznych zasad pożądaných (albo nie) przez współczesnego człowieka kultury, poszukującego sposobu opisanie otaczającego go świata. Miłosz jest mi tym bardziej bliski, że nie boi się w swoim rozumowaniu iść do końca, ale jeśli trzeba – odpuszcza, wycofuje się, żeby jakimś niezręcznym słowem, osądem nie nadwyrężyć subtelnej tkanki światowej kultury. Dla mnie to niezwykle cenne.

Interesuje mnie swoistość rosyjskiego świata, uważnie mu się przyglądam.

stolica ostrych form. A co ma robić literatura? Antoni Czechow powiedział kiedyś, że literatura to nie lekarz, to ból, i my, pisarze, mamy za zadanie wsłuchiwać się w ten ból (często, jak dziś w Rosji – fantomowy).

Ma pani ulubione postacie literackie?

– Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie. Może dlatego, że od dawna nie czytam oczami czytelnika, tylko

Leverkühn z „Doktora Faustusa” Tomasza Manna; bardziej niż Anna Karenina. A skoro interesuje, to jest ważniejszy i bliższy.

Zna pani polską literaturę?

– Niestety, bardzo słabo znam współczesną literaturę polską. To niewątpliwie moja wina, choć chyba wszyscy, sięgając po obcą literaturę, skupiają się na klasyce, co działa

Małgorzata Kąkiel

Celne trafienie w zgagi leczenie

Edward Mikołajczyk

W poszukiwaniu wytchnienia politycznego w samej TVPiS włączam czasem TVP ABC, kanał dziecięcy. W sobotę rano, przed dziewiątą, zatrzymałem się ponad godzinę na tej antenie. Jeszcze nie dziecinnieję, ale przyznam, że uwiodła mnie i zdecydowała o wszystkim wdzięczna rymowanka: jak się ruszasz, pij kubusia. Nie popiłem, bo mam zakaz słodkiego, zacząłem natomiast liczyć tzw. przekazy handlowe, jak w piśmiennictwie prawniczym nazywa się reklamy.

Wyszło mi 28 na godzinę. Z taką liczbą wyświetleń spotów reklamowych w ciągu 60 minut kanał dziecięcy publicznej telewizji w Polsce może spokojnie konkurować z najobrzydliwszą komercją na świecie. W rachunku nie uwzględniłem sponsoringu, np. na program o Domisiach zapraszał producent leku na migrenę. Nie liczyłem także ogłoszeń nadawcy, którymi telewizja rozbija niestrawne bloki reklamowe na mniejsze kawałki. Nie robi tego w trosce o przewód pokarmowy małowata, ale ze strachu przed regulatorem, który mógłby się przyczepić, że w jednej bule reklamowej jest za dużo farszu, niezdrowych napojów i środków na zgagę, smartfonów i wkładek do butów, sprejów, kont bankowych za zero złotych i pożyczek fińskich, lodów, plastrów i biedronek oraz ikon mobilności. I to wszystko dla dzieci?!

Mogłem też się pomylić, na niekorzyść nadawcy, w kwalifikowaniu materiału antenowego. Na dziecięcy ekran wprowadzają reklamę trzy animowane, ładne stworki, powyginane w kroczące literki logo tej stacji. W odbiorze dorosłego widza raczej zapowiadają ciąg dalszy zabawy, niż ją przerywają, oddzielając od siebie

Codziennie doświadczenie z rozmów o telewizji nakazuje powątpiewać, że im człowiek starszy, tym mądrzejszy. Na nikczemnym poziomie są kompetencje odbiorcze ogromnej części widowni telewizyjnej. Zapytaj znajomą osobę, w której stacji widziała program, o którym właśnie rozprawa, a usłyszysz: nie wiem, nie pamiętam. Widzowie najczęściej postrzegają cały przekaz telewizyjny jako jeden, zjednoczony ciek ofert programowych wszystkich stacji telewizyjnych. Płynie nim wszystko, jak Wisła. Trzeba nosa i wprawnego oka, by dostrzec, czyje co jest w tym nurcie i kto spuszcza nieoczyszczone ścieki. Dzieci wychowane na TVP ABC będą w tym względzie jeszcze większymi analfabetami niż ich rodzice.

Czytałem jakiś czas temu o poważnym awansie szefowej tego kanału, pani dyrektor Justyny Karnowskiej, w strukturze pisowskiej spółki narodowej. Nie zauważyłem zdziwień w środowisku, bo to nazwisko prosto z re-



W TVP ABC zacząłem liczyć spoty reklamowe. Wyszło mi 28 na godzinę.

poszczególne audycje. Kiedy Ustawa o radiofonii i telewizji mówi, że „reklamy i telesprzedaż powinny być łatwo odróżnialne od materiału redakcyjnego”, tu mamy do czynienia z klasycznym zamazaniem tej różnicy, mistrzowską mimikrą. Wrażenie to pogłębia sama narracja spotów, przewrotna, by nie powiedzieć oszukańcza dla odbiorcy. Niby chodzi w nich o produkt lub usługę dla osób dorosłych, w domyśle rodziców, ale przekaz jest budowany językiem bajki, opowieści dla dzieci.

Kiedy Ustawa o radiofonii i telewizji mówi (art. 16 b, ustęp 2) o zakazie nawoływania bezpośrednio małoletnich do nabywania produktów lub usług, w kanale dla nich słysząc głównie takie nawoływanie. W ciągu jednej godziny emisyjnej programu rozlega się ono częściej, niż w ciągu całego dnia przypomina się dziecku, że ma umyć ręce.

Dzisiejsza psychologia uważa, że dzieci czteroletnie nie odróżniają treści reklamowych od dziennikarskich komunikatów radiowych i telewizyjnych. Nie znalazłem badań, które podobnemu testowi odróżniania poddałyby starszaków i widzów całkiem zaawansowanych wiekowo.

zerwuaru rodziny *pierwowo sorta*. Przyjrzawszy się bliżej osieroconej antenie, można zauważyć, że awans szefowej ma też uzasadnienie ekonomiczne. Ta antena handluje czasem ekranowym tak kompulsywnie, że jej misja nie tylko dzieciom zapiera dech w piersi. W zapamiętaniu wywindowała interes milusińskich tak wysoko, że nikt jej nie podskoczy, a już w najmniejszym stopniu Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji. To więcej niż publiczny obciach, bo w tłumie przekazów handlowych z godzinnego pasma TVP ABC każdy, powtarzam: KAŻDY, drwi sobie z przepisów Ustawy o radiofonii i telewizji albo lekceważy słynne porozumienie siedmiu nadawców w sprawie zawartości reklam w programach dla dzieci.

Prezes telewizji publicznej (stan na święto Bożego Ciała 2017 – komisarz PiS, Jacek Kurski), gdyby chciał, jednym machnięciem pióra uwolniłby polskie dzieci od reklamy w programie dla nich, tak jak prezydent RP uwolnił polskie sądy od Mariusza Kamińskiego. I wydawało się przez chwilę, że tak postąpi, bo troskliwy to mąż i ojciec, misją telewizji publicznej przepełniony w gębie. ■

NA POWAŻNIE

„OPOWIEŚCI HOFFMANNA”... I ZNANIECKIEGO

Opera Narodowa ma swojego Trelińskiego, Krakowska Znanieckiego. Ostatnia inscenizacja „Opowieści Hoffmanna” (na otwarcie 21. Letniego Festiwalu Opery Krakowskiej) to bezsprzecznie wydarzenie artystyczne mijającego sezonu operowego. Nie tylko w Krakowie. Jeżeli ktoś chce poznać, na czym może polegać uwspółcześnienie opery sprzed prawie 140 lat, to ma znakomitą okazję. Reżyser nie posunął się do żadnych ultranowoczesności, wykorzystał tylko możliwości techniczne z przełomu XX i XXI w. i wpisał je w wizję przedstawienia. Wyraża się ona m.in. koncepcją obsadzenia ról Olimpii, Antonii, Giulietty czy primadonny Stelli – obiektów pożądania Hoffmanna (Dominik Sutowicz) – przez jedną wykonawczynię (Marcelina Beucher) bądź wyraźnego pokazania, że Muza i Niclausse (Iryna Zhytynska) to ta sama postać. Odtwarzać wiele postaci przyszło również Grzegorzowi Szostakowi i Januszowi Ratajczakowi.

Szukający dziury w całym powie, że któremuś śpiewakowi w jakimś fragmencie nieco załamał się głos. Tego typu



stwierdzenia nie osłabiają jednak ogólnego odbioru spektaklu, bo on musi robić wrażenie. Poza tym naprawdę trudno się przyczepić do strony wokalne i aktorskiej inscenizacji. Gdy doda się do tego znakomitą scenografię i kostiumy, to nie można napisać nic innego jak: Czytelniku, idź i oglądaj! A właściwie nie oglądaj. Przeżywaj! Bo to ucztą dla oka i ucha. Prawdziwe „Opowieści Hoffmanna” i Znanieckiego, który we wrześniu w Operze Krakowskiej będzie obchodził 25-lecie pracy scenicznej.

Paweł Dybicz

Jacques Offenbach, „Opowieści Hoffmanna”, reżyseria i kostiumy Michał Znaniecki, kierownictwo muzyczne Tomasz Tokarczyk, scenografia Luigi Scoglio, Opera Krakowska, spektakl 10 czerwca 2017

KURTYNA W GÓRĘ

BRUD I SZTUKA

Oto niemiecka współczesna rodzina, którą rozdzieliło życie: praca, upodobania, marzenia, zaniechania. Ulrike i Michael tworzą związek pozorny, ale dość trwały, oddając się swojej pracy. Być może uciekają od bliskości i dlatego zatrudniają sprzątaczkę, aby usuwały brudy. Polkę Danutę oddalili, bo kaleczyła niemiecki, a to zagrażało edukacji ich syna Vincenta. Teraz zatrudniają Jessicę, Niemkę z byłej NRD, na własną zgubę. Sprzątaczką przejmuje stery całego domu, a przyspiesza to ingerencja pracodawcy Ulrike, ekscentrycznego artysty Haulupy,



Marius von Mayenburg, „Plastiki”, tłumaczenie Karolina Bikont, reżyseria Grzegorz Chrapkiewicz, Teatr Dramatyczny, Scena im. Haliny Mikołajskiej, premiera 2 czerwca 2017

który szykuje projekt ze sprzątaczką i brudami w rolach głównych. Jego sztuka jest równie plastikowa jak życie rodziny, którą zadręcza pomysłami. Kres wszystkiemu może położyć tylko sprzątaczką, pod której opieką artysta kwitnie, pani domu odkrywa uśpioną seksualność, pan tęsknoty erotyczne, a ich syn skrywaną płęć.

Aktorzy tę lekko skandalizującą sztukę o posmaku kryminalnym, co inteligentnie podkreśla ilustracja muzyczna Piotra Łabonarskiego, grają doskonale. Magdalena Smalara jako niespełniona artystka panuje nad otoczeniem despotyczną energią, z którą daremną walkę podejmuje udręczony mąż (Waldemar Barwiński). Nad nimi rozciąga iluzoryczne panowanie artysta kabotyń Sławomira Grzymkowskiego. Młodszy, sprzątaczką (Karolina Bacía) i Vincent (Kamil Szklany), budzą zrazu sympatię, potem strach się ich bać. Z kłopotu wybawia nas autor za pomocą „pętli czasu”: koniec jak w dziecięcej wyliczance nie ma końca...

Tomasz Miłkowski

NA EKRANACH

MUMIA

reż. Alex Kurtzman, prod. USA, już w kinach



Idzie lato, a wraz z nim kino odmóżdżające. Efekt? „Mumia”, która draży w historii starożytnej, ale przy tym bardzo się stara być na czasie. Pojawiają się w niej odniesienia do konfliktu zbrojnego w północnym Iraku, a tytułową zabal-samowaną bohaterką jest kobieta, nie wszechpotężny mężczyzna jak do tej pory. Ot, feminizacja po hollywoodzku. Początek jest całkiem smaczny i katastrofy nie zwiastuje. Żołnierze Nick (Tom Cruise) i Chris (Jake Johnson) jakby przenieśli się do świata Indiany Jonesa, penetrują pustynną osadę w poszukiwaniu zabytków, które opchną na czarnym rynku. Choć kule świszczą koło uszu, nieroztropni bohaterowie nie biorą życia serio. Sypią żartami i wraz z akcją gnają na złamanie karku. Niestety, im dalej, tym poważniej, a wiadomo, że nic tak nie szkodzi kinu rozrywkowemu jak powaga właśnie. W pewnym momencie dysputy o kłótniach, złu i poświęceniu stają się tak ciężkostrawne, że nawet Cruise dwojący się i trójący, by wystawić ponad efekty specjalne, nie jest w stanie rozruszać nam żółtą. Ani przepony.

Artur Zaborski

FESTIWAL

5. BIG BOOK FESTIVAL

W pierwszy weekend wakacji opuszczony kompleks szkół w centrum Warszawy, przy ul. Emilii Plater 31, zmieni się w akademię czytelników. Dorośli wkroczą na boiska, korytarze i do klas, poczują dreszcz pierwszych odkryć i przygody. Ponadto usiądą przy Okrągłym Stole Pisarzy i Czytelników, który stanie się miejscem

debat. Wśród akcentów zagranicznych są rozmowy z pisarzami z kilkunastu krajów, ale specjalna seria wydarzeń pod nazwą SCENA BRYTYJSKA będzie należała do autorów z Wysp. Szczegółowy program i lista gości:

www.bigbookfestival.pl

**WARSZAWA,
23-25 CZERWCA**



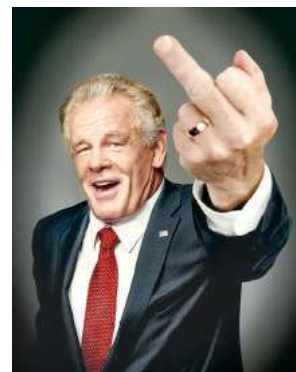
SERIAL



GRAVES

Ten serial komediowy wstrzelił się w aktualną sytuację polityczną w USA. Główny bohater, emerytowany amerykański prezydent, dopiero po latach – dokładnie po 25 – zaczyna dostrzegać negatywne skutki swoich rządów. A mogło tego trochę się nazbierać przez dwie kadencje. Graves postanawia wrócić do życia publicznego i naprawić błędy. W tytułową rolę wciela się Nick Nolte, nominowany za nią do Złotego Globu.

HBO3, PIĄTKI, GODZ. 22 I SERWIS HBO GO



W SIECI

WE WEAR CULTURE

Czyli trzy tysiąclecia światowej mody od starożytności po czasy współczesne – na największej wirtualnej wystawie poświęconej stylowi. W projekcie platformy Google Arts & Culture uczestniczy 180 instytucji kultury i domów mody z całego świata, w tym Państwowe Muzeum Etnograficzne



w Warszawie. W efekcie tej współpracy powstała wirtualna wystawa „Wea-

ving the Tradition – Traditional Polish Folk Costumes” prezentująca ponad 240 obiektów ze zbiorów tkanin i strojów muzeum. To największa kolekcja w Polsce – liczy ok. 11 tys. eksponatów. Ekspozycja dostępna jest online pod adresem: g.co/wewearculture oraz poprzez aplikację Google Arts & Culture na systemy iOS oraz Android.

MIĘDZY OKŁADKAMI



Aleksandra Marinina
Życie po życiu

tłum. Aleksandra Stronka
Czwarta Strona, Poznań 2017

Śledząc losy Nastii Kamieńskiej, poruszamy się teraz trzy kroki do przodu, dwa do tyłu. Już wiemy, że po przejściu na emeryturę została prywatnym detektywem, „Życie po życiu” zaspokaja zaś naszą ciekawość, jak do tego doszło. Świeża emerytka może spokojnie obrócić się rano na drugi bok i zdrze-

nąć, zadbać o męża i o dom... Ale entuzjastyczne plany to jedno, a przygniatające uczucie pójścia w odstawkę drugie. Szybko jednak wiedza Nastii znów jest potrzebna, traf chciał, że w emeryckim raju na prowincji, wręcz w utopii. Dwa morderstwa mają nawiązywać do legendy starego dworu, w którym otwarto klub Złoty Wiek. Czy ktoś chce przeproszyć gości i wykurzyć jego twórcę? Hipotez jest zresztą więcej, podejrzanych przybywa, a wszystkie postacie Marinina jak zwykle opisuje intrygująco. Poza tym jak na kryminał dużo tu ciepła – tak w ogóle – i sympatii dla bohaterki, która choć dobiega pięćdziesiątki, wciąż wydaje się młodą dziewczyną.

Aleksandra Pańko

ZAJRZYJ TU

JACEK DYRZYŃSKI
MALARSTWO

Zwiedzających wystawę malarstwa prof. Jacka Dyrzyńskiego w Salonie ASP czekają liczne zaskoczenia. Artysta gra sobie po mistrzowsku na właściwościach

naszego oka, pokazuje dzięki kruczkom i złudzeniom optycznym, że nic nie jest takie, jak nam się wydaje. Kolory się zmieniają, kształty figur wykrzywiają, przedmioty cienkie stają się grubsze i odwrotnie. Tylko nieliczne prace mają tytuły, ale i tak niczego one nam nie sugerują. Zaskakuje też mnogość użytych materiałów: jedwab, farby odblaskowe, drewno, zwłaszcza cienkie patyczki, masa papierowa itd. Cechą charakterystyczną obrazów jest też to, że wszystkie są kwadratowe i nierzadko mają w sobie wpisane liczne kwadraty.

**WARSZAWA, GALERIA SALON AKADEMII SZTUK PIĘKNYCH,
DO 30 CZERWCA**



Kolumnę przygotowała
Agata Gogolkiewicz

ZA STAROŚĆ NASZĄ I WASZĄ

Mamy dwie społeczności: ludzi „normalnych” i ludzi „starych”. Ci pierwsi są wolni, ci drudzy żyją w getcie. Ale nie musi tak być!



Ryszard Jerzy Zajączko

Intuicyjnie starość wiążemy z wiekiem. Ale w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat granica wieku, od którego nazywamy kogoś starym, przesunęła się radykalnie – z 40 do 70 lat. Co więcej, są od tego liczne wyjątki. Mamy przecież 80-letnich maratończyków czy prawie 100-letnie aktorki grające na scenie i w filmie, uczestniczące w imprezach, kwestach itp. O takich ludziach nie myślimy jako o starych – choćby dlatego, że dokonują rzeczy nieosiągalnych dla dużo młodszych. Dla ucznia gimnazjum studentka ostatniego roku to – przepraszam za określenie – „stara baba”, z czym bez wątpienia nie zgodzi się nikt w tzw. wieku średnim. Wobec tego stary w sensie biologicznym jest każdy, kogo uznajemy za takiego z perspektywy własnego wieku.

Może jednak się okazać, że niezależnie od wieku staliśmy się starzy w kategoriach społecznych na skutek negatywnej oceny naszej przydatności społecznej. Dzieje się tak, kiedy w ramach lansowanych aktualnie poglądów zostajemy uznani za zbyt starych na to, żeby się czegoś nauczyć, ogarnąć nową rzeczywistość, pracować

czy zarządzać firmą. Tych ocen nikt nie weryfikuje – to swoista etykieta.

I na koniec możemy także się zestarzeć psychicznie, kiedy poddamy się rezygnacji, uwierzmy, że nic nie potrafimy i nie możemy, że jesteśmy już tylko zbędnym ciężarem dla rodziny i społeczeństwa.

We wszystkich tych aspektach przymiotnik stary daje podstawę do wykluczenia społecznego i samowykluczenia. Wyrzucą z przestrzeni społecznej, w której jest się ocenianym według jasnych kryteriów: wykształcenia, kwalifikacji, doświadczenia zawodowego, osiągniętych zarobków i przeszłych zasług. W tej grze karta z napisem: „stary” jest jak dzoker – zastępuje wszystkie inne!

A w sytuacji, gdy starych jest coraz więcej, mamy już nie jedno społeczeństwo, lecz dwie społeczności:

ludzi „normalnych” i ludzi „starych”. Ci pierwsi żyją w strefie wolnej. Ci drudzy – w getcie, ze wszystkimi wynikającymi stąd konsekwencjami. I choć nie ma żadnych murów ani terytorialnego przyporządkowania, wolni bezbłędnie wyczuwają tych z getta. Ktoś, kto raz do niego trafił – z powodu np. długotrwałego bezrobocia, przewlekłej choroby bądź po prostu przejścia na emeryturę – zwykle pozostaje w nim na zawsze. O relacjach między tymi społecznościami decydują działania instytucjonalne (formalne) oraz przekonania ich przedstawicieli.

Jak się wydaje, państwo generalnie poczuwa się do odpowiedzialności za getto. Powołało urzędy pracy, które symulują działalność, organizuje pomoc społeczną, wypłaca zasiłki, kieruje na leczenie, wspiera organizacje pozarządowe i nie nawołuje do ostatecznego rozwiązania kwestii starości. Co więcej, podejmuje pewne działania uprzyjemniające w mniemaniu urzędników życie w getcie: tworzone są uniwersytety trzeciego wieku, kluby seniora itp. Te kosztowne zabiegi, choć trudno byłoby je nazwać niepożytecznymi, nie mają żadnego

Nie da się żyć w kraju, w którym funkcjonuje getto starości.

wpływu na system społeczny. Jeszcze gorzej wypadają organizacje pozarządowe – w najlepszym razie poddają one sytuację ludzi starych badaniu, czerpią państwowe środki w przekonaniu, że da się ze stocznio-wca zrobić kwiatarkę, a z emeryta – inwestora giełdowego. Aktywistami i pracownikami tych organizacji są osoby w kwiecie wieku (30 lat), a jak wiadomo, syty głodnego nie zrozumie.

Dla zdecydowanej większości ludzi „wolnych” getto jest ciężarem. Wpływa na wysokość podatków, na koszty pracy, potencjalnie zagraża też miejscom pracy – cena pracy tych z tamtej strony jest kilkakrotnie niższa – naraża na nieestetyczne

5 kwietnia 2017 r. zostało
zarejestrowane Stowarzyszenie
Za Starość Naszą i Waszą



Nasz adres: ul. Kurhan 5,
02-203 Warszawa
tel.: 602 790 888

widoki i znoszenie nieprzyjemnych zapachów. To, że państwo zajmuje się tym problemem, w przekonaniu „wolnych” zwalnia ich od wszelkich zobowiązań – często do tego stopnia, że nie interesują się nawet najbliższymi. Jakiś czas temu oglądałem taki reportaż telewizyjny: młoda pani spotkanemu na swojej klatce schodowej bezdomnemu dała koc, skrzyknęła znajomych, aby zawieźć go do szpitala. A potem wspólnie znaleźli kogoś, kto po leczeniu da mu pracę. To wszystko reporter okrzyknął mianem bohaterstwa. Bravo! To, co kiedyś było ludzkie, dziś jest bohaterskie.

Zdecydowana większość tych z getta uważa, że to niesprawiedliwe. Są zdolni do pracy i gdyby ją mieli, nie musieliby korzystać z niczyjej pomocy, nie byłiby zdani na niczyją łaskę. Cierpią, gdy rodzina nie zajmuje się nimi, wstydzą się, gdy jest odwrotnie. Opuszczeni żyją w przekonaniu, że sami są temu winni. Oni, nie zaś procesy społeczne, które wyrzuciły ich na margines. Nie organizują się więc, nie walczą, czekają.

Oczywiście tak być nie musi! I nie mam tu na myśli tego, że ten tekst zmieni cokolwiek. Napisałem w ciągu ostatnich trzydziestu kilku lat wiele tekstów, w których za darmo oddałem swoje przemyślenia. Gdyby ktoś z decydentów przez chwilę nad nimi się zastanowił czy choćby je przeczytał, może żyłoby się nam wszystkim o niebo lepiej.

Starzy ludzie cierpią, gdy rodzina nie zajmuje się nimi, wstydzą się, gdy jest odwrotnie.

Bo nie da się żyć w kraju, w którym funkcjonuje getto starości. Nie da się ze względów ekonomicznych, ponieważ nie stać nas na jego utrzymanie, etycznych – ponieważ to niehumanitarne, i moralnych – ponieważ narusza elementarny system wartości.

Powołałem wraz z przyjaciółmi Stowarzyszenie Za Starość Naszą i Waszą (5 kwietnia zostaliśmy oficjalnie zarejestrowani) i poświęcę resztę sił na dobrą zmianę w tym zakresie, gdyż w przeciwnym razie piekło getta

starości dotknie także moje dzieci i wnuki.

Zapraszam do wspólnej ciężkiej pracy wszystkich, którzy myślą podobnie.

PS Zwrot „Za starość waszą i naszą” użyty został wcześniej przez rzecznika praw obywatelskich. Bardzo wtedy się ucieszyłem – pomyśla-

łem naiwnie, że pan rzecznik zajmie się choćby dyskryminacją ze względu na wiek w polityce zatrudnienia. Tymczasem pan rzecznik chciał zwrócić uwagę na siebie i swoje zatrudnienie w kontekście możliwości usunięcia go z funkcji przez PiS. Niemniej jednak dziękuję za pomysł na nazwę, zapraszam pana rzecznika i jego urząd do współpracy w likwidowaniu getta starości.

Autor (ur. w 1956 r.) jest socjologiem pracy, autorem ponad 100 prac naukowych i publicystycznych

WILD BUNCH PRESENTS IN ASSOCIATION WITH
LD ENTERTAINMENT - FABULA - WHY NOT PRODUCTIONS - ELISS MEDIA - ENDENGL SHINE STUDIOS A PROTOZOA PRODUCTION

NATALIE PORTMAN

Jackie

REŻYSERIA PABLO LARRAIN

NIEZWYKŁY PORTRET NAJSŁYNNIEJSZEJ
PIERWSZEJ DAMY ŚWIATA
VARIETY

NIE DO ZAPOMNIENIA. JEDEN
Z NAJLEPSZYCH FILMÓW TEGO ROKU.
ROLLINGSTONE

IMPONUJĄCA KREACJA AKTORSKA
COLLIDER

WSPANIAŁY I PEŁEN EMOCJI
IGN MOVIES

3x OSCAR®
NOMINACJE
W TYM
NAJLEPSZA
AKTORKA

NOMINACJA
ZŁOTY
GLOB
NAJLEPSZA
AKTORKA

JUŻ na DVD i Blu-ray

WP FILMWEB DEMOTYWATORY.PL PZEGŁAD empiK STYLOWI.PL KINO dla studenta.pl chili zet

LISTA LEKTUR OPOZYCJONISTY

Jak walczyć z ekspansją populizmu i bronić liberalnych wartości?

Mateusz Mazzini

1. GEORGE LAKOFF

NIE MYŚL O SŁONIU! (ang. *Don't Think of an Elephant!*)

Lakoff, emerytowany profesor lingwistyki Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley, to jeden z najbardziej cenionych w świecie anglosaskim ekspertów w zakresie komunikacji publicznej w polityce. Największą sławę przyniosła mu jednak tzw. koncepcja framingu, czyli budowania mechanizmów wyrażania swoich przekonań w taki sposób, by jak najsukuteczniej trafiły do konkretnych grup elektoratu. „Nie myśl o słoniu!” – przewodnik po metodach budowania tych ram komunikacyjnych, pierwszy raz pojawił się na rynku w 2004 r. Trzy lata temu autor opublikował wydanie drugie, uzupełnione rozdziałami poświęconymi przyczynom fali triumfu Partii Republikańskiej w kolejnych wyborach w USA. Lakoff analizuje przede wszystkim retorykę komunikacji obu głównych partii w Stanach Zjednoczonych, choć jego wnioski nietrudno przełożyć na krajobraz europejski. Zawierająca doskonale znane przykłady, jak chociażby impeachment Nixona czy słynne „ulgi podatkowe” wprowadzone do dyskursu publicznego przez George’a W. Busha, książka Lakoffa to nie tylko krytyczna analiza, ale też trzeźwa diagnoza. Autor dobitnie punktuje Partię Demokratyczną i organizacje progresywne, pokazując pola, na których przegrywają z populistami i konserwatystami. Czerpiąc nie tylko ze swojego dorobku w lingwistyce, ale również z podstaw neurobiologii, Lakoff stawia trafne diagnozy i daje konkretne wskazówki: prawda sama się nie obroni, jeśli nie opakujemy jej we właściwe formy komunikacji. Obowiązkowa lektura dla każdego, kto szuka właściwego języka w dyskusji z rywalami politycznymi. W Polsce książkę wydała Oficyna Wydawnicza Łośgraf.



2. TIMOTHY SNYDER

O TYRANII. DWADZIEŚCIA LEKCJI Z DWUDZIESTEGO WIEKU
(ang. *On Tyranny: Twenty Lessons from the Twentieth Century*)

Doskonale znany w naszym kraju prof. Timothy Snyder, historyk z Uniwersytetu Yale, wydał niedawno bardzo krótki, choć niesamowicie treściwy „podwójny dekalog opozycjonisty”. Ta niewielka książka (w oryginale ma tro-



chę ponad 100 stron) od początku wychodziła poza ramy tradycyjnej publikacji, co niejako pokazuje też ewolucję sposobu manifestowania niezadowolenia społecznego – miała bowiem początek we wpisie Snydera na profilu facebookowym. Zredagowany i poszerzony zestaw wskazówek ukazał się następnie na kilku amerykańskich portalach, w Polsce przedrukowała go „Gazeta Wyborcza”. Na tym jednak nie koniec. Wydawnictwo Vintage przygotowało ze studentami Kingston University pilotażowy projekt przeniesienia treści książki na ulice wschodniego Londynu. Każda z 20 lekcji Snydera została przedstawiona w formie plakatu. Rozdziały są na tyle krótkie, że cała ich treść zmieściła się obok ilustracji na plakatach. Co zresztą było jednym z głównych celów Snydera – dotrzeć z przekazem książki do jak najszerszej publiczności. Jej przesłanie jest bowiem jasne. Historyk, ilustrując swoje słowa przykładami wydarzeń w XX-wiecznej Europie, uczy, by nie być posłusznym z definicji, weryfikować komunikaty władzy i mediów oraz jednoczyć się w organizacjach społecznych. Zwłaszcza rada na temat posłuszeństwa wydaje się silnym komunikatem. Wielu zatwardziałyliby liberałów z definicji zakłada bowiem, że racja jest po stronie władzy. Snyder kończy jednak apelem o wzajemny szacunek, bez którego żadna forma dialogu nie będzie możliwa. Z punktu widzenia sytuacji w Polsce książka wydaje się więc jeszcze ciekawsza. Wydrukowała ją właśnie „Polityka”.

3. CHRISTOPHER HITCHENS

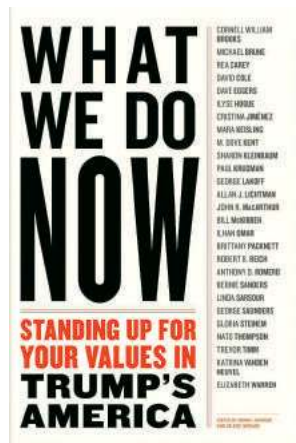
LISTY DO MŁODEGO KONTESTATORA
(ang. *Letters to a Young Contrarian*)

Publikacja doskonale znana za granicą, niedawno doczekała się polskiego wydania (wydawnictwo Karakter). Choć Hitchens to przede wszystkim wojujący ateista i krytyk wszelkich form zorganizowanego kultu, w krótkich felietonach poświęca sporo miejsca samej idei kontestowania rzeczywistości. Powołując się na przykłady z życia wybitnych intelektualistów i kontestatorów, takich jak George Orwell, Václav Havel czy Bertrand Russell, Hitchens oddaje hołd krytycznemu myśleniu i umiejętności

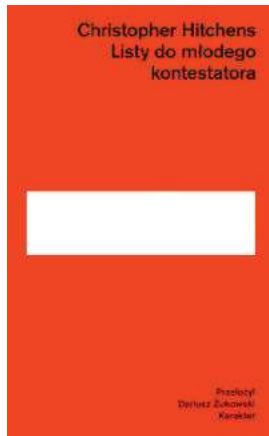
polemiki z najbardziej nawet zacierzwionymi przeciwnikami ideologicznymi. W dobie rosnących zażyłości między populistycznymi liderami partii politycznych i hierarchami kościelnymi w niejednym kraju, umiejętność walki o racjonalność dyskusji może się okazać kluczowa. Hitchens uczy, jak nie dać się ponieść emocjom w dyskusji, a przede wszystkim, jak rozmawiać z przeciwnikami powołującymi się na argumenty nienaukowe. Gdy wokół nas coraz więcej zwolenników alternatywnych faktów i półprawd, jak również polityków odrzucających dorobek współczesnej nauki, oparta na faktach argumentacja jest szczególnie cenna. Książka wprawdzie nie napawa optymizmem – autor ostrzega, że łatwo zostać zakrzykanym przez tłum, a skomplikowane problemy w dobie masowego uproszczenia przekazu rzadko doczekują się rzetelnej analizy – niemniej jednak lektura jego listów to doskonały trening przed słowną walką o prawdę.

4. WHAT WE DO NOW – STANDING UP FOR YOUR VALUES IN TRUMP'S AMERICA (Co dalej – jak bronić własnych wartości w Ameryce Trumpa)

Niedawno wydany zbiór esejów napisanych przez liderów liberalnych i progresywnych organizacji pozarządowych, dziennikarzy, ekonomistów i działaczy społecznych to wprawdzie raczej diagnoza opłakanego stanu amerykańskiego społeczeństwa obywatelskiego, ale też dobry



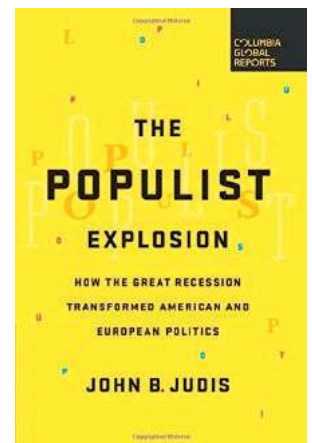
punkt wyjścia do dalszych rozważań. Atutem tej publikacji jest jej wielowarstwowość. Znajdziemy tu rzeczowe, oparte na konkretnych przykładach legislacyjnych teksty znanych postaci, takich jak noblista Paul Krugman czy senator Partii Demokratycznej Elizabeth Warren. Obok nich wypowiedzieli się także autorzy mniej znani – aktywiści na rzecz ruchów LGBT i praw kobiet oraz prawnicy zajmujący się nielegalną imigracją czy dostępem do broni. Bez wątpienia niektóre rozdziały tej kompilacji pozostaną po prostu ciekawą lekturą i niczym więcej. Problemy takie jak rasizm w działaniach służb mundurowych czy łatwy dostęp do broni to zjawiska powszechne w Ameryce, aczkolwiek niemal nieobecne w Polsce bądź innych krajach regionu. Mimo to warto wziąć do ręki „What we do now”. Chociażby z tego powodu, że ekspansja antyliberalizmu powoli dotyka wszystkie dziedziny życia. Dlatego warto znać sytuację nie tylko na tych polach, które dotyczą nas bezpośrednio lub najbardziej



interesują. Na uwagę zasługuje zwłaszcza wspomniany esej Elizabeth Warren, zaczynający się od wyznania winy. Krytykując własne, liberalne środowiska, przyznaje ona, że demokratom i progresywiście – nie tylko w USA, ale na całym świecie – brakuje charyzmy i zdecydowania. Nawiązując do klasycznych pozycji w amerykańskiej socjologii, np. do „Bowling Alone” Roberta Putnama, Warren ostrzega, że bez kolektywnej mobilizacji nic nie osiągniemy. I trudno się z nią nie zgodzić.

5. JOHN B. JUDIS THE POPULIST EXPLOSION (Eksplzja populizmu)

Naukowe, choć przystępnie podane wyjaśnienie korzeni populizmu w świecie euroatlantyckim. Judis, politolog i działacz społeczny, wieloletni współpracownik takich tytułów jak „Time” i „Newsweek”, prowadzi czytelnika przez genezę pierwszych ruchów populistycznych za oceanem, sięgających głęboko w XIX w. Najmocniejszą stroną tej podróży w czasie jest element zaskoczenia. Judis trafnie ilustruje rozwój populizmu i pokazuje, że politycy współcześnie określani tym mianem diametralnie różnią się od pierwszych liderów tego ruchu. Judis, podobnie jak kilku innych popularnych autorów amerykańskich – Paul Auster czy J.D. Vance – zwraca też uwagę na wielość zjawisk, które pozwalają populizmowi rozkwitać. Reakcje łańcuchowe, takie jak upadek największych zakładów przemysłowych w danej okolicy, utrata pracy, utrata czy brak szans na własne mieszkanie, rewolucja rozbudzonych oczekiwań młodych ludzi, coraz trudniejsza akceptacja zmian i niechęć do migracji, nawet tej wewnętrznej, to tylko kilka katastrof społecznych, które autor poddaje wnikliwej analizie. „Eksplzję populizmu” warto przeczytać również dlatego, że w analizie Judisa pojawia się wiele wątków europejskich, takich jak Unia dwóch prędkości czy popularne zwłaszcza



Prawda sama się nie obroni, jeśli nie opakujemy jej we właściwe formy komunikacji.

na radykalnej prawicy przekonanie, że dla wielu narodów Bruksela może się stać zastępstwem Związku Radzieckiego. Przede wszystkim jednak u Judisa fascynuje trafna krytyka liberalnych elit. W duchu podobnym do senatora Warren zwraca on uwagę na fakt, że walka o przeżycie liberalnej demokracji musi się zacząć w gronie samych liberałów. Ich liderzy natomiast muszą przejść gruntowną przemianę, by odzyskać kontakt z wyborcami. Przywołując analogie wielu intelektualistów europejskich z lat 30., choćby Stefana Zweiga, Judis ostrzega, że nie ma już czasu na kanapowe dyskusje, a odkładanie w czasie sprzeciwu może się okazać dla liberałów śmiertelne.

ZAWSZE WYDRĘ PIENIĄDZE NA LECZENIE

Na 100 dzieci z białaczką 85 całkowicie dochodzi do zdrowia

Rozmawia Barbara Jagas

Pani profesor, czy można zapobiec zachorowaniu na białaczkę?

– Odpowiedź na dziś jest jednoznaczna: nie. Przez 42 lata walczę o dzieci chore na białaczkę i kiedy matka kolejnego pacjenta przychodzi do mnie z płaczem, pytając: „Dlaczego moje dziecko zachorowało?“, odpowiadam, że nie wiem. Bo prawda wygląda tak, że do dziś przyczyna nowotworów nie jest znana. Gdyby była znana, odkrywca dostałby za to Nobla.

Może źle zadałam pytanie. A co z profilaktyką białaczek?

– Sama jestem fanką profilaktyki.

Wiem, dlatego o to pytam.

– Niestety, nie ma żadnej profilaktyki przeciwnowotworowej. Jeśli nawet zmienimy tryb życia, będziemy zdrowo się odżywiać i uprawiać aktywność fizyczną, i tak białaczka może nas dopaść. Wśród moich pacjentów są przecież sportowcy: piłkarze, koszykarze, pływaków, a także dzieci, które dotąd na nic nie chorowały. Nikt jeszcze nie wymyślił takiej profilaktyki, która by spowodowała, że dziecko nie zachoruje na białaczkę. Natomiast niektórzy mówią o profilaktyce u dorosłych, u których jest ona związana właśnie ze zdrowym trybem życia. Tylko że sama znam osoby bardzo szczupłe, które nie jadły tłustego mięsa, a zachorowały na raka jelita grubego.

Mówi się, że np. nieleczzone stany zapalne mogą prowadzić do białaczki.

– Trzeba przestrzegać zaleceń i leczyć stany zapalne. Ale znam osoby, które to robiły i też zachorowały.

A papierosy? Niektórzy badacze twierdzą, że białaczki w 20% zależą od palenia.

– Nie jest to zależność taka wprost.

Co powoduje, że rozwinię się choroba nowotworowa?

– Za powstanie nowotworu odpowiedzialne są geny. Dziedziczymy je

PROF. ALICJA CHYBICKA

– kierownik Katedry i Kliniki Transplantacji Szpiku, Onkologii i Hematologii Dziecięcej Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu, uznana w plebiscycie „Pulsu Medycyny” za osobę mającą największy wpływ na kształtowanie polskiego systemu ochrony zdrowia w 2016 r.



po przodkach i to one predysponują nas do zachorowania na nowotwór. Aby jednak choroba się pojawiła, potrzebny jest jakiś wyzwalacz. Coś musi uruchomić działanie genu odpowiedzialnego za raka. Są to czynniki środowiskowe. Dlatego powinniśmy krzewić profilaktykę – zachęcać do sportu, ruchu, utrzymywania prawidłowej wagi oraz właściwego odżywiania się. Bo nawet jeśli zachorujemy na nowotwór, łatwiej potem z nim walczyć.

Wśród czynników środowiskowych, które mają wpływ na pojawienie się białaczki, wymienia się promieniowanie jonizujące.

– Rzeczywiście i jest to jedyny udowodniony czynnik środowiskowy odpowiedzialny za powstanie białaczki.

Spróbujmy jednak prześledzić, co się dzieje, gdy zaczynamy chorować na raka.

– Musimy najpierw odpowiedzieć na pytanie, czym jest nowotwór.

To nasze własne komórki, które podległy dewiacji genetycznej i namnażają się w sposób niekontrolowany. Może do tego np. dojść, gdy będziemy jeść ciągle zbyt gorące potrawy, wtedy kiedyś w komórkach przełyku dojdzie do niebezpiecznej mutacji genetycznej i zaczną powstawać zmienione komórki – rakowe. Albo zachorujemy na raka piersi, bo dziedziczymy geny za to odpowiedzialne po babci i mamie. Problem w tym, że nasz własny organizm tych zmienionych rakowo komórek nie zwalcza, traktując je jako swoje.

Wiem, że białaczki dziecięce różnią się od dorosłych. Mamy przede wszystkim 85-procentową wyleczalność u dzieci.

– U dorosłych jest ona znacznie mniejsza. Ale trudno się dziwić, bo dorośli, zwłaszcza w wieku podeszłym, ma ogólnie zniszczony organizm.

Jaki postęp nastąpił w leczeniu białaczek?

– Generalnie w leczeniu nowotworów chodzi o ich całkowite usunięcie, czyli wycięcie w ten sposób, aby nic nie zostało. Można to nazwać terapią bij zabij. A jak się nie da wszystkiego wyciąć, można jeszcze zniszczyć chemicznie. W przypadku białaczek niczego się nie wycina, tylko podaje „chemię”. A jeśli nie działa, chorego napromienia się promieniami gamma. W tej chwili modna jest też protonoterapia. W ostatnich latach zaś wprowadzono leczenie skrojone na miarę. Polega to na tym, że znamy organizm pacjenta, wiemy, jak on reaguje na wszystkie chemioterapeutyki, i na tej bazie układamy dla niego indywidualny program leczenia. Jest on w mniejszym stopniu stosowany u dzieci.

Jakie warunki musi spełnić chory na białaczkę dorosły, aby wyjść cało z tej choroby?

– Dorośli ludzie też wychodzą z białaczek. A z przewlekłą białaczką limfaticzną, której np. u dzieci w ogóle nie ma, pacjenci żyją wiele lat. Wyleczalność wszystkich białaczek, limfoblastycznych i mieloblastycznych, jest większa niż kiedyś. Oczywiście wszystko zależy od wieku i stanu organizmu. Bo jeśli zachoruje osiemdziesięcioparolatek, to nie cofniemy mu chorób wątroby, nerek itp., które są niezależne od białaczki, ale wtedy jego walka z białaczką przewlekłą jest taka sama jak z ostrą. Ludzie dorośli, starsi, potrafią wiele lat żyć z przewlekłymi białaczkami, a chore dziecko umiera. Hematolodzy u dorosłych z białaczkami przetwarzają krwinki, podają delikatne dawki cytostatyków. Natomiast w onkologii dziecięcej tego typu metody są nieskuteczne – ponieważ u dzieci nowotwór rośnie jak burza i szybko zabija.

Dziecięce białaczki są bardziej agresywne.

– Tak, są agresywne, ostre. Natomiast białaczki ostre u dorosłych przebiegają równie ciężko jak u dzieci, tak samo trudno się leczą i dlatego śmiertelność jest wyższa. Bo organizm jest zniszczony.

Lepiej dla dziecka, gdy zachoruje na białaczkę ostrą czy przewlekłą?

– Bez różnicy, jedno i drugie potrafimy wyleczyć. Byleby nie była to białaczka złośliwa. W 100% wyleczalne są tzw. białaczki niskiego ryzyka. Nie mają one dewiacji genetycznej wlewnej, która powoduje, że nowotwór opiera się wszystkiemu, co my, lekarze, ro-

bimy. Dziecko dostaje pierwszy schemat leczenia, drugi... i nic. Czasem w takich przypadkach ratunkiem jest nowoczesne leczenie – zastosowanie przeciwciał monoklonalnych, immunoterapii po transplantacji komórek układu krwiotwórczego czy terapii genowej. Akurat mam takiego chłopca, jest po terapii genowej i ma się dobrze.

Mówiła pani, że w leczeniu białaczek mamy ogromny postęp.

– Kiedy zaczynałam pracę w 1975 r. u prof. Nowakowskiego na pediatrii, to na hematologii dziecięcej na 100 dzieci z białaczką umierało 85. I wtedy wszyscy lekarze prosili, aby ich tam nie kierować. Teraz sytuacja zmieniła się radykalnie – na 100 dzieci z białaczką 85 całkowicie dochodzi do zdrowia. I nawet powiem, że potencjalnie każde dziecko, które trafi w nasze ręce i zostanie poddane leczeniu spersonalizowanemu, ma szansę wyzdrowieć. W dzisiejszych czasach dzieci mają też zapewnioną wspaniałą diagnostykę.

Zachorowalność na nowotwory wśród dzieci rośnie – w tym roku zachoruje 180 tys. osób, a w ubiegłym było 30 tys. mniej.

Czy wystarcza pani środków na leczenie pacjentów?

– Odpowiedź jest taka, że zawsze wydrę te pieniądze. Natomiast pewnie, że nie wystarcza mi publicznych pieniędzy. Pamiętam kiedyś taką sytuację, że komornik wszedł nam na konto w szpitalu i zostało zero złotych. Miałam 50 dzieci na oddziale i żadnych środków. Był dramat.

Co pani zrobiła?

– Wezwałam na pomoc wszystkie media, które oczywiście bardzo się zaangażowały, i dzięki nim zebraliśmy potrzebne środki na leczenie, szczególnie pomocna była telewizja Polsat. W krótkim czasie uzbieraliśmy 4,5 mln zł. Ministrem zdrowia był wtedy prof. Zbigniew Religa, z którym byłam zaprzyjaźniona, miałam być nawet jego zastępczynią w towarzystwie transplantacyjnym. Był wtedy wściekły, że powiadamiałam media o braku pieniędzy. Wezwał mnie do siebie i mówi: „Po co to było robić, przecież wiedziała pani, że dam pieniądze”. A ja odpowiedziałam: „Panie ministrze, to niech pan daje, bo przecież słów nie należę dzieciom do kroplówek”. I po sześciu tygodniach, jak uruchomił maszynę administracyjną, przyszły

pieniądze. Wcześniej jednak musiałam mieć jakieś finanse, które dostałam dzięki mediom, nie mogłam czekać na pomoc ministra, bo przez ten czas połowa dzieci by mi umarła. Dopiero później przyznał mi rację, że dobrze zrobiłam, nagłaśniając sprawę. Potem byliśmy jeszcze bardziej zaprzyjaźnieni, ale wkrótce zmarł.

Na co najbardziej brakuje pieniędzy?

– Nam nie brakuje na nic. Ale w Polsce permanentnie brakuje na innowacje. A one w bardzo dużym stopniu dotyczą onkologii. Na świecie laboratoria pracują pełną parą, aby ratować życie. Powiedzmy, że jest nowy lek. Ale zanim w Polsce zostanie zarejestrowany, a wcześniej fachowcy muszą się przyjrzyć i Agencja Oceny Technologii Medycznych wyda opinię, upłynie dużo czasu. Z kolei u dzieci nie opłaca się robić badań klinicznych, a wtedy zawsze jest dostępna jakaś farmakoterapia, więc mamy 90% niezarejestrowanych leków. Za takie leki u mnie płaci fundacja Na Ratunek

Dzieciom z Chorobą Nowotworową. Generalnie zawsze sięgam po środki pozabudżetowe. Nie ma takiej możliwości, aby moim dzieciom czegoś brakowało.

Może pani opowiedzieć o swoich ostatnich sukcesach terapeutycznych, gdy niemożliwe stało się możliwe?

– Wszystkie moje dzieci są tego przykładem. W ciągu moich lat pracy u 70% pacjentów niemożliwe stało się możliwe, bo o tyle wzrosła wyleczalność raka. Kiedyś te dzieci umierały, a teraz żyją. Również dlatego, że w diagnostyce posługujemy się PET, czyli pozytonową tomografią emisyjną, rezonansem magnetycznym i spiralną tomografią komputerową. Dzięki przestrzennemu i wyraźnemu obrazowi dokładnie wiadomo, dokąd sięga guz, a więc jak go operować. Są też niebywale postępy w leczeniu. Wielki krok w onkologii i zarazem sukces polega na tym, że już nie okaleczamy dzieci. Kiedyś pacjenci po guzach mózgu byli sparaliżowani, teraz już nie zdarzają się takie sytuacje. Staramy się – i nowe technologie to umożliwiają – wyleczyć jak najmniejszym kosztem, by nasi pacjenci wyrosli na zdrowe i dorodne istoty ludzkie.



► **To piękna sprawa!**

– Na przykład moja pacjentka Kasia Sobczak, paraolimpijka, która straciła nogę, zdobywa złote medale. To piękna i wspaniała dziewczyna.

A te 15% niepowodzeń w onkologii?

– To dzieci, które mają złą delecję genetyczną. Niestety, wiemy o tym od początku, dzięki badaniom genetycznym, których kiedyś nie było. Dzisiaj każdy nowotwór jest poddawany nie tylko badaniu histopatologicznemu, ale również badaniom enzymatycznym i genetycznym, które np. świadczą o tym, że nowotwór będzie oporny na leczenie i złośliwy jak piorun. Ale czasem się zdarza, że badania genetyczne są w porządku, a nowotwór nic sobie nie robi z leczenia. My zaś nie wiemy dlaczego. I wtedy jest tragedia.

W jakim kierunku idzie terapia białaczek? Co można zrobić, aby leczyć te pozostałe 15% dzieciaków?

– Na pewno w przyszłości będziemy się starali naprawić popsuty gen, w tym kierunku pójdzie medycyna. Na razie jeszcze nie potrafimy tego dobrze zrobić.

Są jakieś jaskółki?

– Tak, wprowadzamy już pierwsze metody mające naprawić gen, który wywołuje nowotwór. Właśnie uratowaliśmy dziecko chore na chłoniaka dzięki naprawie genu apoptozy, czyli zmodyfikowaniu genu BC2, tak aby powstał antyBC2. Ale to są pojedyncze przypadki. Nadal wiele osób choruje i leczenie nie przynosi efektów, zachorowalność na nowotwory wśród dzieci rośnie – w tym roku zachoruje 180 tys.

osób, podczas gdy w ubiegłym było 150 tys. nowych zachorowań.

Cuda się zdarzają?

– Tak, oczywiście. Pamiętam, jak posłaliśmy na operację pacjenta z nowotworem w klatce piersiowej, a potem okazało się, że nic nie ma, choć guz był wcześniej na rentgenie.

W jakim czasie znikł?

– W ciągu paru dni. Po tym wypadku zmieniliśmy zasady postępowania. Teraz chirurg musi jeszcze raz zrobić rentgen klatki – tuż przed operacją.

Sama spotkałam się z przypadkami, gdy guz nagle znikł.

– Zetknęłam się z wieloma przypadkami samowyleczenia nowotworu wśród moich podopiecznych. By-

Każde dziecko, które zostanie poddane leczeniu spersonalizowanemu, ma szansę wyzdrowieć.

wało, że dziecko nie powinno żyć, ale przeżyło i do tej pory ma się dobrze. Jednak zdarza się, że robimy wszystko, co możemy, rokowania są dobre, a tu pacjent umiera.

Co pani się ostatnio udało? Co sprawiło, że „Puls Medycyny” uznał panią za osobę mającą największy wpływ na kształtowanie polskiego systemu ochrony zdrowia w 2016 r.?

– Jako prezesowi Polskiego Towarzystwa Pediatrycznego udało mi się zrobić coś dla pediatrii. Minister Radziwiłł dał nam przelicznik 1:2 w stosunku do dorosłych, czyli nasze procedury w onkologii dziecięcej są przeliczane podwójnie w stosunku do onkologii dorosłych. Ale stało się to możliwe

Małych pacjentów Przylądka Nadziei 31 maja odwiedził znany brazylijski siatkarz Giba.

także dzięki temu, że minister jest nam bardzo przychylny. Osiągnięciem ostatnich lat jest budowa Przylądka Nadziei – nowoczesnej kliniki we Wrocławiu, uznawanej za jedną z najlepszych klinik tego typu w Europie i zaliczanej do klinik referencyjnych w UE. Stosujemy w niej wszystkie metody lecznicze, jakimi dysponuje Unia.

Gratuluję! A czy ma pani teraz na coś wpływ w parlamencie?

– Nie, nie mam na nic, odkąd zostałam posłem opozycji. Jeśli ktoś z opozycji mówi, że jest w stanie coś zrobić, to głosi nieprawdę. Partia rządząca wszystko przegłosuje i robi, co zechce.

Nie ma dyskusji?

– Są dyskusje. Ale to tylko bicie piany, nic z tego nie wynika. Nagadamy się, napracujemy, nasiedzimy do nocy i nic.

A kanafami lekarskimi nic nie da się zrobić?

– To nic nie daje. Chociaż ja sobie radzę. Zawsze mogę pójść do ministra Radziwiłła, który chętnie coś robi dla dzieci.

A co pani myśli o reformie służby zdrowia?

– Nie ma sensu rozwalanie wszystkiego bez dodatkowych środków. Dużo lepiej by było, gdyby minister skupił się na tym, aby pozyskać więcej pieniędzy i udoskonalić to, co było. Nie traciłoby się czasu, energii i finansów na coś, co nie zaowocu-

je żadnymi sensownymi zmianami. Przecież od tego nie skrócą się kolejki do lekarzy. Niestety, nie będzie lepiej.

Czy podoba się pani pomysł stworzenia sieci szpitali?

– Po wprowadzeniu sieci szpitali wypadnie dużo prywatnych placówek, bo nie spełnią norm. A one świadczą usługi na wysokim poziomie.

To szkoda. Czego pani życzyć?

– Zdrowia i szczęścia, bo wtedy można zrobić więcej. W tym roku mam w planach skoczyć ze spadochronem z 4,5 tys. m, a w przyszłości wejść na Mount Everest. Razem z moimi pacjentami. Muszę mieć tylko czas na wykorzystanie urlopu.

Barbara Jagas

To była racja stanu

Dr Zbigniew Caputa z Uniwersyte-
tu Śląskiego wyraża sprzeciw wobec
argumentacji prof. Partacza, który



przesiedlenia lud-
ności ukraińskiej
w 1947 r. okre-
ślił jako działanie
w imię polskiej
racji stanu (artykuł
„Akcja »Wiśła« –
banderowcy mor-
dowali, Polacy wy-
siedlali”, nr 17-18).

Pan doktor podkreśla, że „czym innym
jest walczyć z partyzantami czy bun-
townikami, a czym innym przesiedlać
i skazywać na cierpienie cywilów”. To
bardzo powierzchowna ocena działań
ówczesnych władz. Żeby być obiek-
tywnym, trzeba odwołać się do histo-
rii I i II Rzeczypospolitej. W roku 1945
PRL została obdarowana spuścizną
konfliktów polsko-ukraińskich. A prze-
cież budowa powojennego ładu i no-
wej rzeczywistości była grą interesów
wielkich tego świata. To oni ustalili
granice, która zresztą nie odpowia-
dała części Polaków i Ukraińców. Nie
była to granica pokoju. Rejon Przemys-
ła i Bieszczady były ziemiami spor-
nymi, na których iskrzyło między obu
stronami. Po 1945 r. trwała tam wojna
partyzancka, lała się krew. UPA miała
we wsiach zorganizowane oddziały,
a poszczególne wsie były zapleczem
logistyczno-gospodarczym organiza-
cji zbrojnych. Bez odcięcia ich od za-
plecza ta wojna mogłaby trwać jesz-
cze długo. Ilu ludzi mogłoby jeszcze
stracić życie? Uważam także, że za-
miast odwetu za Wołyń przesiedlenie
ok. 100 tys. ludzi na ziemie zachodnie
i północne było nawet aktem humani-
tarnym. Wielu z nich uratowano życie.
Wprawdzie wyrwano ich z ojcowizny,
ale mogli rozpocząć inne życie.

Jarosław Żodzik, Białystok

Polityk z klasą



Tekst „Strzały do de Gaulle’a”
(PRZEGLĄD nr 22) przypominał tego
wybitnego polityka. De Gaulle to mąż
stanu, jakich teraz w Europie brakuje.
Dużą sympatią darzył Polskę. W la-
tach 20. ubiegłego stulecia przebywał

w Polsce jako oficer francuskiej Misji
Wojskowej, która z ramienia Ligi Na-
rodów nadzorowała realizację po-
rozumień traktatu wersalskiego. Dla
przypomnienia – po powstaniach na
Górnym Śląsku na linii demarkacyjnej
stacjonowały francuskie wojska w ra-
mach misji pokojowej Ligi Narodów.

Przypominam sobie wizytę
gen. de Gaulle’a w Krakowie w 1967 r.,
kiedy na Rynku Głównym, przed ko-
ściołem Mariackim, przerwał kordon
ochrony i wszedł w tłum witających
go krakowskich studentów, skand-
ujących: *Vive la France! Vive la Po-
logne! Vive cher général de Gaulle!*
Rozmawiał z nimi przez dobre 15 mi-
nut, a cała świta musiała czekać. Cze-
kać musiał też prałat Machay, który
przed kościołem miał przywitać do-
stojnego gościa.

Po wizycie generała w Krakowie
modne stały się czapki zwane dego-
łówkami. Najlepsze można było nabyć
u mistrza Kurzydły na Floriańskiej.
Gen. de Gaulle zawsze podkreślał hi-
storyczne związki Francji z Polską. Bra-
kuje teraz polityków tego miary.

Ruda z Dajworu

Warto przypomnieć, że de Gaulle
był w Polsce już w czasie wojny pol-
sko-bolszewickiej i razem z marsz. Fo-
chem przyjechali do Bronowic (wtedy
była to jeszcze wieś pod Krakowem),
gdzie odwiedzili wybitnego malarza,
pisarza i polityka, działacza ludowego
i niepodległościowego Włodzimierza

Przerwę-Tetmajera (Gospodarza z „We-
sela”, brata poety Kazimierza). Nota-
bene niedawno w Krakowie upamięt-
niono 100. rocznicę rezolucji majowej
Tetmajera. Włodzimierz Tetmajer był
w porzo gościem. Był megaextracool.

Fan Muminków

Prośba o pomoc

W styczniu przyszłego roku skończę
80 lat. W lutym 2016 r. przeszedłem ope-
rację złośliwego nowotworu. Mieszkam
samotnie z niepełnosprawną córką,
wymagającą mojej pomocy w codzien-
nym życiu. Teraz walczę o swoje zdro-
wie i o córkę. Codziennie zawożę córkę
na zajęcia terapeutyczne. Na szczęście
mam prawo jazdy i 15-letni samochód
Seat Arosa, bez którego bym sobie nie
poradziła. Nie mam jednak na paliwo,
na leki i nie potrafię szukać pomocy.
Córka ma subkonto w Fundacji Avalon.
Aby żyć i przeżyć, zaciągnęłam kredyt,
pieniądze się skończyły, a teraz muszę
spłacać raty. Rzeczywistość mnie prze-
rosła. Nie radzę sobie. Bardzo proszę
o pomoc. Przeszedłem radioterapię, ze
względu na wiek chemię biorę w tabletkach.
Muszę być silna, żeby walczyć,
zwłaszcza że nie mamy nikogo, obie je-
steśmy wdowami. Córka ma syna, ale
od roku jest w więzieniu za niezapłacone
zobowiązania. Wyjdzie w październi-
ku. Zresztą też ma lekki stopień niepeł-
nosprawności i kiedy wyjdzie, musimy
mu pomóc. Takie jest życie.

Janina Michalska,

nr konta 50 1020 4027 0000 0002 0771 8499





Wołający na puszczy



Ekolodzy protestują, ale Ministerstwo Środowiska pozostaje nieugięte, oceniając ich działania jako atak polityczny na resort i rząd PiS oraz próby wszczynania awantury zamiast szukania rozwiązań. Natomiast przedstawiciele organizacji Greenpeace oraz Fundacji Dzika Polska domagają się, aby niezależni eksperci od ekologii lasu ocenili, czy zagrożenie kornikiem uzasadnia masową wycinkę drzew. Ponadto w połowie kwietnia Komisja Europejska wezwała do wstrzymania zaplanowanych wyrębów – postępowanie przeciwko Polsce wszczęła już w czerwcu zeszłego roku. Jednak wycinka trwa...

Zdjęcia: Greenpeace Polska:
Grzegorz Broniatowski
oraz Karol Grygoruk



Bronisław Tumiłowicz

Już nie tylko Amerykanie, ale i Rosjanie, Chińczycy, Japończycy, a nawet Hindusi ostrzą sobie zęby na podbój Księżyca. Rosja, a właściwie Związek Radziecki, który w latach 60. przodował w podboju kosmosu, po sukcesach programu Apollo i sześciu lotach załogowych zarzuciła program księżycowy, oficjalnie z powodów finansowych. Amerykanie także zaprzestali na długie lata (ostatni lot Apolla na Księżyc to koniec roku 1972) eksploracji naturalnego satelity Ziemi i dopiero od jakiegoś czasu pojawiają się informacje o bardziej skonkretyzowanych planach powrotu.

W 2006 r. Nikołaj Sewastianow, były prezes rosyjskiej korporacji raketowej i kosmicznej, ogłosił oficjalnie, że głównym celem rosyjskiego programu kosmicznego będzie wydobywanie na Księżycu izotopu hel-3 z przetworzenia księżycowego regolitu – nazwijmy go kosmicznym gruzem z pyłów i odłamków skał. Według Sewastianowa stała rosyjska stacja na Księżycu miała powstać do 2015 r., a od 2020 r. rozpoczęłaby się produkcja komercyjna tego izotopu. Do lotów miałyby zostać użyte statek „Kliper” i holownik „Parom”. Szybko jednak uznano, że Rosja nie będzie naśladować USA w opracowywaniu programów kosmicznych. Obecność helu-3 w księżycowych minerałach potwierdzili wcześniej przedstawiciele NASA, oni zaś przyjęli, że pierwszy lot na Księżyc w celu budowy bazy

Chiny i Japonia ogłosiły plany utworzenia baz księżycowych po 2020 r.

odbędzie się nie prędzej niż w 2018 r. Chiny i Japonia również ogłosiły plany stworzenia baz księżycowych, ale już po 2020 r.

Założenie stałej stacji naukowo-przemysłowej to kwestia nie tylko prestiżu, ale i kalkulacji. Policzone, że 1 kg skroplonego izotopu hel-3 kosztuje ok. 20 mln dol., a księżycowe zasoby tego składnika reakcji jądrowych to ok. 500 tys. ton. Ponoć całe zapotrzebowanie Ziemi na energię w ciągu roku wymagałoby użycia tylko 30 ton helu-3, a dodatkowa korzyść byłaby taka, że zmniejszyłoby się zagrożenie odpadami radioaktywnymi, bo hel szybko się rozkła-

CZŁOWIEK WYJE DO KSIĘŻYCA

Co nas czeka na Srebrnym Globie



Misja Apollo 17, lądowanie na Księżycu 11 grudnia 1972 r.

da. Eksploatacja złóż na Księżycu nie jest jednak taka łatwa, podobnie jak wykorzystanie tego izotopu w reaktorach. Bardziej realistyczny wydaje się wcześniejszy rozwój fabryk tlenu (z wody), energii elektrycznej (ze słońca lub reakcji nuklearnych) oraz księżycowego hutnictwa i budownictwa. A także uruchomienie załogowych i bezzałogowych statków, w tym wielu satelitów i sond międzyplanetarnych. Specjaliści np. wskazują spore zasoby wody w postaci lodu w okolicach biegunów.

KTO PIERWSZY?

Księżycowy wyścig między USA i ZSRR zaczął się ok. 1960 r. i już wtedy mówiono o budowie baz. Projekt opracowali inżynierowie z General Electric. Planowano bazy wojskowe – były projekty LUNEX i HORIZON. Rosjanie ok. 1970 r. myśleli o budowie na Księżycu obiektów chroniących przed atakiem atomowym. W 1989 r. NASA wystąpiła z programem Lunar

Oasis. Powstanie bazy na Księżycu przebiegałoby w trzech etapach i wymagało 30 lotów z Ziemi, z których każdy zawoziłby ok. 20 ton ładunku. Rozpisany na 10 lat program kosztowałby tyle co cztery programy Apollo.

Najwyraźniej teraz USA zainicjowały nowy wyścig księżycowy, którego celem jest postawienie bazy. Program NASA o nazwie „Constellation” zakłada stworzenie nowych technologii kosmicznych, w których baza na Księżycu byłaby etapem dla przyszłych misji na Marsa. Załogowe loty na Srebrny Glob planowane na lata 2019-2020 unieważnił jednak prezydent Barack Obama, obcinając ich finansowanie. Tymczasem w 2010 r. powstał kolejny program NASA – na Księżyc poleciałyby do pracy roboty.

Obok pomysłów NASA pojawił się bardzo ambitny plan „Aurora” Europejskiej Agencji Kosmicznej, zakładający stworzenie na Księżycu bazy ok. 2030 r. To na początek, w perspektywie jest wyprawa na Marsa. Ten długoterminowy program ma pokazać, że Europa nie jest gorsza technologicznie. Gorsze nie chcą być także Chi-

ny – w 2007 r. z kosmodromu Xichang wyleciał na orbitę pierwszy księżycowy satelita Chin Chang-1. Ma on pomóc w tworzeniu trójwymiarowych map powierzchni Ziemi. Chińczycy myślą też o naukowej załogowej bazie na Księżycu (w latach 2040-2060). Załogowe loty na Księżyc planowała na 2030 r. Japońska Agencja Badań Kosmicznych. W 2007 r. na orbicie księżycowej znalazła się sonda „Kaguya”, jednak w 2010 r. Japonia zdecydowała się porzucić program załogowy z powodu wysokich kosztów.

Indie w 2008 r. wystawiły na Księżyc sondę „Chandrayaan-1” w celu poszukiwania metali, wody i helu-3. Indyjska Organizacja Badań Kosmicznych zaprezentowała następnie plany posłania łazika, a nawet misji załogowych w latach 2025-2030. „Chandrayaan-2” miał być wystrzelony jeszcze w tym roku, ale lot przełożono na pierwszą połowę przyszłego. Statek będzie na orbicie przez cały rok, a spuszczone na powierzchnię Księżyca w cięższym lądowniku 20-kilowy łazik pożyje 14-15 dni. Będzie zasilany baterią słoneczną. Zbudowany w Indiach według planów rosyjskich, będzie zbierał informacje o powierzchni Księżyca, glebie i skałach. Wyposażony w kamery i nadajnik przekaże dane do orbitera, a ten wyśle je na Ziemię.

W 2014 r. ogłoszono rosyjski projekt rozpisany na trzy etapy. Najpierw do roku 2025 polecą automatyczne stacje międzyplanetarne „Luna-25”, „Luna-26”, „Luna-27” i „Luna-28”. Ich cel to określenie składu i właściwości fizyko-chemicznych na obszarach polarnych. Wiadomo – Rosjanie mają bogate doświadczenia w zarządzaniu stacjami arktycznymi. „Luny” będą pomagały wybrać najbardziej obiecujący obszar na biegunie południowym Księżyca pod budowę bazy. Kolejny etap to wyprawy na orbitę Księżyca w latach 2028-2030. W latach 2030-2040 miałyby już być tworzona infrastruktura na powierzchni, a także budowano by obserwatoria astronomiczne. Do roku 2050 stworzono by warunki do budowy bazy i poligonu dla działalności górniczej. W 2015 r. pojawiły się jednak doniesienia o opóźnieniu tych planów, oczywiście z powodów finansowych.

NAJSŁABSZE OGNIWO

Ambitne plany to jedno, ale jeśli myślimy o kolonizacji Księżyca,

trzeba najpierw rozwiązać problemy bytowe. Atmosfera i pole magnetyczne Ziemi chronią nas przed większością promieniowania słonecznego. Nasza atmosfera spala również wszystkie odpady, mikrometeority. Na Księżycu tego nie ma. Podczas rozbłysków słonecznych atakować nas może strumień protonów i innych cząsteczek. Kolejny problem to promieniowanie rentgenowskie. Obliczenia wykazały, że po 100 godzinach na Księżycu każdy otrzyma niebezpieczną dla zdrowia dawkę. Słońce w okresie wzmożonej

aktywności dostarczy taką dawkę w ciągu kilku minut. Grożą nam też pyły księżycowe, składające się z ostrych cząsteczek, które nie powinny się dostawać do płuc.

A przecież, na razie hipotetycznie, rozwija się turystyka kosmiczna, choć wpływy z niej nie pokryją jeszcze nawet ułamka procenta kosztów, które trzeba by ponieść przy budowie i utrzymaniu stacji na Księżycu. Może więc człowiek zacznie eksplorację kosmosu nie od Księżyca, ale od Marsa?

FILM REŻYSERA ARGO I MIASTO ZŁODZIEI

„PEŁEN WARTKIEJ AKCJI”

NA BLU-RAY™ i DVD!

AN APPIAN WAY/PEARL STREET PRODUCTION "LIVE BY NIGHT" BEN AFFLECK ELLE FANNING BRENDAN GLEESON CHRIS MESSINA
SIENNA MILLER ZOE SALDANA AND CHRIS COOPER MUSIC BY HARRY GREGSON-WILLIAMS COSTUME DESIGNER JACQUELINE WEST EDITOR WILLIAM GOLDENBERG, ACE
PRODUCTION JESS GONCHOR DIRECTOR OF PHOTOGRAPHY ROBERT RICHARDSON, ASC BASED UPON THE NOVEL BY DENNIS LEHANE SCREENPLAY BY DENNIS LEHANE
DIRECTED BY BEN AFFLECK
PRODUCED BY LEONARDO DICAPRIO, P.J.A. JENNIFER DAVIS, P.J.A. BEN AFFLECK, P.J.A. JENNIFER TODD, P.J.A.

PARTNERZY MEDIALNI

murator T3 P4 Multikino FILMWEB interia



Morten A. Strøksnes

Prujemy z Hugonem przez Vestfjorden, ale w połowie drogi proszę go, żeby przyhamował, bo muszę zdjąć kombinezon termiczny. Nigdy wcześniej gorąco nie stanowiło dla mnie problemu na tych wodach. Ściana Lofocka jest już bliżej, ale lekka mgiełka sprawia, że jej kontury są zamazane, jakby góry raptem zmiękły i zaczęły się topić.

Gdy tylko Hugo znowu dodał gazu, nieco po prawej, nad sterburtą, dostrzegam wznoszący się pionowo nad taflą słup wody, oddalony od nas o wiele kilometrów. Odwracam się i wskazuję go Hugonowi, który kiwa głową i daje całą naprzód. Szybko zbliżamy się do tego czegoś, co teraz wygląda jak wyszorowana do błysku płaska, skalista wysepka i skrzy się w słońcu. Jesteśmy jednak na otwartym morzu, gdzie nie ma żadnych wysepek, w dodatku ta się porusza. Widzieliśmy już wiele morświniów, lecz to zwierzę jest najwyraźniej czymś innym.

Hugo zaczyna głośno myśleć.

– W każdym razie nie jest to płetwal karłowaty. Może to stado grindwali?

Z odległości wielu setek metrów Hugo dochodzi do wniosku, że jednak się myli. To coś przed nami nie ma długiej płetwy grzbietowej, która

Ma wysokość piętrowego autokaru, jego oczy znajdują się tak głęboko w wodzie, że ich nie widzimy. One jednak widzą nas

charakteryzuje grindwale. Poza tym to nie stado, lecz jedno olbrzymie zwierzę. Przez ułamek sekundy rozważam, czy nie może to być tódtz podwodna. (...) Od tego czegoś dzieli nas zaledwie kilkaset metrów, gdy Hugo wykrzykuje:

– To kaszalot!

Mamy przed sobą grzbiet największego wśród zębowców. Gdy się zbliżamy, zaczyna go wyginać, a kiedy podpływamy na odległość 30 m, po raz ostatni wypuszcza słup wody i zanurza łeb w morzu. Płetwa ogonowa i tylna część tułowia wystają pionowo – jak symbol na rysunku naskalnym – w swojej naturalnej wielkości, a potem tafla zamyka się nad zwierzęciem i waleń znika jak w murze odpływowej za pociągnięciem sznurka.

Hugo wyłącza silnik. Blisko 50 lat pływa po morzach, a po Vestfjorden tyle że niemal można go zaliczyć do jego fauny. Przez ten czas widział

prawie wszystko. Stada grindwali to nieledwie rutyna, nie wspominając o płetwalu zwyczajnym, morświnach czy skoczkach typu delfina białobokiego albo białonosego. Natomiast ani razu przez te wszystkie lata nie widział kaszalota.

Pozostaje więc tylko czekać. Wprawdzie kaszalot potrafi wstrzymać oddech na 90 minut – dłużej niż jakiegokolwiek stworzenie oddychające płucami – kiedyś jednak musi wypłynąć na powierzchnię.

KASZALOT SPERMACETOWY (*Physeter macrocephalus*, kaszalot, potwał) jest nie tylko największym mięsożernym zwierzęciem na świecie, lecz także największym mięsożercą, jaki kiedykolwiek istniał na Ziemi. (...)

Egzemplarz, który zobaczyliśmy, był samotnym samcem długości ok. 20 m i wadze ponad 50 ton. Samice i samce potwala różnią się od siebie. Samice ważą jedynie trzecią część tego, co samce, i żyją w stadach, pilnując cieląt – również sobie nawzajem, gdy któraś nurkuje za pożywieniem.

Młode samce pływają w grupach. Kiedy zbliżają się do trzydziestki, mijają okres ich dojrzewania i do końca życia mają dość towarzystwa. Od tej pory samiec potwala staje się samotnym myśliwym na oceanach świata. Ten, na którego się natknęliśmy, mógł przepłynąć aż z Oceanu

Południowego. Gdy napotka stado samic, może z nimi pokopulować, ale zaraz potem umyka na swoje szlaki. Potwale potrafią być agresywne, także wtedy, gdy spotykają inne kaszaloty spermacetowe. Może to frustracja seksualna każe samcom bić się ze sobą nawet na trzęwo? Zdaniem Hugona, taki kaszalot w okresie godowym bywa równie stuknięty jak stoń, gdy mu szaleją hormony.

Potwał, który zniknął w morskiej toni, być może zapolował na ośmiornicę albo kałamarnicę olbrzymią, która dochodzi do 500 kilo wagi. Podczas nurkowania waleń może wgrzyźć się w głowonoga i roztrząskać go o dno. Jeżeli nic nie złowi, płynąc w dół, to ma jeszcze szansę podczas wyływania na powierzchnię. Na dnie kładzie się na grzbiecie, by obserwować sylwetki pojawiające się w słabym świetle, które przenika wodę od góry. Kaszalot spermacetowy ma z przodu głowy system sonarów, którego używa do namierzania ławic ryb lub głowonogów. Jeśli odkryje coś interesującego, wrzuca wyższy bieg i połyka zdobycz pyskiem tak wielkim, że pomieściłby łódkę, w której siedzimy z Hugonem – w poprzek.

Wyrzucone na brzeg kaszaloty znajdowano z głębokimi śladami po przyssawkach na skórze. Niektóre z tych śladów miały średnicę 20 cm. Żaden człowiek nie zaobserwował dotąd walki kałamarnicy olbrzymiej i kaszalota spermacetowego, gdyby jednak zaistniała taka szansa, bilety na to przedstawienie zostałyby w mig rozchwytywane. Kałamarnica olbrzymia, która przez długi czas uchodziła za stwora rodem z baśni, ma nie tylko

Jeden płetwal błękitny ma w ciele ponad 8 tys. litrów krwi.

dwie haczykowate macki i osiem ramion, z których każde osiąga do 12 m długości, lecz również dysponuje odpychającym chitynowym dziobem, zdolnym skruszyć prawie wszystko. Według Juliusza Verne'a ramiona tego kolosalnego wybryku natury przypominają rozwiane włosy rzymskich furii. Da się też ponoć nawiązać z nią kontakt wzrokowy, bo ma wielkie, okrągłe oczy, pozbawione powiek, więc nigdy nie mruga.

Kaszalot spermacetowy ma z przodu głowy największy w świecie zwierząt organ produkujący dźwięki, którego waga może dochodzić do 10 ton. Poziom natężenia charakterystycznego klikania wynosi 230 decybeli, co odpowiada głośności strzału oddanego ze strzelby w odległości 10 cm od ucha. Takie ciężko huczące grzmoty wydają samce, natomiast samice wypowiadają się szybciej, co przypomina raczej sygnalizację alfabetyczną Morse'a.

Kaszalot w okresie godowym bywa równie stuknięty jak stoń, gdy mu szaleją hormony.

Jako ewolucyjny mistrz wagi ciężkiej kaszalot spermacetowy powinien pływać udekorowany wielkim srebrnym pasem wokół brzucha. Nawet on jednak nie jest pozbawiony wrogów. Potomstwo ma nieliczne, ciałat kaszalotów rodzi się mniej niż w przypadku innych gatunków walen. Wiele lat uczy, żywi i chroni swoje młode. Ciałęta i ranne sztuki mogą zostać zaatakowane przez stada grindwali albo orek. Wówczas kaszaloty tworzą tzw. formację margerytki i otaczają kręgiem ciałęta, by dużo szybsze i zwrotniejsze orki nie mogły odizolować pojedynczych sztuk z gromadki, bo wtedy nastąpi ich koniec. Dorosłe wieloryby ustawiają się tyłem albo przodem i walczą z napastnikami ogonem lub zębami.

KASZALOT NURKUJE do głębokości prawie 3 tys. m, co dla ssaków jest rekordem, bo ciśnienie na takich głębokościach sprasowuje płuca niemal na listek. W jego głowie znajduje się jednak duża komora, w której ciśnienie jest wyrównywane w ten sposób, że gdy wieloryb znajduje się bliżej dna morza, olej spermacetowy się ochładza, zagęszcza i zastyga. Ogrzewa się zaś do ciekłej postaci bliżej powierzchni, gdzie potwał unosi się swobodnie. Przed około stu laty, zanim wynaleziono oleje syntetyczne, olbrot (olej spermacetowy) był najbardziej poszukiwanym olejem: czystym, przezroczystym, o przyjemnym zapachu. Duży osobnik mógł pomieścić w głowie do tysiąca litrów olbrotu. Z tej białoróżowej, woskowej cieczy, przypominającej spernę, produkowano

ekskluzywne świece, mydło i kosmetyki. Używano jej też do smarowania najdroższych precyzyjnych instrumentów.

Potwał dostarczał też wielu innych wartościowych substancji. Z jednego osobnika uzyskiwano wiele dziesiątków ton mięsa i tłuszczu, a potężne zęby były równie kosztowne jak kość słoniowa. Powiadają, że ze skóry olbrzymiego penisa wielorybnicy szyli sobie nawet płaszcze wodoodporne. Kaszalot spermacetowy nie tylko

pod tym względem jest dobrze wyposażony. Ma też największy mózg spośród zwierząt żyjących dotąd na ziemi – jego waga jest sześciokrotnie większa niż waga mózgu człowieka. Penis waży kilkaset razy więcej.

System trawienny kaszalota wydziela substancję zwaną ambrą – najcenniejszą w całym wielorybie, używaną niegdyś do wyrobu perfum. Poza tym przypisywano jej najróżniejsze fantastyczne właściwości. W dawnych czasach, kiedy ambrę znajdowano w wodzie albo wyrzuconą przez fale na brzeg, sądzono, że to ślina węża morskiego. Hugo znalazł kiedyś na brzegu ambrę, którą w przeszłości nazywano wielorybim bursztynem. Według jego opisu są to woskowate, szare grudki o specyficznym, słodkawym zapachu.

Kaszalot spermacetowy był więc bardzo poszukiwany, a polowano na niego tak zaciekle, że gatunek został niemal wytrzebiony. W okolicach Andenes jeszcze w latach 70. ubiegłego wieku prowadzono systematyczne połowy potwala. Zanim wielorybnicy zaczęli posługiwać się działkiem harpunnicznym, używali dużych harpunów ręcznych, które przesywały walenia i wczepiały się w niego zadziarami. Tracili jednak sporo sztuk, jeśli bowiem wewnętrzne organy nie zostały uszkodzone, wieloryb mógł latami pływać z harpunem wbitym w ciało.

CISZĘ WOKÓŁ HUGONA I MNIE przerywa jedynie miękkie, śpiewne chlupotanie. (...) W dalszym ciągu ani śladu kaszalota. Gdyby dzień był zwyczajny, mielibyśmy niewielką szansę, by go ponownie zobaczyć. Ale dzień ▶

▶ nie jest zwyczajny, przy takim sztilu i w tak przejrzystym powietrzu pewnie dostrzeglibyśmy kolosa kaszalota z odległości wielu mil.

Hugo opowiada o zdarzeniu, które miało miejsce na przełomie XIX i XX w. Potwał zaatakował wówczas małą łódkę, którą liczna rodzina płynęła z Lottaviki do Leines, do kościoła. Wieloryb doszczętnie rozbił ich łódź. Przeżyła tylko 16-letnia dziewczyna, reszta rodziny utonęła. Podobno na powierzchni utrzymała dziewczynę suknią, która utworzyła bańkę powietrzną.

Rdzeń tej historii jest prawdziwy, ale lokalni historycy przypuszczają, że kaszalot żerował w ławicy śledzia i niechęć zderzył się z łodzią, powodując wypadek.

Nie było natomiast mowy o wypadku, gdy w 1820 r. w południowej części Pacyfiku kaszalot spermacetowy zaatakował statek wielorybiczny „Essex” z Nantucket. Załoga 27-metrowej jednostki nigdy nie widziała większego osobnika. Przyjęła, że wieloryb ma długość 26 m. Dłuższy czas czekał nieruchomo w sporej odległości od „Esseksa”, jakby go obserwował, po czym nagle ruszył pełną parą, uderzył z całej siły, aż ludzie na pokładzie się poprzewracali, i wybił ogromną dziurę w dziobie. Zaraz potem ponowił atak i rozbił w pył drugą

kowane do kilku przerażonych osobników. Przez ponad pół wieku norweskie spółki z siedzibami w Larviku, Tønsbergu i Sandefjorde prowadziły polowania na wieloryby na skalę przemysłową na Oceanie Południowym oraz u wybrzeży Australii, Afryki, Brazylii i Japonii. W norweskich

i jeszcze po wielu dziesięcioleciach czuli go w nozdrzach.

WSZYSTKIE WALENIE potrafią się ze sobą porozumiewać na dalekie odległości, jednak gęstniejący ruch statków coraz bardziej im to utrudnia. To jednak problem, z którym „da

Ponoć ze skóry olbrzymiego penisa wielorybnicy szyli płaszcze wodoodporne.

stocznich budowano olbrzymie statki bazy wielorybiczne, a pełne wyposażenie superwydajnych wytwórni oleju przewożono na Georgię Południową i na Deception Island (Wyspę Zwodniczą). W roku 1920 tylko na samej Wyspie Zwodniczej znajdowało się 36 kotłów ciśnieniowych, z których każdy miał pojemność 10 tys. litrów. Zanim płetwalowi błękitnemu zagroziło wyginięcie, statki wielorybiczne poławiały co sezon tysiące sztuk, nie licząc zdobyczy innych gatunków. Żywe potomstwo wycinano z brzuchów ciężarnych samic i wrzucano do kotłów pracujących całą dobę. Dni odmierzano nie w godzinach, ale w liczbie wielorybów i baryłek wytapianego oleju. Dym i para z olbrzymich skwierczących kotłów pokrywały grubą warstwą lądowe sta-

się żyć”. Z dużo większym zmagają się „najsamotniejszy wieloryb na świecie”. Płetwale zwyczajne (finwale) komunikują się zazwyczaj na częstotliwości 20 herców, więc słyszą dźwięki mniej więcej o tej wartości. Kilka lat temu jednak naukowcy odkryli, ku swojemu zdumieniu, finwala ze szczególną ułomnością: jego śpiew rozlega się na częstotliwości ok. 52 herców, co oznacza, że inne finwale go nie słyszą, wobec czego jest odcięty od społecznych kontaktów w ramach swojego gatunku. Może inne osobniki sądzą, że należy do obcej rodziny, jest niemy albo nieto-

Brzegi wysp zamieniały się w wielorybie cmentarzyska z tysiącami gnijących cielsk.

stronę dziobu. Nie przestał nacierać, póki statek o wyporności 238 ton nie poszedł na dno. Większość załogi się uratowała, wśród nich Owen Chase, który zdał suchą relację z tego wydarzenia w książce (...).

Nie jest to jedyny udokumentowany przypadek staranowania i zatopienia dużych statków przez kaszaloty. Historia „Esseksa” cieszy się jednak największą sławą, ponieważ zainspirowała Hermana Melville’a do napisania powieści o białym kaszalocie spermacetowym Moby Dicku. (...)

PONAD 2 MLN WALENI różnych gatunków upolowano w ciągu niecałego stulecia, do lat 70. ubiegłego wieku. Wystarczyło kilka dekad, by liczące dziesiątki tysięcy sztuk lokalne populacje wielorybów zostały zredu-

cje i statki bazy wielorybiczne. Jeden płetwal błękitny ma w ciele ponad 8 tys. litrów krwi, tak więc „sprawiające” wielorybów przez cztery miesiące – bo tyle trwał sezon połowów – brodzili bezustannie we krwi, tłuszczu i kawałach mięsa.

Odór martwoty i zgnilizny był nie do opisania. Wytwórnie na lądzie i na statkach często nie nadążały z przerobem, toteż ciała wielorybów zalegały na brzegu, aż zaczynały fermentować, a gazy nadymały je tak, że przypominały zeppelin. Jeśli takie zwłoki przedziurawiono albo eksplodowały same z siebie, ludzie mdleli z powodu rozchodzącego się smrodu. Brzegi wysp zamieniały się w ogromne wielorybie cmentarzyska z tysiącami gnijących cielsk, nagich szkieletów i luźnych gnatów. Niektórzy twierdzili, że nigdy nie pozbyli się tego zapachu



warzyski z niego dziwak? Najsamotniejszy wieloryb na świecie trzyma się z osobna, nie pływa nawet po oceanicznych trasach migracyjnych innych wielorybów. (...)

GDZIE SIĘ PODZIAŁ nasz kaszalot? Wokół nas morze kipi od śledzi. Powierzchnia wody jest tak gładka, że z dużej odległości widać zbliżające się ławice. (...)

– Tam! – Hugo wskazuje palcem na północ, drugą ręką zaś obraca kluczyk w stacyjce. W oddali fontanna wody zrasza powierzchnię; Hugo daje gaz do dechy. Kilka minut później jesteśmy tuż obok kaszalota. Leży niemal nieruchomo i oddycha. Z każdym wydechem lekko parska, a z otworu nosowego po lewej stronie wielkiej głowy tryska woda jak z pompy strażackiej. Słychać świst powietrza zasysanego do płuc niczym przez otwarte okno pędzącego samochodu. Od czasu do czasu przecacza się niski, ciężki grzmot niczym „ryk Behemotów w rui”.

Kaszalot kolebie się lekko w przód i w tył, pokazując nam osobliwą powierzchnię swego ciała, pełną gru-

złów i fałd tłuszczu. Widoczna część wieloryba jest prawie dwa razy większa od naszego pontonu. Pod wodą da się dostrzec czubek głowy, który w zarysie przypomina półwysep Kola. Potwał ma wysokość piętrowego autokaru, jego oczy znajdują się tak głęboko w wodzie, że ich nie widzimy. One jednak bez wątpienia widzą nas. (...)

Hugo pod pływa bardzo blisko wieloryba, aż zaczynam się bać. Co się stanie, jeżeli się zdenerwuje i posta-

nowawczych ruchach. Znajdujemy się w odległości trzech, może czterech metrów od niego, gdy kieruje pysk, a za nim powoli cały tułów, ku dołowi, aż uformowany w kształt półksiężyca ogon stanie nam pionowo przed oczami i bezszelestnie zniknie.

W tym momencie wydarza się coś dziwnego. Woda przed pontonem – może 20 m od miejsca, w którym zanurkował kaszalot – zaczyna drgać, tworzy mikroskopijne zmarszczki i wiry, jakby powstało tam pole elek-

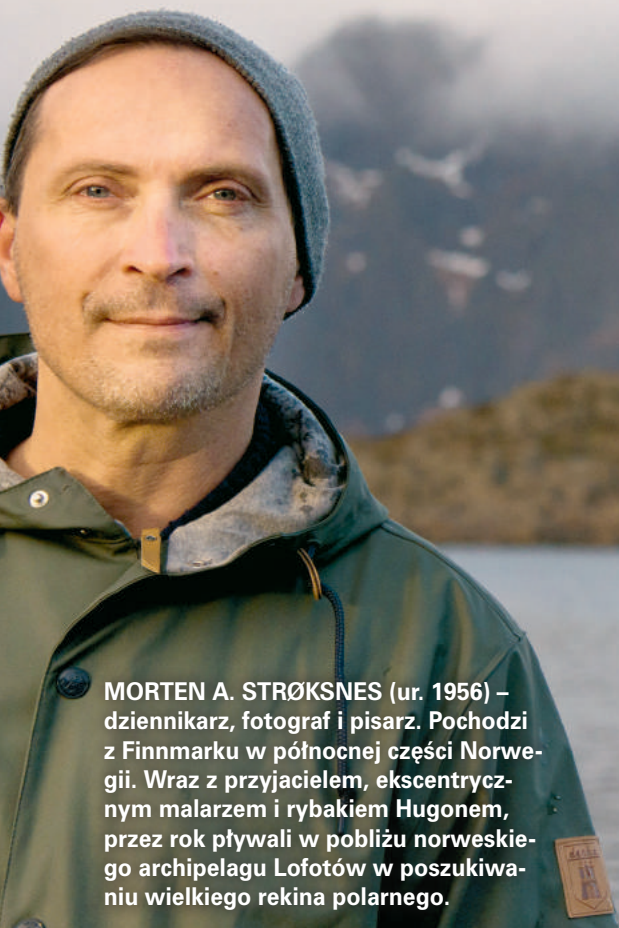
Zanim płetwalowi błękitnemu zagroziło wyginiecie, poławiano co sezon tysiące sztuk.

nowi nas trzepnąć ogonem? Czekają nas nielicha powietrzna podróż z ciężkim silnikiem i obracającą się śrubą, a do lądu daleko. Zdaniem Hugona jesteśmy bezpieczni, póki trzymamy się przednich partii zwierza. (...)

Może po trzech minutach, które wydają się kwadrantem, nasz kaszalot zaczyna szykować się do zanurkowania i wygina potężną przednią część ciała w kilku przygo-

tryczne o wysokim napięciu. Kaszalot płynie prosto na nas. Patrzę na Hugona, prawdopodobnie z paniką w oczach. Dostrzegł już to samo co ja, trzyma dłoń na drążku gazu i lekko odchyła łódź przed ładunkiem czystej siły, który powoli kieruje się w naszą stronę.

Nagle wszystko się uspokaja, a morze, znowu gładkie i błękitne, lśni jak chrom. Potwał płynie ku głębi. (...)



MORTEN A. STRØKSNES (ur. 1956) – dziennikarz, fotograf i pisarz. Pochodzi z Finnmarku w północnej części Norwegii. Wraz z przyjacielem, ekscentrycznym malarzem i rybakiem Hugonem, przez rok pływali w pobliżu norweskiego archipelagu Lofotów w poszukiwaniu wielkiego rekina polarnego.



Fragmenty książki Mortena A. Strøksnesa, *Księga morza, czyli jak złowić rekina giganta z małego pontonu na wielkim oceanie o każdej porze roku*, przekład Maria Gołębowska-Bijak, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2017

Malene Rydahl

Był cudowny letni dzień. Ludzie wygrali z domów, by skorzystać z dwóch najradszych i najbardziej pożądanых zjawisk w Danii: słonecznej pogody i wysokiej temperatury. Pojechaliśmy z mamą na wieś, aby kupić owoce i warzywa na obiad. Mijałyśmy przydrożne stragany z ziemniakami, groszkiem, marchewką, malinami i truskawkami. Wszystkie te warzywa i owoce pochodziły z pobliskich gospodarstw. Nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyby nie pewien zaskakujący szczegół: w Danii nikt takich straganów nie pilnuje. Na każdym stoi garnuszek, w którym zostawia się pieniądze za wybrane produkty. Rolnicy są nawet tak uprzejmi, że kładą trochę monet, żeby klient mógł wydać sobie resztę; utarg zabierają pod koniec dnia. Tak było w czasach mojego dzieciństwa i tak jest teraz. Może trudno w to uwierzyć, ale nikomu nie przychodzi do głowy, żeby cokolwiek ukraść. Tylko jak to jest, u licha, możliwe?

Im niższa temperatura, tym wyższe zaufanie

Duński profesor Gert Tinggaard Svendsen opublikował w 2012 r. książkę na temat zaufania. Porównał w niej poziom zaufania w 86 państwach. Jego wnioski? Aż 78% Duńczyków ufa ludziom w swoim otoczeniu. Jest to światowy rekord – przeciętny poziom zaufania w pozostałych państwach wynosi ledwie 25%. Nie ma najmniejszych wątpliwości: Dania może się pochwalić najwyższym poziomem zaufania na świecie. Co ciekawe, wszystkie państwa skandynawskie uplasowały się na czołowych pozycjach. Jedno z ostatnich miejsc zajmuje Brazylia – z poziomem zaufania wynoszącym 5%. Na dole listy znalazły się również inne kraje z Ameryki Południowej i Afryki. Francja i Portugalia uzyskały wynik poniżej średniej; ponad siedmiu na dziesięciu Francuzów nie ufa rodakom. Amerykanie ufają sobie na wyższym od przeciętnego poziomie 36%, z kolei Anglicy z 25% znaleźli się blisko średniej europejskiej.

Jak wynika z tego badania, poziom zaufania u Duńczyków wzrasta do 84%, kiedy mierzy się zaufanie do instytucji (rządu, policji, sądów, administracji państwowej). Czy prof. Svendsen napisał tak dlatego, że sam jest Duńczy-

UFAM INNYM LUDZIOM

Dlaczego Duńczycy są najszczęśliwsi ludźmi na świecie

kiem? Raczej nie. Inni badacze, np. Francuzi Yann Algan i Pierre Cahuc, również ustalili, że Duńczycy rzadko kwestionują wiarygodność instytucji swojego państwa. Brak zaufania do bezstronności policji deklaruje zaledwie 9% Duńczyków – w porównaniu z 15% Brytyjczyków i Niemców, 25% Francuzów i 65% Rosjan. Co więcej, rząd Danii zajął pierwsze miejsce na sporządzonej przez magazyn „Forbes” liście „Dziesięciu najlepszych rządów świata”. Aby ją przygotować, wzięto pod uwagę: prerogatywy rządu, brak korupcji, porządek i bezpieczeństwo, prawa obywatelskie, przejrzystość działania rządu, egzekwowanie przepisów, a także działanie sądów cywilnych i karnych. W 2015 r. (czyli według najaktualniejszego dostępnego badania) Dania miała najsprawiedliwszy system

Aż 78% Duńczyków ufa ludziom w swoim otoczeniu. To światowy rekord.

prawny na świecie (Niemcy znalazły się na ósmym miejscu, Wielka Brytania na 12., Francja na 18., Stany Zjednoczone na 19., a Włochy na 30.).

Wysoki poziom zaufania do ludzi i instytucji ma poważne konsekwencje społeczne. Rozważmy następujący przykład: czy zapłacilibyście dobrowolnie podatek dochodowy, gdybyście podejrzewali, że wszyscy dokola oszukują? Zapewne nie. Czuliście się bardziej jak frajerzy niż jak porządni obywatele. Ludzie chętniej przestrzegają przepisów, kiedy sądzą, że inni postępują tak samo. Istnienie trwałego

państwa opiekuńczego jest możliwe tylko wtedy, gdy obywatele ufają sobie nawzajem.

Zaufanie wywiera zasadniczy wpływ nie tylko na funkcjonowanie społeczeństwa, ale też na samopoczucie jednostki. Wielu badaczy, socjologów, ekonomistów oraz filozofów z całego świata próbowało zidentyfikować powody, dla których człowiek czuje się szczęśliwy. Niemal wszyscy zgadzają się w jednym: zaufanie między jednostkami jest tu absolutnie najważniejsze. Największy autorytet w tej kwestii, słynny World Happiness Report ONZ, stwierdza jednoznacznie: im bardziej ludzie sobie ufają, tym są szczęśliwsi. Francuscy badacze Pierre Cahuc i Yann Algan stwierdzili nawet, że istnieje odwrotna zależność: społeczeństwo zbudowane na nieufności nie potrafi zapewnić swoim obywatelom szczęścia. Prof. Christian Bjørnskov doszedł do podobnego wniosku: „Wysoki poziom zaufania [w Danii] jest jednym z najważniejszych czynników wyjaśniających wysoki poziom szczęścia”.

Nieodpowiedzialność czy ufnosć? Płaszcz, portfele i dzieci

W operze kopenhaskiej zagraniczni goście zawsze ze zdumieniem patrzą, jak Duńczycy zostawiają płaszcze w niestrzeżonej szatni. Oto właśnie kilkusetosobowa grupa ludzi instynktownie ufających sobie nawzajem. Wiedzą, że po zakończeniu przedstawienia ich rzeczy będą znajdowały się dokładnie tam, gdzie je zostawili – nie przychodzi im nawet do głowy, żeby pomyśleć co innego.

Dopóki mieszkalam w Danii, nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Pewnego dnia mój brat wrócił z supermarketu i powiedział, że znalazł 500 koron (76 dol.) w skrzynce z jabłkami. Stwierdził, że musiały komuś wypaść, i oddał je kierownikowi sklepu. Kiedy właścicielka wieczorem zgłosiła się do kierownika, odzyskała swoją zgubę. Jako podziękowanie zostawiła 100 koron (15 dol.) dla mojego brata.

Osobie spoza Danii sytuacja ta mogłaby się wydawać absurdalna. „Cóż za naiwność! Wiadomo, że kierownik zatrzymał pieniądze dla siebie”, mogłaby powiedzieć. Rozumiem tego rodzaju reakcje. Od ponad 20 lat mieszkam poza Danią i miałam okazję zobaczyć na własne oczy, że nieufność występuje częściej od zaufania – niestety,

zazwyczaj nie bez powodu. Wyobraźmy sobie, że gubimy portfel na ulicy. Jaką mamy nadzieję, że go odzyskamy? Odpowiedzi udziela nam pouczający eksperyment przeprowadzony przez czasopismo „Reader’s Digest”. Organizatorzy upuścili 1100 portfeli na ulicach miast w różnych częściach świata. Każdy portfel zawierał odpowiednik 50 dol. w lokalnej walucie oraz dane kontaktowe właściciela. Celem było sprawdzenie, ile osób zatrzyma znaleziony portfel, a ile go zwróci. W duńskim mieście Aalborg (130 tys. mieszkańców) zwrócono wszystkie portfele wraz z pieniędzmi. Średnia ze

przedstawicieli mojego ubezpieczyciela powtarzała tylko w kółko: „Pani żartuje, prawda?”.

Inny przykład: przez trzy lata pracowałam w kawiarni w Kopenhadze, aby zarobić na studia. Lokal słynął z tego, że świeżo upieczone matki na urlopach macierzyńskich siedziały w środku, a wózki z dziećmi zostawiały na zewnątrz. Obcokrajowców zwykle to dziwi, ale w Danii rodzice często zostawiają dzieci przed restauracjami i kawiarniami. Niby nikt ich wtedy nie pilnuje, choć w pewnym sensie robią to wszyscy, ponieważ – powtórzę – ludzie ufają sobie nawzajem.

omawiania niezwykle wysokich kosztów związanych z brakiem zaufania. W organizacji, której jedni członkowie powątpiewają w uczciwość drugich, konieczne staje się wprowadzenie bardzo drogich systemów zapewniających bezpieczeństwo, monitorujących i wymuszających posłuszeństwo. Covey przytoczył opowieść Warrena Buffetta, znanego amerykańskiego biznesmena, o jednej z jego największych inwestycji – McLane Company, firmie zaopatrującej sklepy sieci Wal-Mart, której dochody sięgają 23 mld dol. Normalnie fuzja tak wielkich przedsiębiorstw trwałaby wiele miesięcy i wymagała wydania

Im bardziej ludzie sobie ufają, tym są szczęśliwsi.

fortuny na prawników, konsultantów i audytorów, którzy skrupulatnie sprawdzaliby wiarygodność obu podmiotów. W tym wypadku obie strony darzyły się sympatią i zaufaniem.

Transakcję uzgodniono w dwie godziny i potwierdzono uściskiem dłoni, co pozwoliło zaoszczędzić wiele miesięcy pracy i miliony dolarów. Zdaniem Coveya „brak zaufania podwaja koszty prowadzenia działalności gospodarczej”.

W konferencji uczestniczyła również Margrethe Vestager, duńska minister finansów. Przez niemal godzinę przekonywała (przemawiając bez kartki), że zaufanie jest źródłem oszczędności gospodarczych. Znacznie mniej kosztuje np. zaufanie do bezrobotnych niż sprawowanie nad nimi nadzoru. Vestager ma te same poglądy również dziś jako europejski komisarz ds. konkurencji. Warto wspomnieć, że Duńczycy są niezwykle dumni ze swojego systemu opieki społecznej. Badanie przeprowadzone w 2009 r. dla duńskiej gazety „Jyllands-Posten” pokazało, że jest to ich największy powód do dumy, większy nawet niż demokracja, tolerancja i pokój panujące w ich kraju. Duńczycy zdają sobie jednak sprawę z tego, jak ważne jest, aby obywatele nie zachowywali się w sposób nieuczciwy podczas korzystania z pomocy państwa i wnoszenia swojego wkładu do dobra wspólnego. Uważa się, że szczerość pomaga nie tylko osobie szukającej pracy, ale leży też w interesie ogółu. Vestager przyznała, że pewien podstawowy poziom nadzoru jest mimo wszystko konieczny nawet w Danii. ►



wszystkich miast wyniosła niewiele ponad 50%. Eksperyment pokazał, że prawdopodobieństwo odzyskania zgubionych rzeczy jest w wielu państwach, m.in. w Meksyku, Chinach, Rosji i we Włoszech, bardzo niskie. W Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii portfel zwróciło 67% osób, co jest niezłym wynikiem.

Zaufanie to jeden z tych czynników, które wpływają na wszystkie dziedziny życia, ponieważ zapewnia człowiekowi spokój. Mojej mamie ukradziono kiedyś w Paryżu 300 euro. Duński ubezpieczyciel zapytał ją, czy może udowodnić, że tamtego dnia wybrała taką kwotę z bankomatu. Niestety, mama nie zatrzymała potwierdzenia. Mimo to firma ubezpieczeniowa zwróciła jej całą sumę. Kiedy kilka lat później przydarzyło mi się podobne nieszczęście w Paryżu,

Zwyczaj ten kilka lat temu wywołał skandal w Nowym Jorku. Młoda Dunka zostawiła dziecko w wózku przed restauracją i w środku jadła obiad z ojcem. Personel restauracji wezwał policję. Dunkę aresztowano za porzucenie dziecka. Amerykańskie władze oddały matce dziecko dopiero po trzech albo czterech dniach.

Strefa beznożowa

W sierpniu 2012 r. duńska gazeta finansowa „Børsen” zorganizowała dużą konferencję poświęconą zaufaniu. O wygłoszenie wykładu poproszono Stephena M.R. Coveya, eksperta w tej dziedzinie. Covey rozpoczął wystąpienie od wyrażenia się z uznaniem o Danii jako państwie z wzorcowym modelem zaufania. Następnie przystąpił do

► We wrześniu 2012 r. młody mężczyzna ochrzczony przez prasę Leniwym Robertem zadeklarował publicznie, że woli korzystać z zasiłku dla bezrobotnych niż przyjąć nieciekawą dla niego ofertę pracy w sieci *fast food*. Duńczycy przeżyli szok. Jak można tak bezwstydnie naciągać system? Taka postawa prawdopodobnie nie zdziwiłaby specjalnie Francuzów. Kiedyś młoda Francuzka opowiedziała mi o swoich przygodach w Ameryce.

– Brzmi to fascynująco – stwierdziłam. – Ale powiedz, jak się utrzymywałaś bez zielonej karty?

– Byłam na zasiłku dla bezrobotnych! – odparła bez śladu zawstydenia.

Innym razem siedzący obok mnie na przyjęciu mężczyzna opowiedział mi z dumą o tym, że dzięki zasiłkowi dla bezrobotnych zrobił sobie rok przerwy od nauki i pracy. Po prostu chciał podumać o życiu i korzystać z odrobiny wolnego czasu!

Z konferencji zorganizowanej przez czasopismo „Børsen” wyjeżdżałam z szerokim uśmiechem na twarzy. Cieszyłam się z dokonania swojej ojczyzny. Przypomniałam sobie również, że powinienam zapłacić 750 euro wpisowego. Tak właśnie – organizatorzy nie wymagali opłacenia go z góry, ufając, że uczestnicy zrobią to po przyjeździe.

Poul Nyrup Rasmussen, były premier Danii, powiedział kiedyś: „Rzadko widzi się Duńczyka z nożem w jednej ręce, a bez widelca w drugiej”.

Oszuści i szemrane interesy

Kiedy znalazłam sobie pierwszą pracę w Paryżu, zadzwoniłam do taty, żeby powiedzieć mu o niezwykle korzystnej ofercie, jaką złożył mi pewien drukarz.

– Dał nam duży upust na druk broszur, do tego ma urocze mieszkanie w miejscu, które sobie wymarzyłam, i chętnie mi je wynajmie za rozsądną cenę. Czy to nie miłe z jego strony?

– Tak – odparł tata – ale co zrobisz, kiedy podniesie ceny za druk? Wynajmując od niego mieszkanie po stawce niższej od rynkowej, stawiasz się w kłopotliwym położeniu, nie uważasz?

– To prawda – westchnęłam.

Odrzuciłam propozycję, zdecydowałam się nawet na innego drukarza. Początkowo sądziłam, że mogę temu pierwszemu spokojnie zlecić druk broszur, ponieważ oferuje korzystniejsze warunki, a do tego zaproponował niski czynsz za mieszkanie. Propozy-

cja wydawała się atrakcyjna pod każdym względem, ale tylko na pozór. Przyjawszy ją, straciłabym niezależną pozycję w tej relacji biznesowej. Jako przedstawicielka firmy, w której byłam zwykłym pracownikiem, miałabym osobisty interes w podtrzymywaniu współpracy z tym konkretnym podwykonawcą.

Opowiadałam czasem tę historyjkę różnym osobom i spotykam się z najrozmaitszymi reakcjami. Niektórzy mówią (przynajmniej, że głównie mieszkańcy Europy Południowej):

Cudzoziemcy są zdumieni, że Duńczycy zostawiają płaszcze w niestrzeżonej szatni w operze kopenhaskiej.

– Głupio zrobiłaś! Wyobraź sobie, jak cudownie byłoby wprowadzić się do tego mieszkania!

Inni (często Duńczycy) reagują oburzeniem:

– Okropność! Próbował cię przekupić. Cóż za szemrana oferta, dobrze, że się nie zdecydowałaś.

Słowniki definiują korupcję jako „nadużycie publicznego stanowiska dla uzyskania osobistych korzyści”. W skromnej skali był to wzorcowy przykład takiej sytuacji.

Dania, wraz z Finlandią i Szwecją, może się pochwalić najniższym poziomem korupcji na świecie. Transparency International, organizacja walcząca z korupcją, przygotowuje wskaźnik wyrażający subiektywny poziom korupcji w oczach obywateli danego kraju. Dotąd sporządzono trzy raporty (w 2013, 2014 i 2015 r.); Dania za każdym razem okazywała się krajem o najniższym wskaźniku percepcji korupcji. Dla porównania: Niemcy i Wielka Brytania ulokowały się na 10. miejscu, Stany Zjednoczone na 16., Japonia na 18., Francja 26., Hiszpania na 36., Korea na 37., a Włochy na 61. Kraje rozwijające się zajmują przeważnie dalsze pozycje: Chiny 83., Meksyk 95. Na ostatnich miejscach znalazły się oczywiście państwa, w których panują największe niepokoje: Afganistan (166.) i Somalia (167.).

Generalnie rzecz biorąc, korupcja w duńskich instytucjach rządowych i w sektorze biznesowym jest bardzo niska. Duńczycy najwyraźniej w świecie jej nie akceptują. Ponad 90% ludzi stwierdza, że „przyjmowanie łapówek w miejscu pracy jest niedopuszczalne”. Odsetek ludzi, którzy zgadzają się z tym

stwierdzeniem, wynosi 50% we Francji, 75% w Portugalii i 80% w Ameryce.

Kary za zachowania korupcyjne odgrywają kluczową rolę odstraszającą. Jedną z najstraszniejszych afer korupcyjnych wybuchła w Danii w 2002 r. Popularny polityk Peter Brixtofte, ówczesny burmistrz miasta Farum, został oskarżony o wykorzystanie dla swoich prywatnych korzyści urzędu i funduszy państwowych. Skandal rozpoczął się od opublikowania w prasie informacji o rachunku z restauracji opiewającym na 22,5 tys. dol. (m.in. za niesamowicie

drogie wino), które Brixtofte zaksięgował jako wydatki na „różne spotkania rady miasta”. Wkrótce wyszły na jaw inne formy oszustwa, z których korzyści czerpali przyjaciele Brixtofte’a. Sprawa wstrząsnęła do głębi Duńczykami i Brixtofte’a szybko usunięto ze sceny politycznej. Po kilku apelacjach został ostatecznie skazany na dwa lata więzienia.

W 2004 r. Duńska Międzynarodowa Agencja Rozwoju (Danida) – wchodząca w skład Ministerstwa Spraw Zagranicznych – uruchomiła „Akcję walki z korupcją” i opracowała kodeks postępowania wprowadzający politykę zerowej tolerancji dla korupcji. Kodeksowi podlegają sami pracownicy Danidy, a także udziałowcy, partnerzy i beneficjenci. Założono nawet infolinię antykorupcyjną, która pozwala ludziom anonimowo zgłaszać przypadki korupcji.

Kiedy relacje społeczeństwa z politykami, instytucjami i podmiotami finansowymi opierają się na zaufaniu, ludzie mają większe szanse na szczęśliwe życie. W mojej ocenie jest to jedna z głównych przyczyn powszechnego wśród Duńczyków poczucia szczęścia.



Fragmenty książki Malene Rydahl *Szczęśliwy jak Duńczyk*, przekład Jacek Koniczny, W.A.B., Warszawa 2017

Klucz do kariery

Wciąż nie wiemy, kto będzie od przyszłego roku ambasadorem Polski przy ONZ, czyli kto będzie reprezentował nasz kraj w Radzie Bezpieczeństwa. Szkoda, bo tak naprawdę czasu zostało niewiele. Zwłaszcza że nowy ambasador będzie musiał nie tylko przygotować się do ciężkiej pracy, ale i skompletować sobie ekipę. To ważne, bo – jak uczy historia – obecność w takim gronie jest znakomitą przepustką do kariery dyplomatycznej.

Spójrzmy na losy naszych dyplomatów, którzy pracowali w ONZ, gdy Polska była niestałym członkiem Rady Bezpieczeństwa, w latach 1996-1997, kiedy pokonaliśmy w wyścigu o to stanowisko Albanie.

Ambasadorem przy ONZ był wówczas Zbigniew Włosowicz. Po zakończeniu kadencji pracował w administracji ONZ, w latach 2000-2005 był szefem sił pokojowych na Cyprze (UNFICYP), potem, już w Polsce, wiceministrem obrony i zastępcą szefa BBN.

Jego ówczesny zastępca, Zbigniew Matuszewski, był później dyrektorem generalnym w MSZ i ambasadorem w Wielkiej Brytanii. Z kolei Marcin Nawrot został dwukrotnie ambasadorem – w Baku i Dublinie. Był również dyrektorem departamentu ONZ oraz szefem Centrum Operacyjnego MSZ. Gorzej ma teraz, bo minister Waszczykowski uważa go za człowieka ekipy platformerskiej.

Znakomicie poradziła sobie ówczesna „młodzież” z zespołu ds. obsługi Rady Bezpieczeństwa ONZ. Artur Kłopotowski pracuje w Brukseli, w Europejskiej Służbie Działania Zewnętrznych, czyli unijnym MSZ. Jest tam szefem

Działu Polityki Kadrowej i Koordynacji w Departamencie Zasobów Ludzkich. Wcześniej był wicedyrektorem w departamentach pionu ONZ w MSZ, pracował także w naszym przedstawicielstwie w Brukseli. Dariusz Karnowski to dziś stały przedstawiciel RP w UNESCO, w Paryżu. Stanowisko ambasadora pełni również Aleksandra Piątkowska – jest szefową naszej placówki w Chile. Paweł Radomski jest z kolei zastępcą obecnego ambasadora w ONZ, w Nowym Jorku, Bogusława Winida.

Ciekawie wygląda kariera Piotra Świtalskiego, który kierował warszawską grupą odpowiedzialną za pracę Polski w Radzie Bezpieczeństwa. Był potem m.in. wiceministrem spraw zagranicznych, ambasadorem w Strasburgu oraz dyrektorem ds. planowania politycznego w sekretariacie Rady Europy w Strasburgu. A obecnie jest ambasadorem Unii Europejskiej w Armenii.

Jak więc widać, praca w zespole obsługującym Radę Bezpieczeństwa okazała się znakomitą trampoliną do kariery. Lub znakomitym uniwersytecie.

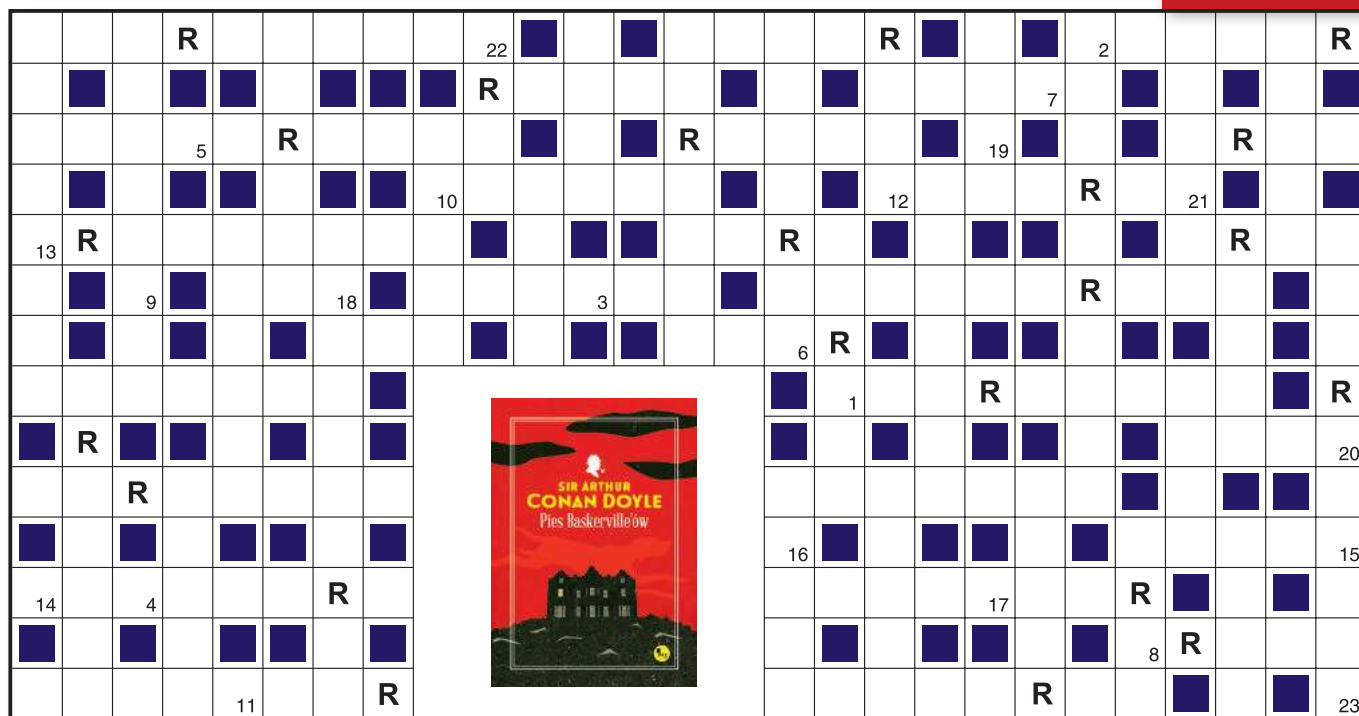
Można jedynie żałować, że tak wielu dyplomatów z ówczesnej ekipy jest dziś poza MSZ. I że nie ma szans, by do ministerstwa wrócili – także dlatego, że są na czarnej liście ministra Waszczykowskiego.

Dlatego warto obserwować, kto znajdzie się w grupie obsługującej w przyszłym roku Radę Bezpieczeństwa. To będzie jak bilet na wielki spektakl pod tytułem „kariera”. Choć jak kto go wykorzysta – to już jego sprawa.

Attaché



Tarcza wołająca o miłosierdzie – uczestnicy antyrządowych wystąpień przeciwko prezydentowi Nicolasowi Madurze w Caracas.



1 2 3 4 5 6 7 8

9 10 11

12 13 14 15 16

17 18 19 20 21 22 23

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odpowiadających wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 tworzą końcowe hasło.

- imię wykonawczyni „Wsio mogut koroli”
- zapal, werwa
- na jego wzgórzu obradowała rada ateńska
- filozof Francis lub aktor Kevin
- ...znad Avonu to Szekspir
- on śpiewa, jego pół do śpiewania może skłaniać
- paliwo silników spalinowych
- Sir Winston...
- męski kapelusz w kształcie walca
- o bólu reumatycznym
- powód szybkiego zmykania na drzewo
- pokonany za pomocą procy
- mąż Andromachy

- drabina stanowisk
- niebieski barwnik
- Teheran jego stolicą
- zgrzybiały niedolega
- duchowieństwo
- hemocyt
- miasto z Cmentarzem Łyczakowskim
- sprężynowy, piankowy, dmuchany
- Poniatowskiego lub Brookliński
- przeciwny zenitowi
- współczująco nie tylko o raku
- Nick, gra w serialu „Graves”
- i wyborczy, i elektryczny
- czarne z piosenki
- tam awantura z festiwalem
- malpa czelko-kształtna z Sumatry i Borneo
- Maciej już nie z „Teleexpressu”
- owad, rzeka i skuter
- gromada ze skrzykami i widlakami
- krótkolufowa broń z magazynkiem
- dom dla proboszcza
- psotny przyjaciel Filipa

- żywnościowa lub słusznosc
- sieć rybacka w kształcie walca
- gra owalna piłką
- karczmą z „Pani Twardowskiej”
- jedna z funkcji trygonometrycznych
- idealna czystość, jałowość
- obsługuje pasażerów w samolocie
- wyskakuje z niej diabeł
- wyrób włókienniczy
- pasek, taśma do wiązania
- okres pobytu wczasowicza
- autor „Księcia i żebraka”
- spojenie kogoś
- imię grafika Swierzego
- Jagiellońskie albo Chrobrego
- ...Wandy w Katowicach
- pensja, dochód
- burtta niewystawiona na wiatr
- do regulowania przepływu cieczy, gazu
- coś, co zalega, odkłada się
- północny jest Raka
- zbiera plon z pola

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie” i opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych i prawie do ich poprawiania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-811”. Do rozlosowania książki „Pies Baskerville’ów” ufundowane przez wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu. Aby przesłać hasło krzyżówki, trzeba napisać SMS o treści: KRPRZ. XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI, np. KRPRZ.811.DZIEN DZIECKA. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). SMS-y należy wysłać pod numer 72037 (płatny 2,46 PLN + VAT) do dnia 25 czerwca 2017 r.

Rozwiązanie „JOLKI-808” z 4 czerwca: *Nie ma czynu bez przyczyny.* Nagrody otrzymują: Zbigniew Bułakowski z Bytomia, Renata Osierda z Kęt, Halina Wiechowska z Rucianego-Nidy.

ĆWICZ UMYŚL, PÓKI CZAS

1. Odczytaj dwa hasła.

2. Znajdź trzy identyczne kwadraty.

Masz na to minutę.

1	ia#	ośc	elk	#wi	y	my
	wol	śc#	lko	Wie	erz	
	noś	czł	owi	eka	#mi	
	ci.	dy#	ek#	am#	do#	
	ier	Każ	dąz	y#s	mił	
	#śm	wy,	sła	i,#	ośc	

2	a	b	c
	d	e	f
	g	h	i

ZDANIE

PROF. ANDRZEJ MENCWEL,
HISTORYK LITERATURY

Sprawa lewicy nie jest przegrana, ponieważ sprawa socjalizmu nie jest przegrana, choć ja nie myślę o lewicy w perspektywie „elektoralnej”. Plebejski zasadniczo rodzaj naszego społeczeństwa daje do myślenia – nie jest możliwe w dłuższej perspektywie, żeby przynajmniej jego zasadnicza część nie odnalazła się w etosie lewicy. Dziś to miejsce zajmuje populizm, ale on ma krótki zasięg.

TYGODNIK

ANGORA

JUREK OWSIAK,
FUNDACJA WIELKIEJ
ORKIESTRY ŚWIĄTECZNEJ POMOCY

Policja dziś szczególnie potrzebuje poparcia społecznego i Przystanek Woodstock z pewnością jest w stanie pokazać profesjonalizm tej formacji, sprawić, że ludzie będą się o niej wyrażali z większą sympatią i uznaniem niż po wydarzeniach na jednym z wrocławskich komisariatów. Nie zapominać też o pomocy ze strony policji niemieckiej. Przystanek odbywa się tuż przy granicy i z Niemiec przyjadą tysiące ludzi. 1,2 tys. osób należących do żółtego i czerwonego patrolu przeszło totalne szkolenie, jak przeciwdziałać różnym zdarzeniom. Na miejscu będziemy dysponowali szpitalem polowym wyposażonym lepiej niż większość szpitali powiatowych.

ale historia

MACIEJ STASIŃSKI,
PUBLICYSTA

Większość życia spędziłem w PRL i wiele o niej wiem, ale rozmowy Roberta Walenciaka z Karolem Modzelewskim, ojcem założycielem rewizjonizmu socjalistycznego, a potem opozycji demokratycznej, i Andrzejem Werblanem, dygnitarzem komunistycznej władzy, to krynica wiedzy nowej, także dla tych, którzy uważali się za zorientowanych. Szczególnie uderza postawa Andrzeja Werblana, który z powodzeniem łączy doświadczenie uczestnika wydarzeń z namysłem historyka. Werblan wiele razy proponuje, by nie osądzać postaw i sporów z wysokości późniejszego rozwoju wydarzeń i dzisiejszej świadomości.

TYGODNIK
POWSZECHNY

PABLOPAVO,
MUZYK, WOKALISTA REGGAE

Jak żyć?

– Nie gonić tak, bo nie ma za czym. I jeszcze może kierować się tą frazą Wiktora Osiatyńskiego: „Wstać rano, zrobić przedziadek i się odpięprzyć od siebie”. Bez egoizmu, ale bardzo starannie, dbać o siebie i swoje własne uczucia. A, no i jeszcze widzieć się z innymi ludźmi. Bo życie jest paskudne, kończy się niesympatycznie. Świat jest dość okrutny, więc dobrze mieć drugą osobę, która pomaga przez to wszystko przejść. Czułość, bliskość i dystans. Żeby nie zwariować.

Aby język giętki...

PROF. MIROSŁAW HANDKE
O REFORMIE ANNY ZALEWSKIEJ

Robi to dla politycznej kariery, więc się nada do tego zadania. I na nim poleganie.

STEFAN ZGLICZYŃSKI O PATRYKU JAKIM
Stwierdził niedawno, że „zatrzymanie islamizacji to jego Westerplatte”, dając nadzieję, że za dwa tygodnie skapituluje.

PROF. ADAM STRZEMBOSZ
O ANDRZEJU DUDZIE

Charakterologicznie dał się złamać. Jest w potrzasku. I może tylko się miotać.

RYSZARD BUGAJ O POLITYKACH PiS
Ogromna część to jest wojsko zaciężne, które jeśli zauważy, że może żołdu zabraknąć, zacznie szukać swojego miejsca gdzie indziej.

BARBARA PIWNIAK O PREZESIE SĄDU
Mam nowego prezesa, którego nie widziałam, którego chyba nie zobaczę, a chciałabym się dowiedzieć, ile razy w miesiącu orzeka.

DR PIOTR PODEMSKI
O ZADANIACH SZKOŁY
Stworzyliśmy demokratyczny kraj, ale teraz musimy jeszcze stworzyć demokratów.

ADAM FERENCY O WIERZE
Od ok. 50 lat nie mam wiele wspólnego z religią. Nie jestem ateistą, lecz człowiekiem areligijnym.

JUSTYNA KOWALCZYK
O POWOŁANIU ANNY STARĘGI
To mądra, poukładana osoba. Ale ani jako zawodniczka, ani jako trenerka wiele w życiu nie widziała. Chyba że w roli kibica brata.

MARIUSZ SZCZYGIEL O MODZIE
Dzięki modzie wiem, jak sprawić, by moja twarz wyglądała żywiej – dzięki odpowiednim koszulom, które kupuję w Paryżu, w butikach niewielkiej sieci.

DOROTA RABCZEWSKA „DODA”
O PORADACH MAMY
Jeszcze nigdy mi dobrze nie doradziła w sprawach damsko-męskich.

PRZEMYSŁAW WOJCIESZEK
O STOSUNKU DO BIAŁORUSINEK
PRACUJĄCYCH W POLSCE
Protekcjonalność, mobbing, traktowanie ich z góry, jakby były skrzyżowaniem sprzątaczek z prostytutkami.



Handel obnośny na głowie. Langusty oferowane na głównej ulicy wsi N'Zianoua w okolicy Abidżanu, największego miasta Wybrzeża Kości Słoniowej.

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

RZĄD W OBRONIE PRACOWNIKÓW

Japoński rząd opublikował listę ponad 300 firm, które naruszyły prawa pracownicze. Ma to pomóc w walce ze zjawiskiem *karoshi*, śmiercią z przepracowania. Media nazwały to zestawienie „listą wstydu”. Znalazły się na niej takie firmy jak Panasonic, globalna agencja reklamowa Dentsu oraz jeden z oddziałów Japan Post. O wykorzystywaniu pracowników Poczty Polskiej PRZEGLĄD już pisał. I co?

A TRAKTOR GDZIE?

Norweskie media są zadziwione wyznem pomysłowego Polaka. Chciał

MEMY BEZ ŚCIEMY

Prawdomówność pani Szydło



10 czerwca 2017 Warszawa



Prawo i Sprawiedliwość
@pisorgpl

Frasiuniuk popycha policjanta. Podaj dalej, jeśli nie zgadzasz się z tym, że elitom wolno więcej.



Tony Soprano @tsoprano86 · 2h
W odpowiedzi do @pisorgpl
Córka radnej PiS popycha policjanta. Podaj dalej, jeśli nie zgadzasz się z tym, że elitom PiS wolno więcej.



Trzeci wymiar ulicy. Mural meksykańskiego artysty Juandrésa Very oraz przystanek autobusowy przemalowany przez angielskiego twórcę Replete. Wystawa „Magic City – Sztuka ulicy”, Monachium.

on wwieźć do kraju, w którym alkohol należy do najdroższych w Europie, aż 423 litry trunku. W tym celu wypełnił wódką sześć opon od traktora, w każdej zmieścił ok. 70 litrów. Koła zapakował do auta dostawczego i w drogę. Zatrzymała go policja. Funkcjonariusze zdziwili się, że Polak wiezie same koła. Tłumaczył, że to przysługa dla znajomego, a sam przyjechał do Norwegii w poszukiwaniu pracy. Policjanci nie dali się nabrać. Może uwierzyliby, gdyby przyjechał traktorem?

PIEŚ? NIE KUPISZ

Skoro jesteśmy przy alkoholu. W Wielkiej Brytanii na rynek trafiła właśnie aplikacja DrnkPay, która uniemożliwia nietrzeźwym robienie zakupów przez internet. Do jej użycia potrzebne są przenośny alkomat i smartfon, ale dla imprezowiczów, którzy lubią kupować „pod wpływem”, będzie nieocenionym gadżetem. Dodatkowo obiecwana jest nowa wersja – rozszerzona o kontrolowanie wydatków w barze czy kasynie.

KRAJOBRAZ TYLKO NA ŻYWO

Władze malowniczo położonej szwajcarskiej wioski Bergun zabroniły robienia zdjęć okolicznych krajobrazów. Chcą w ten sposób zachęcić do podziwiania wioski na własne oczy, a nie na zdjęciach w mediach społecznościowych. Ci, którzy zostaną przyłapani na uwiecznianiu piękna otoczenia, będą musieli zapłacić grzywnę – symboliczne 5 franków (ok. 19 zł). Zebrane w ten sposób pieniądze zostaną przekazane na ochronę alpejskiego krajobrazu.

ZAKAZANE BURKI

Austriacki rząd wprowadził kary z całkowite zastraszanie twarzy w miejscach publicznych oraz noszenia strojów zastraszających całe ciało, a także zakazał rozdawania Koranu. Postanowił również, że uchodźcy, którzy otrzymali azyl i mają szansę na pozostanie w Austrii, muszą zaliczyć roczny kurs nauki języka i podstawowych wartości obowiązujących w tym kraju. Azylandzi będą też musieli wykonywać nieodpłatnie prace społeczne, jeśli odmówią, muszą się liczyć z obniżeniem otrzymywanych świadczeń.



NIE OBEJRZĄ OLIMPIADY

Prezydent Turkmenistanu Gurbanguly Berdimuchamedow polecił aresztować prokuratora generalnego oraz co najmniej 50 wysokiej rangi funkcjonariuszy MSW, gdyż nie zmusili przedsiębiorców do przekazania dodatkowych środków na organizację igrzysk azjatyckich, co polecił prezydent. Zostali więc oskarżeni o korupcję, a rządowa telewizja pokazała skutych kajdankami skruszonych prokuratorów i milicjantów, którzy przyznawali się do brania łapówek i prosili o wybaczenie.

BYSTRY KRUK

Grupa austriackich i szwedzkich badaczy przeprowadziła eksperyment na oswojonych krukach. W trakcie treningu ptakom dawano chleb i nauczono je, że mogą go wymieniać na ser. Kiedy kruki opanowały reguły gry, część karmiących oszukiwała i zjadała wzięty od ptaków chleb, nie dając w zamian sera. Po dwóch dniach kruki przestały wymieniać się z oszukującymi ludźmi, prowadząc wymianę tylko z uczciwymi. Ptaki pamiętały oszustów przez dwa miesiące.

„PRZEGLĄD” NA ANTENIE
POSŁUCHAJ, O CZYM PISZEMY



Warszawa 101 FM
DAB+



Łódź 96 FM

ĆWICZ UMYŚL, PÓKI CZAS – ODPOWIEDZI:

1. Każdy człowiek dąży sam do miłości, sławy, śmierci. Wielkość człowieka mierzymy wielkością wolności.
2. b, d, h



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 (22) 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax (22) 635 84 10 **wew.** 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl
redakcja@tygodnikprzegląd.pl

www.tygodnikprzegląd.pl

REDAGUJE KOLEGIUM

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzegląd.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzegląd.pl

Zastępca redaktora naczelnego

– **sekretarz redakcji:** Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzegląd.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzegląd.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzegląd.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Kacper Leśniewicz, Mariola Markłowska-Dzierżak,
Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek,
Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin),
Maciej Polkowski, Michał Sobczyk

Małgorzata Szczepańska-Piszc (Bydgoszcz),
Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski,
Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski,
Elżbieta Wojtalik-Soroczynska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczała (Katowice)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz,
Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik
Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,
Małgorzata Tabaka

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytor: Magdalena Głuska **Fotoreporterzy:**

Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklam:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklam:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl

Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji:

Sandra Zawadzka

*Redakcja zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów.
Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Rozpowszechnianie
artykułów bez zgody wydawcy jest zabronione.*

Druk: Drukarnia Prasowa SA w Łodzi,
al. Piłsudskiego 82

Prenumeratę krajową od dowolnego numeru można
zamówić w Dziale Kolportażu „Przeglądu”.
Prenumerata roczna – 289 zł, półroczna – 149 zł,
kwartalna – 79 zł

Prenumerata zagraniczna pocztą priorytetową jeden
kwartał: Europa, Ameryka Płn., Afryka,
Ameryka Płd., Azja, Australia i Oceania – 225 zł.
Wpłata za prenumeratę krajową i zagraniczną
na konto Nr 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821.

Dodatkowe informacje o prenumeracie
Dział Kolportażu: tel. +48 (22) 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl

Prenumerata realizowana przez RUCH S.A.:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej
i na e-wydania można składać na stronie **www.**

prenumerata.ruch.com.pl. Pytania prosimy kierować
na adres e-mail: **prenumerata@ruch.com.pl** lub do
Centrum Obsługi Klienta „RUCH” tel.: +48 (22)
693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze
w godzinach 7.00-17.00.

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
Sąd Rejonowy dla m. st. Warszawy
XIII Wydział Gospodarczy KRS nr 0000198445

Projekt graficzny

brand design & animation
ARTREPUBLICA

Rafał Poławski
i Magdalena Jonas-Poławska

Finansowe wspieranie „Przeglądu”
Fundacja Oratio Recta

KOD SWIFT: WBPPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

SZYBKA, ALE SZTUCZNA

Na jednym z chińskich uniwersytetów do egzaminów wstępnych z matematyki przystąpiła sztuczna inteligencja. Maszyna składała się z 11 serwerów i ukończyła test w ciągu 22 minut, podczas gdy studenci mieli na niego dwie godziny. Jednak chociaż była szybsza, zdobyła mniej punktów niż przeciętny kandydat na studia.

PANDA A GIEŁDA

W ogrodzie zoologicznym w Tokio po raz pierwszy od pięciu lat przyszła na świat panda wielka. To wydarzenie tak wyjątkowe, że zareagowała nawet giełda – wzrosły akcje tych spółek, które mogą na narodzinach skorzystać, m.in. restauracji ulokowanych w pobliżu zoo.

Wszyscy trzymają kciuki za małą pandę, by nie podzieliła losu starszej siostry, która w 2012 r. przeżyła zaledwie sześć dni.

MAKARON JAK ORIGAMI

Naukowcy z Massachusetts Institute of Technology, najlepszej uczelni technicznej świata, opracowali przepis na makaron, który po kontakcie z wodą zmienia kształt. W suchej postaci jest on płaski i dopiero podczas gotowania przybiera fantazyjny wygląd, co przywołuje na myśl skojarzenia z origami. Dzięki temu wynalazkowi będzie można zużywać mniej materiału na opakowania, a i miejsca na przechowywanie zapasów potrzeba mniej, co ucieszy panie domu, które z reguły skarżą się na ciasnotę w kuchni.



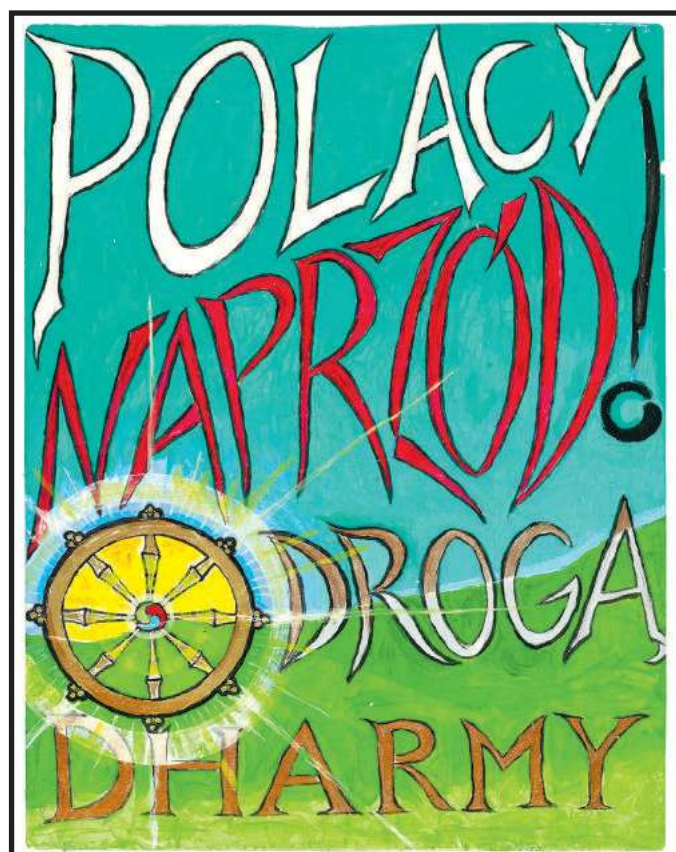


NIE JESTEM JUŻ PSEM



Wystawa pokazuje twórczość bezkompromisowych outsiderów: kultowych i nieznanych, z dyplomami akademii i bez, samotnych wilków i ludzi undergroundu. Tym, co łączy ich sztukę, jest kontestacja systemów politycznych i estetycznych, łamanie społecznych tabu, tworzenie w duchu DIY (*do it yourself*, zrób to sam) i swoista nonszalancja. Są tu prace nowe i takie, które zyskały nową aktualność. Choć dzielą je czasami lata, uderza w nich powrót tych samych problemów i lęków.

Muzeum Śląskie w Katowicach
ul. Tadeusza Dobrowolskiego 1
do 10 września



M A Ż
O J C I E C
Z A W O D N I K
B O H A T E R



GLEASON

AMAZON STUDIOS W WSPÓŁPRACY Z IMG FILMS ORAZ DEAR RIVERS PRODUCTIONS PRZEDSTAWIAJĄ FILM „GLEASON” PRODUKCJA SETH GORDON REŻYSERIA CLAY TWEEL
MONTAŻ CLAY TWEEL WSPÓŁPRACA MONTAŻOWA BRIAN PALMER MUZYKA DAN ROMER SAUL SIMON MACWILLIAMS ZDJĘCIA DAVID LEE TY MINTON-SMALL
KOPRODUCENCI SHANNON E. RIGGS JUSTIN BERGERON TENNY PRIEBE PRODUKCENCI WYKONAWCY MARK SHAPIRO WILL STAEGER PAUL VARISCO SR
PRODUKCJA SETH GORDON REGA KIMI CULP REGA PRODUKCENCI SCOTT FUJITA REGA MARY ROHLICH REGA TOM LAVIA THOMAS MCEACHIN KEVIN LAKE
SCENARIUSZ SETH GORDON CLAY TWEEL REŻYSERIA CLAY TWEEL



ARTWORK © 2017 MAYFLY. ALL RIGHTS RESERVED.
PHOTO BY ROBERT J. FOSBERRY FOR DEAR WORLD

W KINACH OD 23 CZERWCA



BRUCE
WILLIS

JOHN
GOODMAN

JASON
MOMOA

THOMAS
MIDDLEDITCH

ORAZ FAMKE
JANSSEN

JAK DOGRYŻĆ MAFII



NIE ZADZIERAJ Z PSEM

ANTYRADIO

P
Przegląd

W KINACH OD 23 CZERWCA

DEMOTYWATORY.PL

FILMBOX

eprasa.pl bb11810479